

Trzeba tworzyć dobro ze zła bo nie ma nic innego, z czego by można Je tworzyć.

Robert Fenn Warren

Fragmenty wywiadu, który przeprowadził specjalny korespondent Radia Harmont z doktorem WALENTINEM PILLMANEM, w związku z przyznaniem temu ostatniemu Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki za 19... rok

- ... Zapewne pana pierwszym poważnym odkryciem było odkrycie tak zwanego radiantu Pillmana?
- Nie sądzę. Radiant Pillmana to ani pierwsze, ani poważne, ani, ściśle mówiąc, odkrycie. I w dodatku niezupełnie moje.
- Pan chyba żartuje, panie doktorze. Radiant Pillmana - te dwa słowa zna każdy uczeń szkoły podstawowej.
- Nic dziwnego. Radiant Pillmana pierwszy odkrył właśnie uczeń, niestety nie pamiętam jego nazwiska, niech pan zajrzy do "Historii Lądowania" Stetsona, tam pan znajdzie wszystkie szczegóły. Radiant został odkryty przez ucznia, współrzędne opublikował po raz pierwszy student, a nie wiadomo dlaczego ochrzczono radiant moim nazwiskiem.
- Tak, z odkryciami zdarzają się zdumiewające historie. Czy nie mógłby pan wyjaśnić naszym słuchaczom, panie doktorze...
- Niech pan posłucha, drogi rodaku. Radiant Pillmana to niezmiernie prosta rzecz. Proszę sobie wyobrazić, że wprowadził pan w ruch obrotowy ogromny globus, a potem zaczął pan do niego strzelać z rewolweru. Dziurki na globusie ułożą się w pewną określoną krzywą. Cała istota tego, co pan nazywa moim pierwszym poważnym odkryciem, zawiera się w prostym fakcie - wszystkie Strefy Lądowania - a jest ich sześć - rozmieszczone są na powierzchni naszej planety tak. Jakby ktoś sześciokrotnie strzelił do Ziemi z pistoletu umieszczonego na linii Ziemia - Deneb. Deneb - to alfa gwiazdozbioru Łabędzia, a punkt na nieboskłonie, z którego, by tak rzec, strzelano - nazywamy właśnie radiantem Pillmana.
- Dziękuję w imieniu słuchaczy, panie doktorze. Drodzy słuchacze! Nareszcie ktoś nam sensownie wyjaśnił, co to takiego radiant Pillmana! Ale a propos, panie doktorze, wczoraj upłynęło dokładnie trzynaście lat od dnia Lądowania. Być może, zechce pan w związku z tym powiedzieć kilka słów swoim rodakom?
- A co konkretnie ich interesuje? Niech pan pamięta, że nie było mnie wówczas w Harmont...
- Tym bardziej chcielibyśmy usłyszeć, co pan pomyślał, kiedy się okazało, że pańskie rodzinne miasto stało się obiektem inwazji obcej supercywilizacji...
- Mówiąc szczerze w pierwszej chwili pomyślałem, że to kaczką... Trudno było sobie wyobrazić, że w naszym starym, małym miasteczku wydarzyło się coś podobnego. Odyby to była Gobi, Nowa Funlandia - ale Harmont!
- Jednakże w końcu musiał pan uwierzyć.
- Istotnie, w końcu musiałem.
- No i co było dalej?
- Nagle przyszło mi do głowy, że zarówno Harmont, jak i pozostałe pięć Stref Lądowania... przepraszam, wtedy wiedziano tylko o czterech... że wszystkie one tworzą określoną krzywą. Obliczyłem współrzędne radiantu i posłałem je do "Nature".
- I w najmniejszym stopniu nie zaniepokoił pana los rodzinnego miasta?
- Widzi pan, wtedy już wierzyłem w fakt Lądowania, ale jednak w żaden sposób nie byłem w stanie uwierzyć panicznym korespondencjom o płonących dzielnicach, o potworach, które szczególnie chętnie pożerały starców i dzieci, o krwawych walkach między nieśmiertelnymi przybyszami z Kosmosu, a nader śmiertelnymi, ale nieodmiennie bohaterскими pancernymi dywizjami Jego Królewskiej Mości...
- Miał pan słuszość. Pamiętam, że koledzy dziennikarze nieźle wtedy narozrabiali... Powróćmy jednak do nauki. Odkrycie radiantu Pillmana było pańskim pierwszym, ale, jak sądzę, nie ostatnim wkładem w naszą wiedzę o Lądowaniu.
- Pierwszym i ostatnim.
- Ale bez wątpienia śledzi pan uważnie stan międzynarodowych badań w Strefach Lądowania...
- Tak... niekiedy przeglądam "Biuletyn".
- Ma pan na myśli "Biuletyn Międzynarodowego Instytutu Cywilizacji Pozaziemskiej"?
- Tak.
- A więc co zdaniem pana należy uznać za najważniejsze odkrycie ostatnich trzynastu lat?
- Sam fakt Lądowania.
- Przepraszam?
- Sam fakt Lądowania stanowi najważniejsze odkrycie nie tylko na przestrzeni ostatnich trzynastu lat, ale w całej historii ludzkości. Nie jest takie ważne, kim oni byli, skąd i po co przybyli, dlaczego tak krótko gościli u nas i co się z nimi stało później. Najważniejsze, że teraz ludzkość z całą pewnością wie, że nie jest samotna we Wszechświecie. Obawiam się, że Instytutowi Cywilizacji Pozaziemskich już nigdy więcej nie uda się dokonać równie fundamentalnego odkrycia.
- To wszystko jest ogromnie interesujące, panie doktorze, ale prawdę mówiąc miałem na myśli odkrycia w dziedzinie techniki. Odkrycia, które mogłyby wykorzystać nasza ziemska nauka i technika. Przecież wielu wybitnych uczonych uważa, że materiały znajdujące się w Strefach Lądowania mogą zmienić cały bieg naszej historii.
- No cóż, ja nie należę do zwolenników tego punktu widzenia. A jeżeli chodzi o konkretne znaleziska, to przykro mi, ale nie jestem specjalistą.
- Jednak od dwóch lat jest pan konsultantem Komisji OFIZ, zajmującej się całokształtem spraw związanych z Lądowaniem...
- To prawda. Ale ja nie mam nic wspólnego z badaniami cywilizacji pozaziemskich. W Komisji, wspólnie z innymi kolegami, reprezentujemy międzynarodowe środowisko naukowe, kontrolując wykonanie rezolucji ONZ w sprawie eksterytorialności Stref Lądowania. Brutalnie mówiąc, pilnujemy, żeby wszystkim, co znajduje się w Strefach, dysponował wyłącznie Międzynarodowy Instytut.
- Czyżby na te pozaziemskie cuda jeszcze ktoś miał apetyt?
- Tak.
- Zapewne ma pan na myśli stalkerów?
- Nawet nie wiem, co to takiego.
- Tak u nas, w Harmont, nazywają zuchwalców, którzy na własne ryzyko przekradają się do Strefy i wynoszą stamtąd wszystko, co

im wpadnie w ręce. To nowy, nie znany dotychczas fach.

- Rozumiem. Nie, to nie leży w naszej kompetencji.

- Jasne! Tymi sprawami zajmuje się policja. Ale ogromnie chcielibyśmy wiedzieć, co właściwie leży w pańskiej kompetencji, panie doktorze?

- Wiadomo, że istnieje stały przemyt przedmiotów ze Stref Lądowania. Materiały dostają się w ręce nieodpowiedzialnych jednostek oraz całych organizacji. Nas, uczonych i członków Komisji, interesują rezultaty tego przemytu.

- Czy nie mógłby pan wypowiedzieć się bardziej konkretnie?

- Wie pan, lepiej porozmawiajmy o sztuce. Czy naprawdę pańskich słuchaczy nie interesuje moja opinia o niezrównanej Qwendy Muller?

- Ależ oczywiście! Ale najpierw może skończymy z nauką. Czy pan jako uczyony, nie ma czasem ochoty zająć się tymi pozaziemskimi cudami?

- Jak by to panu powiedzieć... Prawdopodobnie.

- A więc niewykluczone, że pewnego pięknego dnia mieszkańcy Harmont zobaczą swego sławnego rodaka na ulicach miasta?

- Niewykluczone.

Strugaccy Arkadij i Borys - Piknik na Skraju Drogi - 01.Red Shoehart

1. RED SHOEHART.

lat 23, kawaler. Laborant Międzynarodowego Instytutu Cywilizacji Pozaziemskich, Filia w Harmont

Poprzedniego dnia wieczorem stoimy sobie z nim w przechowalni. Wystarczy zrzucić Kombinezony i można iść w miasto, zajrzeć do "Barge" i wypić coś stosownego dla wzmocnienia duszy i ciała. Ja stoję ot, tak sobie, podpieram ścianę, swoje zrobiłem i już trzymam w pogotowiu papierosa, palić mi się chce wściekle - od dwóch godzin nie miałem papierosa w ustach. A on jakoś nie może rozstać się ze swoimi skarbami. Załadował jeden sejf, zamknął, opieczętował, teraz załadowuje drugi: zdejmuje z transportera "pustaki", ogląda każdy ze wszystkich stron (a ciężkie są ścierwa jak wielkie nieszczęście, każdy waży sześć i pół kilo) i starannie ustawia na półkach.

Okropnie długo już wojuje z tymi "pustakami" i moim skromnym zdaniem bez żadnego pożytku dla ludzkości. Na jego miejscu ja bym już dawno olał sprawę i za te same pieniądze zająłbym się czymś innym. Chociaż z drugiej strony, jeśli się zastanowić, taki "pustak" rzeczywiście jest niezmiernie zagadkowy, i można powiedzieć - szemrany. Ile to ja się ich nadźwigałem, a wszystko jedno, za każdym razem jak je zobaczę, od nowa nie mogę się nadziwić. Dwie miedziane okrągłe płytki wielkości spodeczka, grube na pięć milimetrów, odległość między płytkami czterysta milimetrów, i oprócz tej odległości niczego między płytkami nie ma. Można tam wsadzić rękę, można i głowę, jeżeli kompletnie zgłupiałeś ze zdziwienia - pustka, pustka, powietrze. Pomimo to coś między nimi oczywiście być musi, siła jakaś, tak ja to rozumiem, ponieważ ani ścisnąć tych płytek, ani rozerwać nikomu się jeszcze nie udało.

No chłopaki, trudno opisać coś podobnego komuś, kto tego nie widział. Jakoś to zbyt proste, szczególnie jeśli się dobrze przyjrzeć i uwierzyć wreszcie własnym oczom. To zupełnie tak samo, jakby komuś opisywać szklanekę, albo nie daj Boże kieliszek - tylko palcami wodzisz i klniesz w poczuciu absolutnej bezsilności. Dobra, zakładamy, żeście wszystko zrozumieli, a jeżeli ktoś nie zrozumiał, niech weźmie "Biuletyn" naszego instytutu - w każdym numerze znajdzie artykuły o "pustakach" z fotografiami...

Jednym słowem Kirył już prawie od roku wojuje z tymi "pustakami". Jestem u niego od samego początku i skarż mnie Bóg, jeżeli rozumiem, czego on się po nich spodziewa, zresztą, jeśli mam być szczerzy, nadmiernie nie wysilam swego umysłu. Niech najpierw on sam zrozumie, niech sam rozwiąże tę łamigłówkę, a wtedy, być może, posłucham, co będzie miał do powiedzenia. Na razie natomiast jasne jest dla mnie jedno - Kirył musi za wszelką cenę chociaż jednego "pustaka" wypatroszyć, nadgryźć kwasami, zgnieść pod prasą, stopić w piecu. I wtedy wszystko stanie się dla niego jasne, zdobędzie sławę i chwałę, a cała światowa nauka zapłacze z zachwyty rzewnymi łzami. Ale chwilowo, o ile się orientuję, do tego bardzo jeszcze daleko. Niczego do tej pory nie osiągnął, uszarpał się tylko nieprzytomnie, pozieleniał nawet, zrobił się milczący, wygląda jak chory pies i chyba oczy mu łzawią. Gdyby to był ktoś inny, zaprowadziłbym go na wódkę, a potem na dziwki, żeby go rozruszały, a rano znowu na wódkę i znowu na dziwki, tylko inne, i po tygodniu czułby się jak świeżo narodzony - uszy do góry, gęba od ucha do ucha. Tylko, że nie dla Kiryła takie lekarstwo - nawet proponować nie warto.

A więc stoimy, znaczy się, w przechowalni, patrzę na Kiryła, widzę, co się z nim dzieje, jakie ma zapadnięte oczy, i tak mi się go żal robi, że nie macie pojęcia. I właśnie wtedy zdecydowałem. To znaczy nie tyle nawet zdecydowałem, tylko jakby mnie ktoś pociągnął za język.

- Słuchaj - mówię - Kirył...

A Kirył właśnie stoi i trzyma w ręku ostatniego "pustaka" i wpatruje się w niego jakby chciał wleźć do środka.

- Słuchaj - mówię - Kirył A gdybyś miał pełnego "pustaka", to co?

- Pełny "pustak"? - powtarza i marszczy brwi, jakbym z nim nagle zaczął rozmawiać po chińsku.

- No tak - mówię. - Ta twoja hydromagnetyczna pułapka, jak jej tam... obiekt 77-b. Tylko z jakimś niebieskawym paskudztwem w środku.

Widzę, że zaczyna do niego docierać. Podniósł na mnie oczy, przymrużył powieki i widzę, że gdzieś tam, za psimi łzami pojawia się jakiś przebłysk rozumu, jak on sam uwielbia się wyrażać.

- Poczekaj - mówi. - Jak to pełny? Taki sam jak ten, tylko pełny?

- Aha.

- Gdzie?

Nareszcie. Dotarło. Nadstawił uszu. gęba od ucha do ucha.

- Chodź - mówię - zapalimy.

Kirył żywo wepchnął "pustaka" do sejfu, zatrzasnął drzwiczki, przekreślił klucz trzy i pół raza i poszliśmy z powrotem do laboratorium. Za zwyczajnego "pustaka" Ernest daje czterysta na rękę, a za pełnego - ja bym z niego, sukinsyna, siedem skór zdarł, ale możecie mi wierzyć albo nie, wtedy nawet o tym nie pomyślałem, bo mój Kirył, jakby mu kto w kieszeń napluł biegnie po dwa schodki na górę, nawet zapalić człowiekowi nie da. Jednym słowem, wszystko mu opowiedziałem - Jak wygląda, gdzie leży i jak się do niego najłatwiej dostać. Kirył od razu wyciągnął plan, znalazł ten garaż, zaznaczył go palcem, spojrzał na mnie i, rzecz jasna, od razu wszystko zrozumiał, zresztą niewiele tu było do rozumienia!

- Ach, ty! - mówi i uśmiecha się. - Ho cóż, trzeba iść, najlepiej od razu jutro rano. O dziewiątej zamówię przepustki i "kalosz", a o dziesiątej zmówimy paciorek i pójdziemy. Co ty na to?

- Można - odpowiadam. - A kto na trzeciego?

- A po co trzeci?

- E, nie - mówię - to nie piknik z dziewczynami. A jeśli coś ci się stanie? To jest Strefa - mówię - porządek musi być.

Kirył lekko się uśmiechnął, wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz! Ty się lepiej na tym znasz. Pewnie że lepiej! Kirył, rzecz jasna, przejawiał troskę o człowieka, to znaczy pomyślał o mnie - obejdziemy się bez trzeciego, pojedziemy we dwójkę, cisza, spokój, i ja będę czysty jak kryształ. Tylko że dobrze wiem - ludzie z instytutu we dwójkę do Strefy nie chodzą. U nich jest taki obyczaj: dwaj robią, co do nich należy, trzeci zaś się przygląda, a kiedy go potem zapytają - opowie.

- Gdyby to ode mnie zależało, wziąłbym Austina - mówi Kirył. - Ale ty się pewnie nie zgodzisz. A może jednak?

- Nie - mówię. - Tylko nie Austina. Austina weźmiesz innym razem.

Austin to niezły chłopak, strach i odwaga są w nim wymieszane w odpowiednich proporcjach, ale moim zdaniem jest już trefny. Kiryłowi tego nie wytłumaczysz, ale ja takie rzeczy widzę - wyobraził sobie, że Strefę zna i że już wszystko jest w niej dla niego jasne - a to znaczy, że niedługo będziemy mieli znajomy pogrzeb. No i na zdrowie. Tylko że ja nie reflektuję. - No dobrze - mówi Kirył - A Tender? Tender to jego drugi laborant. Niczego sobie chłop. Spokojny.

- Trochę za stary - mówię. - A poza tym ma dzieci...

- To nic. On już chodził do Strefy.

- Dobrze - mówię. - niech będzie Tender... Jednym słowem zostawiłem Kiryła siedzącego nad planem, a sam poszedłem prościutko do "Barge", bo zreć mi się chciało nieprzytomnie, a i w gardle mi zaschło.

Dobra. Przychodzę następnego dnia jak zwykle o dziewiątej, pokazuję przepustkę, a na portierni dyżuruje ten sam tyczkowany sierżant, którego w zeszłym roku niezłe obsłużyłem, kiedy po pijaku zaczął się dowalać do Guty.

- Cześć - mówię do mnie. - Ciebie - mówi - Rudy, szukają po całym instytucie... W tym momencie przerywam mu grzecznie.

- Dla ciebie nie jestem żaden Rudy - mówię. - I nie staraj się mi podlizać, szwedzka kłoniczo.

- Na miłość boską. Rudy! - mówi sierżant zdumiony. - Przecież wszyscy tak cię nazywają.

Przed Strefą zawsze jestem roztrzęsiony i jeszcze trzeźwy na dodatek - złapałem go za pas i ze wszystkimi szczegółami opowiedziałem mu, kim jest i dlaczego matka go zrodziła. On splunął, zwrócił mi przepustkę i już bez tych wszystkich czułości mówi:

- Obywatel Red Shoehart ma niezwłocznie stawić się u kapitana Herzoga. Pełnomocnika do Spraw Bezpieczeństwa.

- O właśnie - mówię - to co innego. Ucz się, sierżancie, a zostaniesz lejtnantem.

A sam myślę: co to znowu? Czego też może chcieć ode mnie kapitan Herzog w godzinach pracy? Dobra, idę się stawić. Kapitan ma gabinet na trzecim piętrze, luksusowy gabinet, i kraty w oknach jak na policji. Sam Willy siedzi za swoim biurkiem, pyka fajkę i uprawia biurokrację za pomocą maszyny do pisania, a w kącie grzebie w stalowym sejfie jakiś sierżancina, nowy chyba, nie znam go. W naszym instytucie tych sierżantów jest więcej niż w przeciętnej dywizji i wszyscy tacy dorodni, krew z mlekiem - do Strefy nie muszą chodzić, a na wszelkie zmartwienia naszego świata plują z trzeciego piętra.

- Dzień dobry - mówię. - Pan mnie wzywał? Willy patrzy na mnie jak na ropuchę, odsuwa maszynę, kładzie przed sobą grubą tekturową teczkę i zaczyna przeglądać papiery.

- Red Shoehart? - pyta.

- We własnej osobie - odpowiadam, a śmiać mi się chce, że ledwie mogę wytrzymać. Taki nerwowy chichot mną trzęsie.

- Od jak dawna pracujecie w instytucie?

- Dwa lata, trzeci rok właściwie.

- Stan cywilny?

- Samotny - odpowiadam. - Sierota. Na to kapitan odwraca się do swojego sierżanta i rozkazuje mu surowym głosem:

- Sierżancie Lummer, proszę iść do archiwum i przynieść akta sprawy numer sto pięćdziesiąt.

Sierżant zasalutował i zniknął, a Willy zamknął teczkę i tak posepnie pyta:

- Znowu to samo?

- Co znowu?

- Sam dobrze wiesz. Mowę materiały przyszły w twojej sprawie. Tak, myślę.

- A skąd te materiały?

Willy zasepił się i ze złością zaczął tłuc swoją fajką o popielniczkę.

- To nie twoja rzecz - mówi. - Ostrzegam cię, bo znamy się nie od dzisiaj - rzuć to wszystko i to raz na zawsze. Jak cię drugi raz złapią, sześcioma miesiącami się nie wymigasz. A z Instytutu wylecisz natychmiast i to na wieki wieków, rozumiesz?

- Rozumiem - mówię - to akurat rozumiem dobrze, nie rozumiem tylko, co za ścierwo na mnie doniosło...

Ale kapitan znowu patrzy na mnie ołowianym spojrzeniem, pogwizduje pustą fajką i grzebie w swoich papierach. To znaczy, że wrócił sierżant Lummer z aktami sprawy numer sto pięćdziesiąt.

- Dziękuję, Shoehart - mówi kapitan Willy Herzog o przezwisku Tucznik. - To wszystko, co chciałem usłyszeć.

No a ja poszedłem do szatni, przebrałem się w kombinezon, zapaliłem, przez cały czas myślę - skąd ten śwąd? Jeżeli z instytutu, to przecież lipa, nikt tu o mnie nic nie wie i wiedzieć nie może. A jeżeli przyszedł papier z policji... to o czym oni mogą tam wiedzieć, prócz moich starych spraw? A może Ścierwnik wpadł? To bydlę, żeby samemu się wykrecić, rodzoną matkę sprzeda. Ale przecież i Ścierwnik nic o mnie teraz nie wie. Myślałem, myślałem, nic mądrego nie wymyśliłem i postanowiłem nie zawracać sobie głowy! Ostatni raz byłem w Strefie nocą trzy miesiące temu, prawie cały towar już opyliłem i prawie wszystkie pieniądze wydałem, teraz mogę mnie łapać do sądnego dnia. Ale kiedy już szedłem po schodach na górę, nagle spłynęło na mnie olśnienie, i to takie, że

wróciłem do szatni, usiadłem i znowu zapaliłem. Wychodziło na to, że do Strefy dzisiaj iść nie mogę, i to pod żadnym pozorem. Ani jutro nie mogę, ani pojutrze. Wychodziło na to, że gliny znowu mnie mają na oku, że nie zapomnieli o mnie, a jeżeli nawet zapomnieli, to ktoś im właśnie przypomniał. Obecnie to już zresztą nieważne, kto mianowicie. Każdy stalker, jeżeli tylko nie upadł na głowę, wie, że go śledzą. Teraz muszę siedzieć cicho w najciemniejszym kącie, jaki uda mi się znaleźć. Jaka znowu Strefa? Ja tam nawet z przepustką od ilu już miesięcy nie byłem! Czego się czeplacie uczciwego laboranta?

Obmyśliłem to wszystko i nawet jakby pewną ulgę uczułem, że nie muszę dzisiaj iść do Strefy. Tylko jakby o tym możliwie delikatnie zawiadomić Kirię? Powiedziałem mu wprost:

- Do Strefy nie idę. Jakie będą dalsze polecenia?

Na te słowa Kirię oczywiście wybałuszył na mnie oczy. Potem widocznie dotarło do niego, bo wziął mnie za łokieć, zaprowadził do swojego gabinetu, posadził przy swoim biurku, a sam usiadł obok na parapecie. Zapaliliśmy. Milczymy, następnie Kirię pyta mnie ostrożnie:

- Czy coś się stało. Red? No i co ja mam powiedzieć.

- Nie - mówię - nic się nie stało. A wiesz, przerznąłem wczoraj w pokera dwadzieścia zielonych - ten Nunnun gra jak stary...

- Poczekaj - mówi Kirię. - Ty co, rozmyśliłeś się?

Aż stęknąłem z wysiłku.

- Nie mogę - mówię do niego, a sam aż zęby zaciskam. - Nie mogę, rozumiesz? Przed chwilą wezwał mnie do siebie Herzog.

Kirię oklapł. Znowu wyglądał jak półtora nieszczęścia, i znowu miał oczy chorego pudła. Westchnął tak jakoś spazmatycznie, zapalił nowego papierosa od starego niedopałka i mówi cicho:

- Możesz mi wierzyć. Red, że ja nikomu słowa nie powiedziałem.

- Daj spokój - mówię. - To nie o ciebie chodzi.

- Ja nawet Tenderowi jeszcze nie powiedziałem. Wypisałem mu przepustkę i nawet nie zapytałem go, czy pójdzie z nami, czy nie... Ja milczę, siedzę i palę. I śmiać mi się chce i płakać, nic biedak nie rozumie.

- A czego chciał od ciebie Herzog?

- Nic specjalnego - mówię. - Ktoś na mnie doniósł i to wszystko.

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie, zeskoczył z parapetu i zaczął chodzić po swoim gabinecie tam i z powrotem. Kirię biega po gabinecie, a ja siedzę, dmucham dymem i milczę, głupio mi, że tak idiotycznie to wszystko wyszło - ślicznie go wyleczyłem z melancholii, szkoda gadać. A czyja to wina? Wyłącznie moja. Pokazałem dziecku czekoladkę, a czekoladka jest schowana w zaczarowanej skrzyni, a skrzyni pilnuje zły czarodziej... W tym momencie Kirię przestaje biegać, staje obok mnie, patrzy gdzieś w bok, widać, że mu głupio, i pyta:

- Słuchaj, Red, a ile może kosztować taki pełny "pustak"?

Z początku nie zrozumiałem, z początku pomyślałem, że on liczy na kupienie gdzieś takiego "pustaka", tylko że gdzie tam coś podobnego kupisz, być może jeden jedyny na całym świecie stoi w tamtym garażu, zresztą tak czy tak, pieniędzy by mu nie starczyło, skąd u niego pieniądze - zagraniczny specjalista i to jeszcze z Rosji. A potem raptem jakby we mnie piorun strzelił - to znaczy że on, drań, myśli, że ja dla forsy?! Ach ty, myślę, sukinsynu, za kogo ty mnie bierzesz?! Już nawet usta otworzyłem, żeby mu to wszystko powiedzieć. I zająknąłem się. Bo co innego, mówiąc otwarcie, miał o mnie myśleć? Stalker to stalker, nie ma co robić błękitnych oczu, pokażcie mu tylko forszę, za forszę stalker własnym życiem zahandluje. Tak to właśnie teraz wygląda, że wczoraj zarzuciłem przynętę, a dzisiaj zabieram mu ją sprzed nosa, cenę podbijam. Aż mi język stanął kołkiem od tych myśli, a Kirię patrzy na mnie badawczo, oczu ze mnie nie spuszcza i widzę w tych oczach nawet nie pogardę, a jakby nawet jakieś zrozumienie. I wtedy spokojnie mu wszystko wytłumaczyłem.

- Do garażu - mówię - jeszcze nikt z przepustką nie chodził. Droga do niego nie jest jeszcze oznakowana, wiesz o tym. Teraz pomyśl, wracamy stamtąd i twój Tender zaczyna wszystkim opowiadać, jak to zasunęliśmy prosto do garażu, zabraliśmy co trzeba i z powrotem do domu. Jakbyśmy skoczyli do sklepu naprzeciwko. I dla każdego będzie jasne - mówię - że z góry wiedzieliśmy, dokąd i po co idziemy. A to znaczy, że ktoś nam dał cynk. A już kto z nas trzech - komentarze chyba zbyteczne. Rozumiesz, czym to dla mnie pachnie?

Skończyłem swoje przemówienie, spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy i milczymy. Potem nagle Kirię klasnął w ręce, zatarł dłonie i niby rażno oznajmia:

- No cóż, jak nie to nie. Rozumiem cię. Red, i nie potępiam. Pójdę sam. A nuż wszystko dobrze się skończy... nie pierwszy raz.

Rozłożył plan na parapecie oparł się o niego łokciami, przygarbił, i cała jego dziarskość z miejsca wyparowała. Słyszę, jak mruczy do siebie:

- Sto dwadzieścia metrów... nawet sto dwadzieścia dwa... i jeszcze w samym garażu... Nie, nie wezmę Tendera. Jak myślisz. Red może nie warto brać Tendera? Jak by nie było, ma dwoje dzieci...

- Samego cię nie puszcza - mówię.

- Wypuszczą - mruczy - znam wszystkich sierżantów... i lejtnantów też znam... nie podobają mi się te ciężarówki! Trzynaście lat pod gołym niebem i ciągle jak nowe... Dwadzieścia kroków dalej cysterna - zardzewiała, dziurawa jak sito, a one jakby prosto z fabryki... Och, ta Strefa!

Unióś głowę znad planu i zapatrzył się w okno. I ja też spojrziałem w okno. Szyby w naszych oknach są grube, solidne, a za szybą Strefa - matula, oto ona, dwa kroki stąd, z dwunastego piętra widać ją jak na dłoni...

Tak popatrzeć na nią - niby ziemia jak ziemia. Słońce ją ogrzewa tak, jak ogrzewa całą resztę ziemi i niby nic się nie zmieniło, niby wszystko wygląda tak samo, jak trzynaście lat temu. Gdyby nieboszyk tatuś popatrzył, toby nic specjalnego nie zauważył, może tylko by zapytał, dlaczego fabryka nie dymi. strajkują czy co? Stożkowate hałdy żółtej ziemi, nagrzewnice blikują na słońcu, szyny, szyny, szyny, na szynach lokomotywa, za nią wagoniki, platformy...

Przemysłowy krajobraz, jednym słowem. Tylko ludzi nie ma. Ani żywych, ani martwych. A oto i garaż widać - długa szara gąsienica, brama na oścież, na parkingu stoją ciężarówki. Trzynaście lat stoją i nic się z nimi nie dzieje. To Kirię bystrze zauważył - główka pracuje. Nie daj Boże między dwa samochody się pchać, samochody trzeba z daleka obchodzić... tam jest jedna taka szczelinka w asfalcie, jeśli oczywiście od tamtego czasu cierniem nie zarosła... Sto dwadzieścia metrów - odkąd on liczy? A, chyba od ostatniego znaku. Słusznie, stamtąd więcej nie będzie. Brawo okularnicy, nie na darmo chleb jedzą... Patrzcie, oznakowali drogę do samego wysypiska, i to jak chytrze! O, tu jest rozpadlina, w której Zgnilec znalazł wieczny spoczynek, wszystkiego dwa metry od ich drogi... A przecież ostrzegał wtedy Kosmaty Zgnilca - trzymaj się, idioto, z daleka od dołów, bo nie będzie czego do trumny włożyć...

I miał świętą rację, nawet żadna trumna nie była potrzebna... Kiedy idziesz do Strefy, to sobie zakonotuj: z towarem wróciłeś - cud boski, z życiem uszedłeś - daj na mszę, kula patrolu - fart, a cała reszta - jak los zdarzy.

Spojrzałem na Kiryła i widzę, że mnie spod oka obserwuje. I twarz ma taką, że w tym momencie wszystkie moje mocne postanowienia diabli wzięli. A niech ich wszystkich, myślę, szlag trafi, co właściwie mogą mi zrobić? Kirył już w ogóle mógł nic nie mówić, ale powiedział.

- Shoehart - mówi. - Z oficjalnych, podkreślam, z oficjalnych źródeł otrzymałem informację, że zbadanie garażu może przynieść nauce ogromną korzyść. W związku z tym powstał projekt wyprawy do garażu. Premię gwarantuję. - I uśmiecha się, jakby wygrał sto tysięcy.

- A z jakich to oficjalnych źródeł pochodzi ta informacja? - pytam i też uśmiecham się jak idiota.

- Z poufnych źródeł - odpowiada. - Ale panu mogę powiedzieć... - przestał się uśmiechać i zasepił się. - Powiedzmy od doktora Douglasa.

- Aha - mówię - od doktora Douglasa... A od którego to Douglasa?

- Od Sama Douglasa - odpowiada sucho. - Od tego, który zginął w ubiegłym roku.

Aż mnie dreszcz przeszedł. A żeby cię! Kto przed wyjściem mówi o takich rzeczach? Możesz tym okularnikom kołki na głowie ciosać - nic do nich nie dociera... Złamałem niedopałek w popielniczkę i mówię:

- Dobra. Gdzie twój Tender? Długo jeszcze będziemy na niego czekać?

Jednym słowem na ten temat więcej nie rozmawialiśmy. Kirył zadzwonił na bazę transportową, zamówił "latający kalosz", a ja wzięłem plan, żeby zobaczyć, co oni tam narysowali. Zupełnie nieźle narysowali, w normie. Na podstawie fotografii z lotu ptaka, w dużym powiększeniu. Widać nawet bieznik na oponie, która leży pod bramą garażu. Ech, ile by każdy stalker dał za taki plan... a zresztą, na jaką cholereę zda się plan po nocy, kiedy pokazujesz gwiazdom zadek i własnych rąk nie możesz zobaczyć.

A tymczasem objawił się i Tender. Czerwony, zadyszany. Córka mu zachorowała, musiał lecieć po lekarza, no a my uraczyliśmy go radosną wiadomością - idziemy do Strefy. Z początku nawet o sapaniu zapomniał, biedactwo. "Jak to do Strefy? - mówi - Dlaczego właśnie ja?" Jednakże kiedy usłyszał o podwójnej premii i o tym, że Red Shoehart również idzie, oprzytomniał i znowu zaczął sapać.

Jednym słowem zesłaliśmy we trójkę do "buduaru". Kirył poleciał po przepustki, pokazaliśmy je jeszcze jednemu sierżantowi, a ten sierżant wydał nam skafandry. Trzeba przyznać, że to wyjątkowo przyteczny wynalazek. Gdyby go tak jeszcze przefarbować z czerwonego na jakiś inny bardziej odpowiedni kolor.

Każdy stalker wyłoży za taki skafander pięćset zielonych bez zmrużenia oka. Już dawno przysięgłem sobie, że stanę na uszach i gwizdnę chociażby jeden. Ma pierwszy rzut oka niby nic specjalnego, skafander jak dla nurka i hełm jak dla nurka, z przodu przezroczysty. Może nawet nie jak u nurka, a raczej jak u lotnika w samolotach naddźwiękowych albo jak u kosmonauty. Lekki, wygodny, nigdzie nie ciśnie i nie pocisz się w nim z gorąca. W takim skafandrze można iść choćby w ogień i też żaden gaz do środka nie przeniknie, nawet kula. jak mówią, go nie przebije. Oczywiście i ogień, i jakiś tam iperyt, i kula karabinowa - to wszystko jest nasze, ziemskie, ludzkie. W Strefie niczego takiego nie ma, w Strefie nie tego trzeba się bać. Zresztą, co tu gadać, i w tych skafandrach ludzie też giną jak muchy. Inna sprawa, że bez skafandrów może byłoby jeszcze gorzej. Od "ognistego puchu" na przykład skafandry zabezpieczają na sto procent, i od plunięć "diabelskiej kapusty"... no, dobra.

Wleźliśmy w skafandry, przesypałem mutry z woreczka do bocznej kieszeni i przemaszzerowaliśmy przez cały teren instytutu do wyjścia w Strefę. Taki jest u nich obyczaj! niech widzą - oto żołnierze nauki idą składać swoje życie na ołtarzu wiedzy, ludzkości i Ducha Świętego, amen. I rzeczywiście we wszystkich oknach aż do czternastego piętra stoją, współczują, tylko jeszcze brakuje powiewających chusteczek i orkiestry.

- Równaj krok - mówię do Tendera. - Kałdun wciągnij, nieszczęsny łamago! Wdzięczna ludzkość nie zapomni o tobie!

Spojrzał na mnie i widzę, że mu nie w głowie żarty. I słusznie - jakie tam żarty! Ale kiedy idziesz do Strefy, to już jedno z dwojga: albo płakać, albo się śmiać, a ja jeszcze nigdy w życiu nie płakałem. Spojrzałem na Kiryła. nie powiem, trzyma się nieźle, tylko wargami porusza, jakby się modlił.

- Modlisz się? - pytam. - Módl się - mówię - módl! Im dalej w Strefę, tym bliżej do nieba...

- Co? - pyta, bo nie dosłyszał.

- Módl się! - krzyczę. - Stalkerów wpuszczają do nieba bez kolejki!

Wtedy Kirył się uśmiechnął i poklepał mnie po plecach, niby - nie bój się nic, ze mną nie zginiesz, a w ogóle raz kozie śmierć. Zabawny facet, jak Boga kocham.

Oddaliśmy przepustki ostatniemu sierżantowi. Tym razem w drodze wyjątku okazał się lejtnantem, znam go zresztą, jego ojciec handluje w Rexopolu nagrobkami. "Latający kalosz" już na nas czeka, chłopcy z bazy podstawili go pod samą wartownię. Wszystko już jest na miejscu - i "pogotowie ratunkowe", i straż pożarna, i nasza waleczna gwardia, nieustraszeni ratownicy, kupa spasionych darmozjadów ze swym helikopterem. Patrzeć na nich nie mogę!

Wleźliśmy do "kalosza", Kirył usiadł przy sterach i mówi do mnie:

- No, Red, obejmuj dowodzenie.

Bez zbędnego pośpiechu rozpiąłem zamek błyskawiczny na piersi, wyjąłem zza pazuchy manierkę, golnąłem jak należy, zakręciłem zakrętkę i schowałem manierkę z powrotem. Bez tego nie potrafię. Który to już raz idę do Strefy, a bez tego nie mogę. Tamci dwaj patrzą na mnie, czekają.

- A więc tak - mówię. - Wam nie proponuję, dlatego że idziemy razem pierwszy raz i nie wiem, jak na was działa alkohol.

Regulamin będzie taki: wszystko, co powiem, wykonywać natychmiast i bez gadania. Jeżeli ktoś zagapi się albo zacznie jakieś tam pytania zadawać - będę prał czym popadnie, za co z góry przepraszam, na przykład tobie, panie Tender, powiem: stań na rękach i idź naprzód. I w tejsze chwili pan Tender musi zadrzeć swoją ciężką dupę do góry i robić, co mu kazano. A nie posłuchasz, to, być może, swojej chorej córeczki nigdy więcej w życiu nie zobaczysz. Rozumiesz? Ale już ja się zatroszczę, żebyś ją zobaczył.

- Ty, Red, tylko nie zapomnij powiedzieć - chrypi Tender, a już jest cały czerwony, widzę, jak się poci i wargi mu kłapią. - Ja nie tylko na rękach, na zębach pójdę, gdzie każesz, nie jestem nowicjuszem, wiesz o tym.

- Dla mnie obaj jesteście nowicjusze - mówię - a powiedziec nie zapomnę, spokojna głowa. Aha, umiesz prowadzić "kalosz"?

- Umie - odpowiada Kirył - dobrze prowadzi.

- Jak dobrze, to dobrze - mówię. - W takim razie - z Bogiem! Opuścić przyłbice! Mała naprzód, ściśle według znaków, wysokość trzy metry. Przy dwudziestym siódmym słupku - przystanek.

"Kalosz" wystartował i Kirył na wysokości trzech metrów dał "mała naprzód", a ja nieznacznie odwróciłem głowę i leciutko dmuchnąłem przez lewe ramię. Widzę - gwardziści - ratownicy wsiedli do swojego helikoptera, strażacy z szacunkiem stanęli na baczność, lejtnant w drzwiach wartowni salutuje nam, idiota nieszczęsny - a nad nimi wszystkimi wisi wielki plakat, już dobrze wypłowiły: "Serdecznie witamy, szanowni Przybysze"! Tender już zebrał się w sobie, żeby im wszystkim pomachać ręką na pożegnanie, ale ja mu tak przysunąłem pięścią w bok, że od razu zapomniał o swoich arystokratycznych manierach. Ja Ci pokażę, durniu, pożegnań mu się zachciało!

Popłynęliśmy.

Po lewej mieliśmy instytut, po prawej Kwartal Zadżumionych i posuwaliśmy się od znaku do znaku, samym środkiem ulicy. Och, dawno Już nikt po tej ulicy nie jeździł ani nie chodził! Asfalt popękał, pęknięcia zarosły trawą, ale to jeszcze była nasza, zwykła trawa, ludzka i normalna. A tam, na chodniku, po lewej ręce, rosły już czarne ciernie, i po tych cierniach było widać, jak precyzyjnie Strefa sama siebie wyznacza - czarne zarośla przy samej jezdni, jakby kto nożem uciął nie, jednak ci przybysze to byli przyzwoici faceci, narozrabiali paskudnie, to prawda, ale sami wyznaczyli sobie granicę. Przecież nawet "ognisty puch" na naszą stronę ze Strefy nie leci, chociaż, zdawałoby się, wiatr go nosi we wszystkie strony...

Domy w Kwartale Zadżumionych są oblaźłe, martwe, ale szyby w oknach prawie wszędzie ocalały, tylko zarosły brudem i dlatego wyglądają jak ośleplę. Ale nocą, kiedy czołgasz się tamtędy, widać dobrze światelka w mieszkaniach, jakby ktoś palił suchy spirytus. Takie niebieskawe języki płomyczków. To "czarci pudding" zieje z piwnic. Ale jeżeli patrzeć ot tak - bloki jak bloki, wymagają, rzecz jasna, remontu, ale nic nadzwyczajnego, tylko ludzi nie widać. W tym domu z czerwonej cegły mieszkał, nawiasem mówiąc, nasz nauczyciel rachunków o dźwięcznym przezwisku Przecinek. Był koszmarnym nudziarzem i w życiu mu się nie powiodło, druga żona odeszła od niego przed samym Lądowaniem, a córka miała bielmo na jednym oku, pamiętam, że dokuczaliśmy jej bez miłosierdzia. Kiedy się zaczęła panika. Przecinek ze wszystkimi z tego kwartału w samych gaciach biegł aż do mostu - dziesięć kilometrów bez zatrzymywania. Potem długo chorował, skóra mu zlazła i paznokcie. Wszyscy, którzy mieszkali w Kwartale, no powiedzmy, prawie wszyscy, identycznie chorowali i dlatego teraz tak się właśnie nazywa - Kwartal Zadżumionych. niektórzy umarli, ale przeważnie starsi, i to też nie wszyscy. Ja na przykład myślę, że oni umarli przede wszystkim ze strachu, a nie z powodu choroby. To było straszne. Kto mieszkał w tym kwartale, ten chorował. A w tamtych trzech - ludzie ślepli. Teraz te kwartały tak właśnie się nazywają - Pierwszy Ociemniały, Drugi Ociemniały... Ślepli zresztą nie do końca, a tylko tak trochę, coś w rodzaju kurzej ślepoty. Co ciekawe, opowiadają, że nie oślepli od jakiegoś błysku czy wybuchu, chociaż mówią, że wybuchy też były, ale od straszego łoskotu. Zagrzała, mówią, z taką siłą, że od razu nas oślepiło. Lekarze tłumaczą im, jak komu dobremu - to niemożliwe, przypomnicie sobie dobrze! Nie, uparli się, to był wyjątkowo silny grzmot i od niego właśnie oślepił. A żeby było śmieszniej, nikt prócz nich żadnego grzmotu nie słyszał.

Tak. wygląda tu, jakby nic się nie stało. O, tam stoi szklany kiosk, caluteńki. Dziecinny wózek w bramie, nawet pościel zdaje się, jest jeszcze czysta... Tylko te anteny zarosły jakimiś wiechciami na podobieństwo morskiej trawy. Okularnicy na tę trawę dawno zęby sobie ostrzą. Ciekawość, rozumiecie, co to za trawa - nigdzie indziej czegoś podobnego nie ma, tylko w Kwartale Zadżumionych i tylko na antenach. A co najważniejsze - tuż obok instytutu, pod samymi oknami. W zeszłym roku wpadli na świetny pomysł, z helikoptera opuścili kotwiczkę na stalowej linie, zaczepili jeden wiecheć. Tylko pociągnęli, nagle psz-sz-sz! Patrzymy - antena dymi, kotwiczka dymi i lina też dymi, i to zdrowo. I dymi się to wszystko nie normalnie, tylko z takim jakimś jadowitym sykiem - wypisz, wymaluj grzechotnik. No a pilot, chociaż lejtnant, szybko pokapował, co i jak, rzucił linę, a sam dał dęba... O, tam właśnie wisi ta lina, prawie do samej ziemi zwisa i cała trawą zarosła... I tak powolutku, powolutku dopłynęliśmy do końca ulicy, do zakrętu. Kirył spojrzął na mnie - skrecać? Machnąłem mu ręką - na pierwszym biegu! Nasz "kalosz" skrecił i wolniutko popłynął nad ostatnimi metrami ludzkiej ziemi. Trotuar zbliża się, zbliża i już cień naszego "kalosza" padł na czarne ciemność... Koniec. To już Strefa! I od razu mróz po skórze... Za każdym razem tak mnie trzęsie i do tej pory nie wiem, czy to Strefa mnie tak wita, czy nerwy stalkera wysiadają. Za każdym razem obiecuję sobie, że jak wrócę, to zapytam, czy z innymi dzieje się podobnie, i za każdym razem zapominam.

No dobra, pełzniemy sobie wolniutko nad byłymi ogródkami, silnik pod stopami huczy równo, spokojnie - no, myślę, on ma najmniej powodów do niepokoju. I w tej właśnie chwili mój Tender nie wytrzymał. Nie zdążyliśmy nawet dotrzeć do pierwszego słupka, jak nagle zaczął gadać. Ho tak, jak zwykle żółtodzioby gadają w Strefie - ząb na ząb facetowi nie trafia, serce zamiera, człowiek nie wie, co się z nim dzieje, wstydzi się okropnie i nie może się opanować. Moim zdaniem to coś w rodzaju kataru: choć się powieś, z nosa leje się i leje. Czego to oni nie wygadują! To jeden z drugim zacznie się zachwycać krajobrazem, to zacznie wykladać swoje teorie na temat przybyszów albo w ogóle truje coś bez sensu i już nie jest w stanie się zatrzymać, tak jak teraz Tender o swoim nowym garniturze. Ile za niego zapłacił i jaka cienka wełna, i jak mu krawiec guziki zmienił...

- Zamknij się - mówię.

Tender popatrzył na mnie baranym wzrokiem, bezgłośnie poruszył wargami, i znowu: ile jedwabiu poszło na podszewkę. A ogródki już się kończą, pod nami gliniaste pole, gdzie dawniej było wysypisko śmieci, i czuję, jakby jakiś wiaterek powiał. Przed chwilą żadnego wiatru nie było, a teraz nagle powiało, kurz się unosi i zdaje mi się, że coś słyszę.

- Milcz, ścierwo - mówię do Tendera. nie, w żaden sposób nie może przestać. Teraz znowu o włosiance zaczyna, no jeżeli tak, to przepraszam.

- Stój - mówię do Kiryła.

Kirył natychmiast hamuje. Zuch, ma szybki refleks. Biorę Tendera za ramię, obracam go do siebie i z całej siły przyłbice. Rąbnął, biedak nosem w szybę, oczy zamknął i zamilkł. I jak tylko zamilkł, usłyszałem: tr-r-r... tr-r-r... tr-r-r... Kirył popatrzył na mnie, zacisnął szczęki, wyszczerzył zęby. Pokazuję mu ręką, stój, stój, na miłość boską, nie ruszaj się. Ale przecież on też słyszy to trzeszczenie i jak każdego nowicjusza natychmiast korci go, żeby coś robić, żeby działać. "Tylny bieg?" - szepce. Rozpaczliwie kręcę głową, potrząsam pięścią przed samym jego hełmem - uspokój się, do cholery. Ech, mamu kochana, z tymi nowymi nie wiadomo co począć, czy na pole uważać, czy na nich. I w tym momencie zapomniałem o wszystkim. Nad kupą wiekowych śmieci, nad potłuczonym szkłem, nad strzępami starych szmat zafalowało takie jakieś drżenie, migotanie takie, no prawie tak, jak drga gorące powietrze latem nad pokrytym blachą dachem, przepęzło przez wzniesienie i szło, szło, prosto na nas, tuż obok słupka, nad drogą zatrzymało się, powstało z pół sekundy - czy może mi się tak tylko wydało - i pociągnęło w pole, za krzaki, za zgniłe parkany, tam, na cmentarz starych samochodów.

Niech ich diabli wezmą, okularników! Musieli długo myśleć, żeby wyznaczyć drogę wprost nad wykopem! A ja też jestem dobry. Gdzie miałem oczy, kiedy zachwycałem się ich kretyńską mapą?

- Teraz mała naprzód - mówię do Kiryła.

- A co to było?

- Diabeł go tam wie! Było i nie ma, i Bogu dzięki. A ty się zamknij, jeżeli cię mogę o coś prosić. Teraz nie jesteś człowiekiem, rozumiesz? Teraz jesteś maszyną, moim sterem...

Tu się tropałem, że i u mnie chyba zaczyna się słowny katar.

- Dostyc tego - mówię. - Ani słowa więcej. Królestwo za jeden tyk. Do chrzanu te wszystkie skafandry, tyle wam powiem. Bez skafandra dzięki Bogu, parę lat przeżyłem i mam nadzieję przeżyć drugie tyle, a bez solidnego tyku czegoś mocniejszego w takiej chwili... No, trudno!

Wietrzyk jakby ucichł, nic podejrzanego nie słyhać, tylko silnik huczy tak monotonnie, spokojnie. A dookoła słońce, a dookoła upał... odbłaski światła... wszystko jakby szło normalnie, słupki na dole przepływają jeden za drugim. Tender milczy, Kirił milczy, wyrabiają się chłopcy, nie martwie się, kochani, w Strefie też można żyć przy odrobinie wprawy. A oto i słupek z numerem dwadzieścia siedem - żelazny pręt, a na nim czerwone koło z dwójką i siódmką. Kirił spojrział na mnie, skinąłem mu głową i nasz "kalosz" stanął.

Wszystko do tej pory to było małe piwo. Teraz nic, tylko spokój. Śpieszyć się nie mamy dokąd, wiatru nie ma, widoczność dobra, wszystko jak na dłoni. Widać wykop, w którym Zgnilec znalazł zasłużony spoczynek - coś kolorowego jakby tam leży, może to jego łachy. Parszywy był typ. Panie, zmiłuj się nad jego grzeszną duszą, chciwy, głupi, niechlujny, tylko takich Ścierwnik Barbridge widzi na kilometr i zgarnia pod swoje skrzydła... a w ogóle to Strefa nie pyta, dobry jesteś czy zły, i wychodzi na to, że trzeba ci podziękować, Zgnilec, głupi byłeś, nawet twego prawdziwego imienia nikt nie pamięta, a mądrym ludziom pokazałeś drogę... Tak. Oczywiście najlepiej byłoby teraz dotrzeć do asfaltu. Asfalt jest równy, gładki, wszystko na nim widać i tam jest ta znajoma szczelina. Tylko że bardzo mi się nie podobają te pagóreczki! Odyby lecieć prosto nad asfaltem, trzeba by przejść jak raz nad nimi. Widzisz je, stoją, zapraszają. Nie, moje drogie, między wami ja nie przejdę. Drugie przykazanie stalkera - albo z lewej, albo z prawej musi być czysto co najmniej na sto kroków. A nad tym lewym pagóreczkiem przelecieć można... Co prawda nie wiem, co tam za nim się kryje. Na ich planie, jak sobie przypominam, niczego nie było. Ale kto wierzy planom?

- Słuchaj, Red - szepcze Kirił. - Może skoczmy, co? Na dwadzieścia metrów w górę, potem od razu w dół i już jesteśmy nad garażem, no?

- Milcz, durniu - mówię. - Nie przeszkadzaj, siedź cicho.

W górę mu się zachciało. A jak ci przysunie tam na wysokości dwudziestu metrów? Mokra plama zostanie. Albo nagle objawi się "łysica" - wtedy nawet plamy nikt z mikroskopem nie wypatrzy. Och, ci ryzykanci, niecierpliwą się, widzicie, skakać mu się zachciało... Jednym słowem, jak iść do pagórka - wiadomo, a przy nim zatrzymamy się i zobaczymy, co dalej. Wsadziłem rękę do kieszeni, wyciągnąłem garść muterek. Pokazałem je Kiriłowi i mówię:

- Pamiętasz bajkę o Tomciu Paluchu? Czytałeś ją w szkole? No to teraz wszystko będzie na odwrót. Patrz! - rzuciłem pierwszą muterkę, niedaleko rzuciłem, jak należy, mniej więcej na dziesięć metrów. Muterka poleciała normalnie. - Widziałeś?

- No? - mówi.

- Nie "no", tylko pytam, czy widziałeś?

- Widziałem.

- Teraz najwolniej jak potrafisz, prowadź "kalosz" prosto do muterki i na dwa kroki przed nią zatrzymaj się. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. Szukasz stref wzmózonej grawitacji?

- Czego trzeba, tego szukam. Poczekaj, rzucę jeszcze jedną. Patrz, gdzie upadnie, i oczu z niej więcej nie spuszczać.

Rzuciłem jeszcze jedną mutkę. Oczywiście też poleciała normalnie i upadła obok pierwszej.

- Jedziemy - powiedziałem.

"Kalosz" ruszył. Twarz Kiriła stała się spokojna i jasna. Widocznie już zrozumiał. Ci okularnicy wszyscy są tacy sami. Dla nich najważniejsze - wymyśleć nazwę. Póki nazwy nie wymyśli, aż litość bierze patrzeć na takiego, wygląda jak ktoś głupi. no a jak wymyśli! Jakaś tam wzmózona grawitacja - od razu sływa na niego spokój i zaraz lżej mu żyć na świecie.

Przelecieliśmy nad pierwszą mutką, nad drugą i trzecią. Tender wzdycha, przestępuje z nogi na nogę i co chwila ziewa ze zdenerwowania, z takim psim skomleniem - kiepsko się czuje, biedak. Nie szkodzi, to mu tylko na zdrowie wyjdzie. Pięć kilo co najmniej dzisiaj zrzuci, to lepsze od najlepszej diety... Rzuciłem czwartą mutkę. Jakoś nie tak poleciała. Nie umiem wytłumaczyć, na czym to polega, ale czuję, że coś tu nie tak, i natychmiast łaps Kiriła za rękę.

- Stój - powiadam - i ani kroku dalej. A sam wzięłem piątą i rzuciłem ją wyżej i dalej. Jest zaraza! Oto ona, "łysica" i Mutra w górę poleciała normalnie, w dół też prawie normalnie, ale w połowie drogi jakby ją ktoś w bok szarpnął, i to tak szarpnął, że wbiła się w glinę i znikła nam z oczu.

- Widziałeś? - pytam szepcem.

- Tylko w kinie widziałem - mówi Kirił i tak się wychylił do przodu, że tylko patrzeć, jak z "kalosza" wypadnie. - Rzuć jeszcze jedną, co?

Ręce mi opadły. Jedną? Czy tu jedna wystarczy? Ech, ci uczeni!... No dobra, rzuciłem jeszcze osiem muterek, póki "łysicy" nie oznaczyłem. Uczciwie mówiąc starczyłoby i siedem, ale jedną specjalnie dla Kiriła rzuciłem, w sam środek - niech się napatrzy na swoją grawitację. Plasnęła mutra w glinę, jakby to nie była mutra tylko stukilowy odważnik. Plasnęła i tylko dziurka w glinie po niej została. Kirił aż cmoknął ze szczęścia.

- No dobrze - mówię - zabawiliśmy się i wystarczy. Teraz patrz. Rzucam tam, gdzie będziemy lecieć, i nie spuszczać z niej oczu.

Krótko mówiąc objechaliśmy "łysicę" i znaleźliśmy się nad pagórkami. Właściwie pagórek był mały, jakby kot napaskudził, i do dzisiaj w ogóle go nie zauważałem. Tak... Wisimy nad pagórkami, do asfaltu jak ręką sięgnąć, ze dwadzieścia kroków. Miejsce czyściutkie, każdą trawkę widać, każde pęknięcie. Wydawałoby się, o co chodzi? Rzucam mutkę i z Bogiem.

Nie mogę rzucić mutry.

Sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje, ale w żaden sposób nie mogę się zdecydować, żeby ją rzucić.

- Co z tobą? - pyta Kirił. - Dlaczego stoimy?

- Poczekaj - mówię. - I zamknij twarz, na miłość boską. Zaraz, myślę, zaraz rzucę muterkę, przelecimy sobie spokojnie, jak po maśle przejdziemy, nawet trawka nie drgnie - pół minuty i jesteśmy nad asfaltem... I nagle spościłem się jak ruda mysz! Aż mi oczy zalało i już wiem, żadnej mutry tam nie rzucę. Na lewo, proszę bardzo, choćby dwie. Chociaż tamtędy dalej jakieś kamyki widać niezbyt przyjemne, ale tam mogę rzucić mutkę, a prosto przed siebie - za nic. I rzuciłem muterkę w lewo. Kirił nic nie powiedział, podprowadził "kalosz" do mutry i dopiero wtedy popatrzył na mnie. Wyglądałem chyba paskudnie, bo zaraz odwrócił oczy.

- To nic - mówię do niego - prosta droga nie zawsze prowadzi do celu. - I rzuciłem na asfalt ostatnią mutrę.

Dalej już było łatwiej. Znalazłem swoją szczelinę. Była czyściutka, żadnym dranstwem nie zarosła, moja najmilsza, koloru nie zmieniła. Patrzyłem na nią i promieniałem ze szczęścia. I doprowadziła nas ta szczelina do bramy garażu lepiej niż wszelkie znaki.

Polecilem Kiryłowi, żeby wszedł na wysokość półtora metra, położyłem się na brzuchu i zacząłem patrzeć w otwartą bramę garażu. Na początku, ze słońca, nic nie było widać - ciemno choć oko wykol, potem wzrok przywykł i widzę, że w garażu od tamtego czasu jakby się nic nie zmieniło. Wywrotka jak stała na kanale, tak stoi, caluteńka, bez dziur, bez plamki i na cementowej podłodze też wszystko jak przedtem, pewnie dlatego, że w kanale mało zebrało się "czarciego puddingu" i od tamtej pory ani razu nie wykpiął. Jedno mi się tylko nie spodobało - w samym końcu garażu, tam gdzie stoją kanistry, coś się srebrzy. Poprzednim razem tego nie było. No, trudno, srebrzy się, to się srebrzy, nie będziemy przecież z tego powodu wracać! A i srebrzy się, nie tak, żeby mocno, tylko odrobinę i tak spokojnie, powiedziałbym, nawet sympatycznie... Wstałem, otrząpiałem skafander i rozejrzałem się dookoła. Tam na parkingu stoją ciężarówky, rzeczywiście jak nowe - od tamtego czasu, kiedy tu byłem ostatni raz według mnie zrobiły się jeszcze nowsze, za to cysterna zupełnie biedaczka zardzewiała, niedługo się rozsypie. A tam leży opona, ta, którą widać na ich planie...

Nie spodobała mi się ta opona. Cień rzuca, jakiś taki nienormalny. Słońce nam świeci w plecy, a cień pada w naszą stronę. No dobra, do opony daleko. Właściwie wygląda wszystko nieźle, można pracować. Tylko co się tam srebrzy? A może mi się tylko zdziało? Teraz warto by zapalić, usiąść na chwilę, pomyśleć spokojnie - dlaczego właściwie srebrzy się tylko nad kanistrami, a dalej już się nie srebrzy... dlaczego taki dziwny cień od tej opony... Ścierwnik Barbridge coś opowiadał o cieniach, coś cudaczego, ale niegroźnego... Z cieniami tu różnie bywa. Ale co się tam tak srebrzy? No wypisz, wymaluj, jak pajęczyna na drzewach w lesie. Jakież to pajak ją uprzął? Och, ani razu jeszcze nie widziałem w Strefie pajęczków, czy innych bożych krówek. I co najgorsze, "pustak" leży jak raz tam, dwa kroki od kanistrów. Powinienem od razu wtedy go zabrać, nie miałbym teraz kłopotów. Ale to ścierwo jest okropnie ciężkie - udźwignąć go mogłem, ale potem targać toto na plecach i to jeszcze po nocy, i jeszcze na czworakach... a kto "pustaków" nigdy nie dźwigał, niech spróbuje. Równie wygodnie można pud wody nieść bez wiader... A więc iść, czy co? Golnąłbym sobie teraz... Odwróciłem się do Tendera i mówię:

- Teraz my z Kiryłem pójdziemy do garażu. Ty zostaniesz tu jako kierowca. Steru bez mojego rozkazu nie waż się tknąć, cokolwiek by się działo, nawet gdyby ziemia się pod tobą rozstała. Jeżeli stchórzysz - na tamtym świecie cię odnajdę.

Poważnie skinął mi głową - za nic, znaczy, nie stchórzę. Nos ma jak pomidor, zdrowo mu przysunąłem... no cóż, spuściłem ostrożnie awaryjne liny, popatrzyłem jeszcze raz na to srebrne migotanie, machnąłem ręką Kiryłowi i zacząłem schodzić. Stałem na asfalcie i czekam, póki Kirył nie zejdzie z drugiej strony.

- Spokojnie. - mówię - nie spiesz się. Bez zbędnego zamieszania.

Stoimy na asfalcie. "Kalosz" kołysze się obok nas, liny szurają pod stopniami. Tender wychylił łeb przez poręczę, patrzy na nas, a w oczach ma rozpacz. Trzeba iść. Mówię do Kiryła:

- Masz iść za mną, krok w krok, dwa kroki z tyłu, patrz mi w plecy i uważaj.

I ruszyłem. Stałem w progu, rozejrzałem się. A jednak o ileż łatwiej pracować w dzień niż w nocy! Pamiętam, jak leżałem na tym samym progu. Ciemno jak w brzuchu u Murzyna, z kanału "czarci pudding" wysuwa języki, błękitne jak płomyki spirytusu, i jak na złość niczego nie rozjaśnia, jeszcze ciemniej się wydaje od tych języków. A teraz - żyć nie umierać! Oczy przywykłe do mroku, wszystko jak na dłoni, nawet kurz widać w najciemniejszych kątach. I rzeczywiście coś tam błyszczy, jakieś srebrzyste nici ciągną się od kanistrów do sufitu - bardzo podobne do pajęczyny. Może to zresztą pajęczyna, ale lepiej się trzymać od niej z daleka. I wtedy sknoć sprawę. Powinienem Kiryła postawić obok siebie, poczekać aż jego oczy przywykną do ciemności i pokazać mu tę pajęczynę, palcem pokazać. A ja przywykłem pracować samotnie - sam już oswoiłem się z mrokiem, a o Kiryle nie pomyślałem. Przekroczyłem próg i prosto do kanistrów. Przykucnąłem nad "pustakiem", pajęczyny na nim jakby nie widać. Wziąłem za jeden koniec i mówię do Kiryła:

- Bierz, tylko nie upuść, ciężki jak cholera. Podniosłem oczy i aż mi dech zaparło - słowa nie mogę wydusić. Chcę krzyknąć: stój, ani kroku! - i nie mogę. Chyba zresztą i tak bym nie zdążył, zbyt szybko to wszystko poszło. Kirył przeskakuje przez "pustaka", odwraca się tyłem do kanistrów i całymi plecami w te srebrne nici. Ja tylko oczy zamknąłem. Wszystko we mnie zamarło, nic nie słyszę, słyszę tylko, jak rwie się ta pajęczyna. Z takim słabym cichym trzaskiem, jakby pękała zwyczajna pajęczyna, tylko oczywiście głośniejsz. Siedzę w kukki z zamkniętymi oczami, ani rąk, ani nóg nie czuję, a Kirył mówi:

- No co, bierzemy go?

- Bierzemy - mówię.

Podnieśliśmy "pustaka" i niesiemy do wyjścia, bokiem idziemy. Ciężkie ścierwo, nawet we dwóch niełatwo go targać. Wyszliśmy na słoneczko i stoimy przy "kaloszu". Tender już do nas łapy wyciąga.

- No - mówi Kirył - raz, dwa...

- Nie - mówię - poczekaj. Na początek go postawimy. Postawiliśmy.

- Odwróć się - mówię - plecami. Odwrócił się bez słowa. Ja patrzę - na plecach nic nie ma. Z tej i z tamtej strony go oglądam - nic nie widzę. Wtedy odwracam się i patrzę na kanistry. Tam też niczego nie ma.

- Słuchaj - mówię do Kiryła, ale patrzę ciągle na kanistry. - Widziałeś tę pajęczynę?

- Jaką pajęczynę? Gdzie?

- Dobra - mówię. - Żebyśmy tylko zdrowi byli. A sam myślę: to się dopiero okaże.

- No co - mówię. - Ładujemy?

Władowaliśmy "pustaka" do "kalosza", postawiliśmy go na sztorc, żeby się nie turlał, stoi teraz sobie jak aniołeczek, czyściutki, nowiutki, w miedzi słoneczko się odbija i niebieskawe pasma mglisto bełtają się między dyskami. I teraz widać, że to nie "pustak", a coś w rodzaju naczynia, szklanego słoika z niebieskim syropem. Podziwialiśmy go przez chwilę, potem wdrapaliśmy się do "kalosza" i bez zbędnych słów - w powrotną drogę.

Dobrze tym uczonym! Po pierwsze, pracują w dzień. A po drugie, ciężko im tylko wtedy, kiedy idą do Strefy, a ze Strefy "kalosz" sam wraca - jest na nim zainstalowana taka aparatura, kursograf, czy jak mu tam, który prowadzi "kalosz" dokładnie tym samym kursem, jakim szedł poprzednio. Płyniemy z powrotem i powtarzamy wszystkie manewry, przystajemy, powisimy chwilę - i dalej nad wszystkimi moimi mutrami przechodzimy, moglibyśmy zbierać je z powrotem do woreczka.

Moi chłopcy oczywiście od razu odzyskali humor. Kręcą głowami na cały regulator, prawie wszystek strach z nich wyparował - została tylko ciekawość i radość, że wszystko tak dobrze się skończyło. Zaczęli gadać. Tender macha rękami i grozi, że jak tylko zje obiad, natychmiast wraca do Strefy znakować drogę do garażu, a Kirył wziął mnie za rękaw i zaczął mi coś opowiadać o tej swojej

wzmoczonej grawitacji, to znaczy o "łysicy". No, nie od razu co prawda, ale jednak ich usadziłem. Tak spokojniutko opowiedziałem im, ilu idiotów skończyło fatalnie w powrotnej drodze na skutek własnej głupoty. Milczcie, mówię, i uważnie rozglądajcie się dookoła, bo inaczej stanie się z wami to, co się stało z Lyndonem - Kruszyńką. Poskutkowało. Mawet, nie zapytali, co się właściwie stało z Lyndonem - Kruszyńką. Płyniemy w ciszy, a ja myślę tylko o jednym: jak będę odkręcać manierkę, na różne sposoby wyobrażam sobie pierwszy łyk, a przed oczyma coraz to mi błyska srebrna pajęczynka. Krótko mówiąc, wydostaliśmy się ze Strefy, zapędzili nas razem z "kaloszem" do odswzalni, czyli, wyrażając się naukowym językiem, do hangaru sanitarnego. Szorowali nas do upojenia, napromieniowywali jakimś paskudztwem, obsypywali czymś i znowu płukali, potem wysuszyli i powiedzieli: jesteście wolni, koledzy! Tender z Kiryłem wytaszczyli "pustaka". Zleciały się nieprzebrane tłumy, żeby się napatrzeć, i co charakterystyczne - wszyscy tylko patrzą, wydają z siebie entuzjastyczne okrzyki, ale żeby pomóc zmęczonym ludziom dźwigać - na to nie było odważnych... Dobra, mnie to wszystko nie obchodzi. Mnie już teraz nic nie obchodzi...

Ściągnąłem z siebie skafander, rzuciłem na podłogę - sierżanci sprzątną - a sam prosto pod prysznic, bo cały mokry byłem od stóp do głów. Zamknąłem się w kabinie, wyciągnąłem manierkę, odkręciłem i przysssałem się do niej jak pijawka. Siedzę na ławeczce, w kolanach miętko, w głowie pusto i ciągnę gorzałkę. Jak wodę. Żyję. Zlitowała się Strefa. Wypuściła, wiedźma. Zaraza najmiłsza. Podła. Żyję. Te żółtodzioby nigdy tego nie rozumieją, nikt prócz stalkera tego nie rozumie. I lzy spływają mi po twarzy ni to od wody, ni to sam nie wiem od czego. Wydoiłem manierkę do dna, sam jestem mokry, a manierka sucha. Oczywiście jak zwykle zabrakło jeszcze jednego ostatniego łyeczka. To nic, to jest do naprawienia. Teraz wszystko jest do naprawienia. Żyję. Zapaliłem papierosa, siedzę. Czuję, jak powoli się uspokajam. Przypomniałem sobie o premii. W naszym instytucie zorganizowano to na sto dwa. Choćby w tej chwili mogę iść po swoją kopertę. A może sami przyniosą, prosto tutaj.

Powolutku zacząłem się rozbierać. Zdjąłem zegarek, patrzę: byliśmy w Strefie pięć godzin z minutami, moi państwo! Pięć godzin. Aż mi się słabo zrobiło. Koledzy, w Strefie czas nie istnieje. Pięć godzin... A właściwie, jeżeli się dobrze zastanowić, to co to jest dla stalkera pięć godzin? nawet mówić nie warto. A dwanaście godzin nie łaska? A dwie doby nie łaska? Nie zdążyłeś przez noc, leżysz cały dzień w Strefie z mordą przy ziemi i nawet już się nie modlisz, tylko majaczysz i sam nie wiesz, żyjesz jeszcze czy już jesteś trupem. A następnej nocy zrobisz co do ciebie należy, jesteś z towarem na granicy, a tam czekają patrole z karabinami maszynowymi, ścierwa, które cię nienawidzą, wcale nie chcą cię aresztować, to dla nich żaden interes, boją się śmiertelnie, że jesteś skażony, chcą cię za wszelką cenę rozwalić i mają wszystkie atuty, możesz potem długo udowadniać, że cię bezprawnie zastrzelili. A to znaczy, że znowu z mordą przy ziemi modlisz się do świtu, a potem do zmierzchu, a towar leży obok ciebie i nawet nie wiesz, czy zwyczajnie sobie leży, czy cię powoli zabija. Albo jak Kosmaty Icchok - utknął o świcie w pustym polu między dwoma wykopami - ani w prawo, ani w lewo. Dwie godziny udawał nieboszczyka. Bogu dzięki uwierzyli i wreszcie zostawili go w spokoju. Widziałem Icchoka potem, nie ten sam człowiek, nawet go nie poznałem...

Wytarłem lzy i puściłem wodę. Myłem się długo. Gorącą, potem zimną, potem znowu gorącą. Cały kawał mydła wymydlilem. W końcu mi zbrzydło. Zamknąłem prysznic, i słyszę - ktoś się dobija do drzwi i głosem Kiryła wrzeszczy wesoło:

- Ej, stalker, wyłaź! Forsa ante portas! O forsie zawsze miło słyszeć. Otworzyłem drzwi, Kirył stoi goły, w samych kąpielówkach, wesoły, bez śladu melancholii i podaje mi kopertę.

- Trzymaj - mówi - to od wdzięcznej ludzkości.

- Kicham na twoją ludzkość! Ile tu jest?

- W drodze wyjątku, za bohaterską postawę w obliczu niebezpieczeństwa - dwie pensje!

Tak. Można wytrzymać. Gdyby mi tu za każdego "pustaka" płacili po dwie pensje, dawno posłałbym Ernesta do wszystkich diabłów.

- No i co, jesteś zadowolony? - pyta Kirył, a promienieje jaśniej słońca.

- Owszem - mówię. - A ty? Kir nie odpowiedział. Objął mnie za szyję, przycisnął do swojej spoconej piersi, odepchnął i zniknął w swojej kabinie.

- Ej! - krzyczę za Kiryłem. - A co z Tenderem? Gacie pierze?

- Chyba żartujesz! Tendera opadli korespondenci. Żebyś zobaczył, jaki jest nadęty... Teraz im kompetentnie referuje...

- Jak - powiadam - referuje?

- Kompetentnie.

- Dobra - mówię - sir. następnym razem zaopatrzę się w słownik wyrazów obcych, sir. - I w tym momencie jakby mnie prąd poraził. - Poczekaj. Kirył - mówię. - Wyjdź no na chwilę.

- Kiedy jestem już goły odpowiada.

- Nie szkodzi, nie jestem babą.

No więc wyszedł. Wziąłem go za ramiona, odwróciłem plecami, do siebie, nie, przywidziało mi się. Plecy ma czyste. Tylko zaschnięte strużki potu, a skóra jak skóra.

- Czego ty chcesz od moich pleców? - pyta Kirył. Dałem mu lekkiego kopniaka, uciekłem do swojej kabiny, zamknąłem się. Nerwy, cholera by je wzięła. Tam mi się zwidywało, tu mi się zwiduje... Miech to jasny piorun spali!... Spiję się dzisiaj jak świnia, nieźle byłoby oskubać Richarda. To jest myśli gra, ścierwo, jak stary... Z najlepszą kartą nic mu nie można zrobić. Już nawet karty znałyłem i na inne różne sposoby próbowałem, no i ucho...

- Kirył! - krzyczę. - Będziesz dzisiaj w "Barge"

- Nie w "Barge", a w "Barszczu", ile razy mam ci powtarzać?

- Przestań! napisane jest "Barge", to ma być "Barge". Lepiej nie wprowadzaj u nas swoich porządków. Więc przyjdiesz, czy nie? nieźle byłoby ograć Richarda...

- Och, nie wiem. Red, jak to będzie. Ty przecież nie masz najmniejszego pojęcia, cośmy przywieźli...

- A ty masz pojęcie?

- Też nie mam. Co prawda, to prawda. Ale teraz po pierwsze, wiadomo, do czego te "pustaki" służyły. A po drugie, jeśli potwierdzi się jedna moja teoria... napiszę artykuł i poświęcę go tobie osobiście - Redowi Shoehartowi, honorowemu stalkerowi, z wyrazami wdzięczności i uwielbienia.

- I wtedy mnie wsadzą do pudła. Minimum dwa lata.

- Za to wejdiesz do historii nauki. Tę sztuczkę tak właśnie nazwiemy: "puszka Shoeharta". To brzmi dumnie, prawda?

Tak sobie gadaliśmy, a ja się tymczasem ubrałem, wsadziłem pustą manierkę do kieszeni, przeliczyłem gotówkę i poszedłem sobie.

- Wszystkiego najlepszego, nadziejo światowej nauki...

Nie odpowiedział. Bardzo głośno szumiała woda. Patrzę, a w korytarzu pan Tender we własnej postaci, czerwony i nadęty niczym ropucha. Wokół niego - tłumy, i pracownicy, i korespondenci, i nawet dwaj sierżanci się przyplątali (prosto z obiadu, jeszcze w zębach dębiami), a Tender nic, tylko gada. "Ta technika, którą dysponujemy - truje - daje prawie stuprocentową gwarancję bezpieczeństwa i osiągnięcia zaplanowanych rezultatów..." W tym momencie zobaczył mnie i nieco przywiął - uśmiecha się macha do mnie ręką. No, myślę, trzeba wiać. Wystartowałem, ale niestety za późno. Słyszę, gonią mnie.

- Panie Shoehart! Panie Shoehart! Dwa słowa o garażu!
- Odmawiam komentarza - mówię i przechodzę w kłus. Ale diabła tam uciekniesz przed nimi. Jeden z mikrofonem zabiega drogę z lewej, drugi z aparatem fotograficznym - z prawej.
- Dosłownie jedno zdanie! Czy zauważył pan w garażu coś niezwykłego?
- Nie mam nic do powiedzenia! - mówię i staram się kłusować plecami do obiektywu. - Garaż jak garaż...
- Dziękuję panu. Co pan sądzi o turboplatformach?
- Są cudowne - mówię i ostrożnie przymierzam się do toalety.
- Co pan myśli o celach Lądowania?
- Miech się pan zwróci do uczonych - mówię i już jestem za drzwiami. Pukają. Wtedy mówię przez drzwi:
- Dobrze panom radzę, zapytajcie pana Tendera, dlaczego ma nos jak pomidor. Pan Tender milczy z wrodzonej skromności, a to była nasza najwspanialsza przygoda.

Ależ zrobili stumetrówkę korytarzem! Złoty medal gwarantowany. Jak Boga Kocham. Poczekałem minutę - cicho. Wyjrzałem - nie ma nikogo. No i poszedłem sobie, pogwizdując. Zszedłem do portierni, pokazałem tyczkowatemu przepustkę, patrzę, a on mi salutuje. Jako bohaterowi dnia, rzecz jasna.

- Spocznij - mówię. - Jestem z was zadowolony, sierżancie.
Wyszczrzył zęby, jakby mu sam generał pożyczył stówę.
- Brawo, Rudy - mówi. - Jestem dumny - mówi - że mam takich znajomych.
- Co - mówię - będziesz teraz miał o czym opowiadać dziewczynom w swojej Szwecji?
- Pytanie! - mówi. - Żadna mi się nie oprze! Jak się mu przyjrzeć, to zupełnie przyzwyczajony chłopak. Jeśli mam być szczery, nie lubię takich rumianych i rosyjskich facetów. Dziewczyny latają za nimi jak wściekłe, właściwie dlaczego? nie o wzrost przecież chodzi. Słońce świeci, na ulicy bezludnie. I nagle zapragnąłem teraz, natychmiast, zobaczyć Gutę. Po prostu. Popatrzę na nią, potrzymać za rękę. Po Strefie tylko to jedno pozostaje człowiekowi - potrzymać dziewczynę za rękę. Szczególnie kiedy sobie przypomnę te wszystkie plotki o dzieciach stalkerów - te dzieci wyglądają... Tak, co tu myśleć o Gucie, teraz na początek przydałaby się butelka czegoś mocniejszego, i to jako program minimum, a dalej się zobaczy. Minałem parking i już niedaleko granica Strefy. Stoją dwa samochody patrolowe. Stoją w całej swej krasie, żółte, rozłożyste, z reflektorami i karabinami maszynowymi, dranie, no i rzecz jasna obok bohaterowie w błękitnych hełmach, całą ulicę zakorkowali, przepchnąć się nie można. Idę, oczy spuściłem, lepiej, żebym teraz ich nie widział, lepiej, żebym w ogóle na nich nie patrzył, zwłaszcza w dzień - są tam między nimi dwa, trzy typki i boją się, że mi się teraz napatoczą, straszna chryja wyniknie, jeśli mi się napatoczą. Mieli szczęście, przysięgam na Boga, że Kirył mnie ściągnął do instytutu, bo tych drani wtedy właśnie szukałem i ręka by mi nie zdrząła.

Przedzieram się przez ten tłum bokiem, już się prawie przedarłem, kiedy nagle słyszę: "Ej, stalker!" No, mnie to nie dotyczy, idę sobie dalej, wyciągam z paczki papierosa. Ktoś mnie dogania z tyłu i łapie za rękaw. Strzasnąłem tę rękę z siebie, odwracam głowę i bardzo grzecznie pytam: - Po kiego diabła pan się czepiasz?

- Poczekaj, stalker - mówi tamten. - Dwa pytania.
Podniosłem oczy - kapitan Quarterblood. Stary znajomy. Wysechł na wiór, żółkły.
- A - mówię - wszystkiego najlepszego, panie kapitanie. Jak tam wątroba?
- Ty mnie nie zagaduj - mówi kapitan gniewnie i świdruje mnie spojrzeniem na wylot. - Lepiej mi powiedz, dlaczego nie zatrzymujesz się, kiedy cię wołają?

I już dwa błękitne hełmy stoją za jego plecami, łapy na kaburach, oczu nie widać tylko szczęki chodzą pod hełmami. I gdzie w tej ich Kanadzie takich wygrzebują? Na zarybek ich do nas przysyłają, czy co? W dzień w ogóle się nie boją patroli, ale zrewidować kanale mogą, a to mi bardzo nie na rękę w tej chwili.

- A czy to mnie pan wołał, panie kapitanie? - mówię. - Słyszałem, że jakiegoś stalkera.
- A ty, jak się okazuje, już nie jesteś stalkerem?
- Od czasu, jak z pańskiej lekkiej ręki odsiedziałem swoje - skończyłem z tym. Na amen. Dzięki panu, panie kapitanie, otworzyły mi się wtedy oczy. Gdyby nie pan...
- Co robiłeś koło Strefy?
- Jak to co? Przecież pracuję w instytucie. Już ze dwa lata.

I żeby zakończyć tę niemiłą rozmowę, wyjmuję swoją legitymację i okazuję ją kapitanowi. Quarterblood wziął moją legitymację, przekartkował, każdy stempelek, każdą stroniczkę dosłownie obwąchał, omal nie oblizał. Zwraca mi legitymację, zadowolony niewypowiedzianie, oczy mu płoną, nawet poróżowił.

- Przepraszam cię - mówi - Shoehart. Tego się nie spodziewałem. To znaczy, że nienadaremnie słuchałeś moich rad. No cóż, bardzo się cieszę. Chcesz, możesz mi wierzyć lub nie, ale już wtedy przypuszczałem, że jeszcze będą z ciebie ludzie. Nie mogłem dopuścić do siebie myśli, że taki chłopak jak ty...

I zaczęło się. No, myślę sobie, wyleczyłem jeszcze jednego melancholika na swoje nieszczęście, a sam oczywiście słucham, oczy spuściłem, potakuję, rozkładam ręce i nawet, o ile pamiętam, tak nieśmiało, noskiem buta rysuję esy floresy na trotuarze. Bojówkarze za plecami kapitana posłuchali czas jakiś, zemdlilo ich widać, bo patrzę, pomaszzerowali w weselsze miejsce. A kapitan teraz mi o radosnych perspektywach opowiada - nauka to wielka rzecz, na naukę, okazuje się, nigdy nie jest za późno. Pan Bóg powiada, lubi i ceni uczciwą pracę - no i w ogóle drętwa mowa w najlepszym gatunku, ta sama, którą nas co niedziela raczył w więzieniu nasz ojciec duchowny. A ja mam taką ochotę wypić, że aż mnie skręca. To nic, myślę. Red, to nic, bracie, i to też musisz znieść. Cierp, Red, tak trzeba! Długo on tego tempa nie wytrzyma, już dostał zadyszki... wtedy na moje szczęście zaczął trąbić jeden z samochodów patrolowych. Kapitan Quarterblood obejrzał się, odkaszlnął z niezadowolaniem i wyciąga do mnie rękę.

- No cóż - mówi - cieszę się, że poznałem uczciwego człowieka. Reda Shoeharta. Z przyjemnością wypiłbym z tobą butelczynę na cześć naszej nowej znajomości. Wódki wprawdzie nie mogę pić, lekarz mi zakazał, ale na piwo chętnie bym z tobą poszedł. Tylko sam widzisz - służba! Ale nic straconego - mówi - na pewno się jeszcze spotkamy.

Nie daj Boże, myślę. Ale rękę mu ściskam, nadal się czerwienię i szuram nóżką - wszystko jak pan kapitan lubi. Potem Quarterblood poszedł sobie nareszcie, a ja lotem strzały do "Barge".

W "Barge" o tej porze jest pusto. Ernest stoi za ladą baru, przeciera kieliszki i ogląda je pod światło. To zdumiewające, nawiasem mówiąc, zjawisko - gdzie i kiedy byś nie przyszedł, wiecznie ci barmani przecierają kieliszki, jakby akurat od tego zależało zbawienie ich duszy. Tak właśnie będzie stał choćby cały dzień - weźmie kieliszek, przymroży oczy, spojrzy pod światło, chuchnie na szkło i zaczyna trzeć. Wyciera, wyciera, znowu spojrzy, tym razem dla odmiany od spodu, i znowu...

- Cześć Ernie! - mówię. - Nie męcz go dłużej, bo przetrzesz na wylot!

Spojrzał na mnie przez kieliszek, wymamrotał coś głosem brzuchomówcy i bez zbędnych słów nalał mi na cztery palce. Wdrapałem się na stołek pociągnąłem, zmrużyłem oczy, potrząsnąłem głową i powtórzyłem zabieg. Mruczy lodówka, szafa grająca trilką cichutko. Ernest posapuje w kolejny kieliszek - cisza, spokój... Dopilem, postawiłem szklaneczkę na ladzie i Ernest w mgnieniu oka nalewa mi ponownie.

- Ho co, już ci lepiej? - burczy. - Przyszedłeś do siebie?

- Ty lepiej pilnuj swoich kieliszków - mówię. - A wiesz był jeden taki, też tak tarł, tarł i wywołał złego ducha. Potem żył sobie jak pączek w maśle.

- Znałeś go? - pyta Ernie z niedowierzaniem.

- A był tu jeden taki barman - opowiadam. - Jeszcze przed tobą.

- No i co?

- Ano nic. Jak myślisz, dlaczego oni tu przylecieli? Wszystko dlatego, że tamten bez przerwy tarł i tarł... Jak sądzisz, kto do nas przyleciał?

- A idź ty - mówi Ernie z uznaniem.

Potem poszedł do kuchni i wrócił z talerzem - przyniósł opiekane parówki. Postawił przede mną talerz, podsunął keczup, a sam ponownie zabrał się do kieliszków.

Ernest zna się na swojej robocie. Ma bezbłędne wyczucie, od razu widzi, że stalker wrócił ze Strefy, że towar będzie i Ernie wie, czego stalkerowi w takiej chwili potrzeba. To swój chłop ten Ernie! Dobroczyńca.

Zjadłem parówki, zapaliłem i zacząłem obliczać, ile też Ernie na nas zarabia. Jakie ceny płacą za towar w Europie tego nie wiem, ale tak kątem ucha słyszałem, że na przykład za "pustaka" dają tam około dwa i pół tysiąca, a Ernie płaci wszystkiego czterysta. Za "baterijkę" można tam wyciągnąć co najmniej setkę, a my dostajemy w najlepszym razie dwie dychy. Da pewno z całą resztą sprawa wygląda podobnie. Co prawda przeszmuglowanie towaru do Europy również coś niecoś musi kosztować. Temu w łapę, tamtemu w łapę, komendant stacji też jest na pewno na ich utrzymaniu... Tak że jeśli się zastanowić, Ernest nie tak wiele wyciąga - około pięćdziesięciu procent, nie więcej, jeżeli wpadnie, to dziesięć lat katorgi ma jak w banku...

W tym momencie moje bogobojne rozważania przerywa jakiś ugrzecznony typek, nawet nie usłyszałem, kiedy wszedł. Wykwitł obok mojego prawego łokcia i pyta:

- Czy można?

- Co za pytanie! - mówię. - Oczywiście!

Taki nieduży, szczuplutki, z zadartym noskiem i w czarnej muszce. Jakbym go gdzieś widział, ale gdzie - pojęcia nie mam. Włazi na stołek obok mnie i mówi do Ernesta:

- Poproszę whisky! - I od razu do mnie:

- Przepraszam, ale my się chyba znamy. Pan pracuje w Instytucie Międzynarodowym, prawda?

- Tak - mówię - A pan?

Typek zręcznie wyciąga z kieszeni wizytówkę i kładzie przede mną. Czytam: "Alois Machno, agent Biura Emigracyjnego". Oczywiście, że go znam. Czepia się ludzi, żeby wyjeżdżali z miasta. Widzicie ich, nas i tak ledwie połowa została w Harmont, a oni chcą, żebyśmy wszyscy się wynieśli. Odsunąłem wizytówkę paznokciem.

- Nie - mówię - serdeczne dzięki. To nie dla mnie. Marzę, wie pan, żeby moje gości spoczęły w ojczyściej ziemi.

- A dlaczego? - pyta z ożywieniem. - Proszę mi wybaczyć niedyskrecję, ale co pana tu trzyma?

Już się rozpędziłem, żeby mu powiedzieć, co mnie tu trzyma.

- Głupie pytanie! - odpowiadam. Słodkie wspomnienia dzieciństwa. Pierwszy pocałunek w miejskim parku. Tatuś, mamusia. Jak pierwszy raz urzniętem się w trupa w tym oto barze. Drogi sercu komisariat policji... - Tu wyjmuję z kieszeni zasmarkaną chusteczkę i ocieram oczy - nie - mówię. - Za nic!

Alois pośmiał się, wypił łyżeczek whisky i z zadumą powiada:

- Nie mogę zrozumieć was, mieszkańców Harmont. Życie w mieście jest bardzo ciężkie. Władza należy do armii. Zaopatrzenie paskudne. Pod bokiem Strefa, życie jak na wulkanie. W każdej chwili może wybuchnąć epidemia albo coś jeszcze gorszego. Jeszcze rozumiem starszych ludzi. Na stare lata trudno się ruszyć z miejsca. Ale pan... Ile pan ma lat? Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, nie więcej... niechże pan zrozumie, że nasze biuro jest organizacją filantropijną, nasza działalność nie przynosi nam żadnego zysku. Po prostu chcemy, żeby ludzie opuścili to przeklęte miasto i zaczęli żyć normalnie. Przecież dajemy pewną sumę na początek, zapewniamy pracę na nowym miejscu... młodym, takim jak pan, umożliwiamy naukę... Nie, nie rozumiem!

- A co? - pytam - nikt nie chce wyjeżdżać?

- Nie tak znowu, żeby nikt... niektórzy dają się namówić, zwłaszcza jeżeli mają rodziny. Ale młodzież i starcy... No co was trzyma w Harmont? To przecież dziura, prowincja...

Teraz pokazałem mu na co mnie stać.

- Panie Machnol - mówię. - Ma pan świętą rację. Nasze miasteczko to dziura. Zawsze dziurą było i dziurą pozostało. Tylko że obecnie - mówię - to dziura w przyszłość. Przez tę dziurę my napompujemy wasz parszywy świat takimi rzeczami, że wszystko się zmieni. Życie stanie się inne, lepsze, i każdy będzie miał wszystko, czego mu trzeba. Podobna się panu taka dziura? Przez tę dziurę płynie wiedza. A kiedy już będziemy wiedzieli, co należy i wszyscy będą bogaci, polecimy do gwiazd i gdzie tylko zechcemy. Teraz już pan wie, co to za dziura...

W tym momencie przerwałem, ponieważ zauważyłem, że Ernest patrzy na mnie z ogromnym zdumieniem, i zrobiło mi się głupio. W ogóle nie lubię powtarzać cudzych słów, nawet jeżeli dajmy na to podobają mi się. Tym bardziej, że wychodzi mi to jakoś koślawo. Kiedy opowiada Kirył, człowiek słucha z otwartą gębą. A ja niby mówię to samo, a efekt jest zupełnie inny. Może dlatego, że Kirył nigdy Ernestowi na ladę towaru nie wykladał. No i dobrze...

Tu mój Ernest połapał się i szybko nalał mi tak na sześć palców od razu - opamiętaj się chłopcze, co się z tobą dzisiaj dzieje? A ostronosy pan Machno znowu delikatnie pociągnął swoją whisky i mówi:

- Tak, oczywiście... Wieczne akumulatory, "błękitne panaceum"... Ale czy pan naprawdę wierzy, że stanie się tak, jak pan powiedział?

- To nie pański interes, w co ja wierzę naprawdę a w co na niby - mówię. - Mówiłem panu o mieszkańcach miasta. A o sobie powiem tak: czego ja mam szukać w tej waszej Europie? Waszej śmiertelnej nudy? Cały dzień mam orać jak głupi, a wieczorem patrzeć w telewizor?

- No, niekoniecznie trzeba zaraz do Europy...

- A tam - mówię - wszędzie to samo, a na Antarktydzie jeszcze w dodatku zimno.

I co najdziwniejsze: mówiłem do niego i ze wszystkich sił wierzyłem w to, co mówię. I nasza Strefa, wiedźma przeklęta, zaraza morowa, w tym momencie była mi sto razy milsza niż ich wszystkie Europy i Afryki. A przecież nawet jeszcze nie byłem pijany, po prostu wyobraziłem sobie przez sekundę, jak wracam z pracy doszczętnie wypompowany, w tłumie podobnych mi kretynów, jak w tym ich metro gniotą mnie, deptają mi po nogach, jak mi wszystko obrzydło i jak już nic mi się nie chce.

- A co pan na to? - zwraca się ostronosy do Ernesta.

- Ja mam swój byznes - wyniośle odpowiada Brnie. - nie jestem byle kim! Ja wszystkie swoje pieniądze włożyłem w ten bar. Do mnie czasami nawet sam komendant zagląda, generał, jasne? Z jakiej racji mam stąd wyjeżdżać?

Pan Alois Machno zaczął mu coś wyjaśniać przy pomocy liczb, ale ja już nie słuchałem. Golnałem sobie zdrowo, wygrzebałem z kieszeni garść bilonu, zlażłem ze stołka i na początek uruchomiłem na cały regulator grającą szafę. Jest tam taka jedna piosenka "Nie wracaj, jeżeli nie jesteś pewien". Bardzo dobrze na mnie wpływa po Strefie... No więc szafa grzmi i zawodzi, a ja zabrałem swoją szklaneczkę i poszedłem w ką, wyrównać stare rachunki z "jednorękim bandytą", no i czas jak ptak poleciał... Przepuszczam ostatni bilon, a tu pojawiają się pod gościnnym dachem baru Richard Nunnun z Szuwakssem. Szuwaks już chodzi na rzęsach, przewraca oczami i szuka, komu by dać w mordę. A Richard Nunnun czule trzyma go pod ramię i odwraca jego uwagę dowcipami. Piękna para! Szuwaks, chłop jak byk, czarny jak noc, kędzierzawy, łapy do kolan, a Dick maleńki, zażywny i różowy, wcielenie bogobojności, brak mu tylko aureoli.

- O! - krzyczy Dick na mój widok. - I Red tu jest! Chodź do nas. Red!

- Słusznie! - ryczy Szuwaks. - W całym tym mieście jest tylko dwóch ludzi: Red i ja! Wszyscy inni to wieprze, dzieci szatana. Red! Ty też służysz szatanowi, ale jednak jesteś człowiekiem...

Podchodzę do nich ze swoją szklanką. Szuwaks łapie mnie za kurtkę, sadza przy stoliku i mówi:

- Siadaj, Rudy! Siadaj, sługo szatana! Kocham cię. Będziemy opłakiwać grzechy ludzkości. Gorzko opłakiwać!

- Zapłaczymy - mówię. - Łykniemy sobie grzesznych łez.

- Zaprawdę powiadam wam - prorokuje Szuwaks. - Zaprawdę osiodłany już jest koń blady, a jeździec jego już trzyma nogę na strzemieniu. I daremne są modły tych, co się zapredali szatanowi. Ostaną się tylko ci, którzy wydali mu wojnę. Wy, synowie człowieczy, skuszeni przez szatana, szatańskimi igrający cackami, szatańskich skarbów złaknieni - do was mówię, o ślepi! Opamiętajcie się, bydlaki, póki czas! Podepczcie błyskotki szatańskie! - Tu zamilkł nagle, jakby zapomniał, co ma być dalej. - A czy mi tu dadzą wreszcie czegoś do picia? - zapytał nagle zupełnie innym głosem. - Cudzie ja właściwie jestem?... Wiesz, Rudy, znowu mnie pogonili z roboty. Od agitatorów mnie wyzwali. Ja im tłumaczę - opamiętajcie się ślepcy, sami lećcie w przepaść i innych ślepców ciągniecie za sobą! Śmieją się. No więc dałem w mordę kierownikowi i poszedłem sobie. Teraz mnie posadzą. I za co? Wrócił Dick, postawił na stoliku butelkę.

- Dzisiaj ja płacę! - krzyknąłem do Ernesta. Dick spojrział na mnie zezem.

- Wszystko legalnie - mówię. - Będziemy moją premię przepijać.

- Byliście w Strefie? - pyta Dick. - Przynieśliście coś ciekawego?

- Pełnego "pustaka" - mówię. - Złożyliśmy go na ołtarzu nauki, nalejesz nam wreszcie, czy nie?

- "Pustaka" - buczy z goryczą Szuwaks. - Dla jakiegoś "pustaka" ryzykowałeś życiem! Uszedłeś z życiem, ale przez ciebie pojawił się na świecie jeszcze jeden diabelski przedmiot... A skąd możesz wiedzieć. Rudy, ile grzechów i nieszczęść...

- Przymknij się. Szuwaks - mówię do niego surowo. - Pij i raduj się, że wróciłem żywy. Za mój fart, chłopcy!

Dobrze nam się piło za mój fart. Szuwaks całkiem się rozkleił, siedzi i płacze, z oczu mu kapie jak z zepsutego kranu. To nic, znam go dobrze. Musi przejść przez takie stadium - zalewa się łzami i wreszczy, że Strefa to dzieło szatana i że nic z niej nie wolno wynosić, a co już wyniesiono, trzeba odnieść z powrotem i żyć tak, jakby Strefy w ogóle nie było. Że niby co szatańskie - szatanowi. Bardzo lubię Szuwakska. W ogóle lubię dziwaków. Kiedy Szuwaks jest przy forsie, skupuje od wszystkich towar, nie targuje się, płaci, ile żądają, a potem w nocy targa wszystko z powrotem do Strefy i tam zakopuje... Ależ szłocha. Boże kochany! Ale to nic, on jeszcze pokaże, co potrafi.

- A jak wygląda taki pełny "pustak"? - pyta Dick. - Zwyczajne "pustaki" widziałem, ale pełne? Co to właściwie takiego? Pierwszy raz słyszę.

Wy tłumaczyłem, Dick pokiwał głową i nawet cmoknął parę razy.

- Tak - mówi - to ciekawe. To - mówi - coś nowego. A z kim byłeś? Z Rosjaninem?

- Tak - odpowiadam. - Z Kiryłem i z Tenderem. Wiesz, z tym naszym laborantem.

- Uszarpałeś się pewnie z nimi...

- Nic podobnego. Chłopcy trzymali się zupełnie przyzwoicie. Szczególnie Kirył. Urodzony stalker - mówię. - Gdyby miał trochę więcej doświadczenia i pozbył się tej swojej dziecinnej niecierpliwości, mógłbym z nim co dzień chodzić do Strefy.

- I po co? - pyta Dick z pijackim śmieszkiem.

- Uspokój się - mówię. - Żarty żartami...

- Wiem - mówi. - Żarty żartami, a za takie gadanie można zarobić w ucho. Możesz uważać, że jestem twoim dłużnikiem...

- Komu trzeba dać w ucho? - ocknął się Szuwaks. - Gdzie on jest?

Złapaliśmy go za ręce i z trudem posadziliśmy na krześle. Dick wetknął mu w zęby papierosa i podsunął zapalniczkę. Uspokoił się. A tymczasem tłok robi się coraz większy. Bar już oblepiony, prawie wszystkie stoliki zajęte. Ernest zwołał swoje dziewczyny. Biegają, roznoszą, co komu trzeba - jednym piwo, innym koktajle, jeszcze innym czystą. Patrzą i jakoś mi się zdaje, że w mieście widać coraz więcej nowych twarzy, i to głównie jacyś smarkacze w kolorowych szalikach do ziemi. Powiedziałem o tym Dickowi. Dick potwierdził.

- No a jakże inaczej - mówi. - Zaczyna się wielki sezon budowlany. Kładą już fundamenty pod trzy nowe budynki dla instytutu, a oprócz tego planują budowę wielkiego muru wokół Strefy - od cmentarza do starego ranczo. Kończą się dobre czasy dla stalkerów...

- A kiedy czasy były dobre dla stalkerów? - pytam. A sam myślę: masz babo placek, a to co znowu? Koniec, teraz już się nie zarobi. Cóż, może to i lepiej, mniejsza pokusa. Będę chodzić do Strefy w dzień, jak przystało na porządnego człowieka. Forsa wprawdzie już nie taka, ale za to o ileż bezpieczniej - "kalosz", skafandry i tak dalej, i patrole mogą cię pocałować... Żyć będę z pensji, a pić za premie. I taka straszna chandra mnie napadła! Znowu liczyć każdy grosz - na to mogę sobie pozwolić, na tamto już nie mogę, na każdą szmatkę dla Guty odkładaj pieniądze do skarbonki, do baru nie zaglądam, kino jest tańsze... Wszystko szare, nudne, szare dni, szare noce...

Tak sobie siedzę i myślę a Dick buczy mi nad uchem:

- Wczoraj w hotelu wpadłem wieczorem do baru, żeby wypić na sen coś mocniejszego. Patrzę - siedzą jacyś nieznani faceci, nie spodobał mi się od pierwszej chwili. Przysiada się jeden taki do mnie i zaczyna rozmowę z daleka, daje do zrozumienia, że mnie zna, wie, kim jestem i gdzie pracuję, że gotów jest dobrze zapłacić za pewne przysługi...

- Szpicel - mówię, niezbyt mnie to zainteresowało, niejednego szpicla widziałem w życiu i słyszałem niejedną rozmowę o przysługach.

- Nie, mój miły, to nie był szpicel. Lepiej posłuchaj. Chwilę z nim pogadałem, ostrożnie, rzecz jasna, udałem takiego skromnego przygłupka. Interesują go pewne przedmioty w Strefie i to nie byle śmiecie, ale raczej rzeczy wartościowe. Na akumulatory, "świerzby", "czarne bryzgi" i podobną biżuterię nie reflektuje. A o tym, na co reflektuje, wspominał raczej aluzyjnie.

- Więc o co mu chodzi? - pytam.

- O "czarci pudding", o ile dobrze zrozumiałem - mówi Dick i jakoś dziwnie na mnie patrzy.

- Ach, "czarci pudding" jest mu potrzebny! - mówię. - A "lampa śmierci" przypadkiem nie jest mu potrzebna?

- Też go o to zapytałem.

- No i?

- Wyobraź sobie, potrzebna.

- Tak? - mówię. - No, Jeśli tak, niech sobie sam przyniesie. To przecież drobnostka! "Czarciego puddingu" pełne piwnice, tylko brać wiadro i ładować. Pogrzeb na koszt własny.

Dick milczy, patrzy na mnie spode łba i nawet się nie uśmiecha. Co u diabła, chce mnie wynająć, czy co? I dopiero w tym momencie do mnie dotarło.

- Poczekaj - mówię. - A kto to mógł być? Z "puddingiem" nawet w Instytucie nie wolno robić doświadczeń...

- Słusznie - mówi Dick bez pośpiechu i patrzy na mnie bez przerwy. - Doświadczenia stanowiące potencjalne niebezpieczeństwo dla ludzkości. Teraz już rozumiesz, kto to był?

Nadal nie rozumiałem.

- Przybysze z Kosmosu? - pytam. Dick roześmiał się, poklepał mnie po ramieniu i mówi:

- Piję za twoje zdrowie, o święta naiwności!

- Zgoda - mówię, ale krew mnie zalewa. Znalazł sobie naiwnego, sukinsyn! - Ej! - mówię. - Szuwaks! Dostyc tego spania, lepiej napij się z nami.

Nie, Szuwaks nie będzie pił. Szuwaks śpi. Położył swój czarny łeb na czarnym stoliku i śpi, ręce zwiesił do podłogi. Wypiliśmy z Dickiem bez Szuwaksa.

- No dobra - mówię. - Może jestem naiwny, a może nie jestem, ale na tego typa doniośłbym gdzie należy. Mało kto kocha policję tak, jak ja, ale sam bym poszedł i doniósł.

- Aha - mówi Dick. - A na policji zadaliby ci pytanie: A dlaczego właściwie ten typ zwrócił się akurat do ciebie ze swoją propozycją? No?

Pokręciłem głową.

- Wszystko jedno. Ty tłusty wieprzu, trzeci rok jesteś w mieście, ani razu w Strefie nie byłeś, "czarci pudding" widziałeś tylko w kinie, ale gdybyś tak zobaczył w naturze co on potrafi zrobić z człowiekiem... To, mój kochany, straszna rzecz, nie trzeba jej wynosić ze Strefy... Wiesz sam dobrze - stalkerzy to ludzie brutalni, sumienia mają niezbyt delikatne, ale na coś takiego nawet nieboszczyk Zgnilec by nie poszedł. Ścierwnik Barbridge też na to nie pójdzie... Nawet boję się pomyśleć, komu i po co może być potrzebny "czarci pudding".

- No cóż - mówi Dick - masz zupełną rację. Tylko ja, rozumiesz, okropnie nie mam ochoty, żeby pewnego pięknego poranka znaleziono mnie w łóżeczku i stwierdzono, że zginąłem śmiercią samobójczą, nie jestem stalkerem, ale również jestem trzeźwym i brutalnym człowiekiem i życie mi się raczej podoba. Żyję już od dość dawna i, widzisz, przywykłem...

W tym momencie Ernest krzyknął od baru:

- Panie Nunnun! Telefon do pana!

- O psiakrew - mówi Dick z nienawiścią w głosie. - Pewnie znowu reklamacja. Wszędzie znajdują. Przepraszam cię, Red.

Wstaje i idzie do telefonu. A ja zostaję z Szuwaksem i z butelką, i ponieważ z Szuwaksa nie ma żadnego pożytku, bardzo troskliwie opiekuję się butelką. Diabli by wzięli tę Strefę, nigdzie nie ma przed nią ucieczki. Gdzie byś nie poszedł, z kim byś nie mówił - Strefa, Strefa, Strefa... Dobrze Kiryłowi gadać, że dzięki Strefie zapanuje wieczny pokój i niezemska szczęśliwość. Kirył to fajny chłopak, nikt go głupim nie nazwie, przeciwnie, głowę ma, że daj Boże każdemu, ale przecież nie ma zielonego pojęcia o życiu. On nawet wyobrazić sobie nie może, ile wszelakiego draństwa kręci się koło Strefy. Teraz na przykład "czarci pudding" komuś jest konieczny potrzebny. Ten Szuwaks chociaż i pijanica, chociaż ma fioła na tle religijnym, ale czasami, kiedy człowiek dobrze się zastanowi, rzeczywiście przychodzi mu do głowy - może naprawdę należy zostawić szatanowi co szatańskie?

Nie rusz gówna...

W tym momencie na krześle Dicka siada jakiś smarkacz w kolorowym szaliku.

- Czy pan Shoehart? - pyta.

- No? - mówię.

- Nazywam się Kreon - mówi. - Jestem z Malty.

- No - mówię - i co słycać na Malcie?

- Na Malcie dobrze słycać, ale ja nie o tym chciałem z panem mówić. Przysłał mnie Ernest.

Tak, myślę. To jednak bydlak ten Ernest. Ani krzty litości, ani odrobiny sumienia. Siedzi przede mną chłopiec - smagły, schludny,

wesoły, pewnie jeszcze ani razu się nie golił, jeszcze ani razu nie całował dziewczyny, a Ernestowi to zwisa, on tylko o jednym myśli: żeby jak najwięcej ludzi zagonić do Strefy, a jak jeden na trzech wróci z towarem - też będzie dobrze...

- No i jak się czuje nasz dobry stary Ernest? - pytam. Kreon obejrzał się na bar i mówi:

- Moim zdaniem nieźle. Chętnie bym się z nim zamienił.

- A ja nie - mówię. - Napijesz się?

- Dziękuję, nie piję.

- No to zapal - mówię.

- Przepraszam pana, ale nie palę również.

- Niech Cię diabli - mówię - Więc po co ci w takim razie pieniądze?

Poczerwieniał, przestał się uśmiechać i cicho tak odpowiada:

- Chyba to jest tylko moja sprawa, prawda, panie Shoehart?

- Co racja, to racja - mówię i nalewam sobie na cztery palce. W głowie mi, należy zaznaczyć, już trochę szumi i ciało przenika taka przyjemna słabość, wypuściła mnie wreszcie Strefa. - Teraz jestem pijany - mówię. - Jak widzisz, bawię się. Chodziłem do Strefy, wróciłem żywy i z forszą. To nieczęsto bywa żeby żywy, i już niezmiernie rzadko, żeby z forszą. A więc na razie odłożmy poważne rozmowy na kiedy indziej...

Tu Kreon zrywa się z krzesła, mówi "przepraszam", okazuje się, że Dick wrócił. Stoi obok swojego krzesła i po jego twarzy widzę, że coś się stało.

- No - mówię - znowu twoje komory próżniowe są nieszczelne?

- Tak - mówi Dick. - Znowu.

Siada, nalewa sobie, dolewa mnie i widzę ja, że nie w reklamacji rzecz. Na reklamacje, powiedzmy to sobie wprost, Dick pluje z trzeciego piętra, nie na głupiego trafili!

- Wypijmy - mówi - Red. - I nie czekając na mnie wypija haustem całą swoją porcję i nalewa nową. - Ty wiesz - mówi - umarł Kirył Fanów.

W zamroczeniu nie od razu go zrozumiałem. Ktoś tam umarł, no to umarł.

- No cóż - mówię - wypijmy za spokój jego duszy...

Dick spojrział na mnie, oczy mu się zrobiły okrągłe jak spodki, i dopiero wtedy poczułem jakby mi ktoś wymierzył cios w żołądek. Pamiętam, że wstałem, oparłem się o blat i patrzę na Dicka z góry na dół.

- Kirył?! - A przed oczami mam srebrną pajęczynę, znowu słyszę, jak ona rwie się i trzeszczy. I przez to okropne trzeszczenie głos Dicka dochodzi do mnie jak z drugiego pokoju.

- Zawał serca. Znaleźli go nagiego pod prysznicem, nikt nic nie rozumie. Pytali o ciebie, powiedziałem, że z tobą wszystko w porządku...

- A co tu jest do rozumienia? - mówię. - Strefa...

- Usiądź, Red - mówi Dick. - Usiądź i napij się.

- Strefa... - powtarzam i nie mogę przestać. - Strefa... Strefa...

Niczego nie widzę dokoła oprócz tej srebrnej pajęczyny. Cały bar zapłatał się w pajęczynę, ludzie poruszają się, pajęczyna cichutko potrzaskuje kiedy ktoś się o nią oprze. A w samym środku stoi Maltańczyk, twarz ma dzieciinną, zdziwioną - nic nie pojmuje.

- Chłopcze - mówię do niego serdecznie. - Ile chcesz pieniędzy? Tysiąc wystarczy? Na! Bierz, bierz! - wpycham mu pieniądze i już krzyczę: - Idź do Ernesta i powiedz mu, że jest łajdakiem i kanalią, nie bój się, powiedz mu! Przecież to tchórz! Powiedz mu i natychmiast idź na dworzec, kup sobie bilet i wracaj na swoją Malte! Nigdzie się nie zatrzymuj po drodze, jedź prosto do domu!

Nie pamiętam, co tam jeszcze krzyczałem. Pamiętam, jak znalazłem się przed ladą baru, Ernest postawił przede mną szklaneczkę na orzeźwienie i pyta:

- Zdaje się, że jesteś dzisiaj przy forsie?

- Tak - mówię - przy forsie...

- To może dług mi zwrócisz? Jak raz jutro miałbym na podatki.

Teraz dopiero widzę - ściskam w pięści paczkę banknotów. Patrzę na tę zieloną trawę i mamroczę:

- Okazuje się, nie wziął Kreon Maltański... Z charakterem, okazuje się... No, a cała reszta - los tak chciał.

- Co z tobą - pyta mój przyjaciel Ernie. - Przesadziłeś kapkę?

- Nie - mówię. - Ze mną - mówię - wszystko w najlepszym porządku. Choćby w tej chwili mogę iść pod prysznic.

- Poszedłbyś lepiej do domu - mówi mój przyjaciel Ernie. - Jednak trochę przesadziłeś.

- Kirył umarł - mówię mu.

- Który to Kirył? Ten jednoręki?

- Sam jesteś jednoręki, bydłaku - mówię mu. - Z tysiąca takich jak ty nie zrobią jednego Kiryła. Ścierwo cuchnące - mówię. - Handlarz. Śmiercią handlujesz, kanalio. Kupiłeś nas wszystkich za zielone... Chcesz, zaraz twój parszywy stragan rozwalę w drobny mak?

Ledwie zdążyłem zamachnąć się jak trzeba, kiedy już mnie łapią i gdzieś ciągną. A ja już nic nie kombinuję i kombinować nie mogę. Coś krzyczę, wyrrywam się, kogoś kopię, potem oprzytomniałem - siedzę w toalecie cały mokry, morda rozbita. Patrzę w lustro i nie poznaję sam siebie, jeden policzek mi drga, nigdy przedtem czegoś takiego nie było. A na sali hałas, coś trzeszczy, talerze lecą na podłogę, dziewczyny piszczą i słyszę - Szuwaks ryczy niczym grizzly:

- Żałujcie za grzechy, dranie! Gdzie jest Rudy? Coście zrobili z Rudym, szatańskie pomiotła? I wyje policyjna syrena.

Kiedy tylko zawyła, spłynęło na mnie olśnienie. Wszystko już wiem, wszystko pamiętam. I nic we mnie nie zostało - tylko lodowata furia. Tak, myślę, ja ci tu zaraz urządzę zabawę! Ja ci pokażę, co potrafi stalker, ścierwo! Wyciągnąłem z kieszeni na klucze "świerzb", nowiutki, jeszcze ani razu nie używany, parę razy zgmiotłem go palcami, żeby się rozgrzał, uchyliłem drzwi do sali i ostrożnie wrzuciłem go do spluwaczki. A sam otworzyłem okno - i na ulicę. Miałem, rzecz jasna, ogromną ochotę zobaczyć, co z tego wyjdzie, ale musiałem zwiewać jak najszybciej. Ja bardzo źle znoszę "świerzby", od razu mi leci krew z nosa.

Przebiegiem przez podwórko i słyszę - "świerzb" już działa, najpierw zawyły i zaszczekały wszystkie psy w całej okolicy, zawsze pierwsze czują "świerzb". Potem ktoś wrzasnął w knajpie - aż mnie uszy zabolowały, chociaż byłem daleko. Wyobraziłem sobie, jak tam publika zaczęła szaleć. Jeden wpada w melancholię, drugi dostaje ataku szału, trzeci ze strachu nie wie, gdzie uciekać... To straszna rzecz "świerzb". Teraz Ernest nieprędko zbierze pełen bar gości. On, gnida, rzecz jasna, domyśla się, kto go tak urządził, tylko że ja

na to gwizdzą. Koniec. Nie ma już więcej stalkera Reda. Ja już mam dość. Nie chcę ani sam szukać śmierci, ani innych dam na to namawiać, nie miałeś racji, Kiriyl, kochany chłopcze. Nie gniewaj się, ale wygląda na to, że to nie ty, ale Szuwaks ma słuszność. Nie mają czego ludzie szukać w Strefie, nie przyniesie nam Strefa szczęścia.

Przeleżałem przez płot i powolutku ruszyłem do domu. Gryzę wargi, chce mi się płakać i nie mogę. Przede mną pustka. Przede mną nie ma nic. Monotonny smutek. Kiriyl, mój jedyny przyjacielu, jak mogliśmy dopuścić do tego? Rysowałeś przede mną perspektywy, opowiadałeś o nowym, wspaniałym świecie... a teraz co? Ktoś zapłacze po tobie w dalekiej Rosji, a ja nawet zapłakać nie mogę. Przecież to ja, głupie bydle, jestem wszystkiemu winien, właśnie ja, a nikt inny! Jak ja, kretyn nieszczęsny, śmiałem go wprowadzić do garażu, kiedy jego oczy jeszcze nie przywykły do ciemności? Całe życie żyłem jak wilk, całe życie tylko o sobie myślałem... I nagle postanowiłem pokazać, jaki jestem szlachetny, postanowiłem uszczęśliwić człowieka. Po diabła mu w ogóle powiedziałem o tym "pustaku"? I jak tylko sobie o tym przypominałem, tak mnie coś ścisnęło za gardło, że nic - tylko rzeczywiście zawył jak wilk. I chyba naprawdę zawylem, ludzie jakby zaczęli ustępować mi z drogi, a potem nagle zrobiło mi się lżej - patrzę, idzie Guta. Idzie mi na spotkanie, moja dziewczyna, moja prześliczna, idzie, stąpa swoimi cudownymi nogami, spódniczka kołysze się nad kolanami, ze wszystkich bram gapią się na nią, a ona idzie prościutko, nie patrzy na nikogo i nie wiem dlaczego, ale od razu wiedziałem, że szuka właśnie mnie.

- Serwus - mówię - Guta. Dokąd idziesz? Guta spojrzała na mnie i w ciągu sekundy zobaczyła wszystko: i mordę rozbitą, i mokrą kurtkę, i posiniaczone ręce, ale nic na ten temat nie powiedziała, tylko mówi:

- Cześć, Red. A ja właśnie cię szukam.

- Wiem - mówię. - Chodźmy do mnie. Guta milczy, odwróciła się i patrzy w bok. Ach, jak pięknie osadzona jest jej głowa, a jaka szyja - jak u młodej narowistej klaczy, już pokornej swemu jeźdźcowi. Potem mówi:

- Ja nie wiem. Red. Może już wcale nie będziesz chciał się ze mną spotykać?

Jakby mi ktoś kamień położył na sercu. Co jeszcze? Ale tak spokojnie do niej mówię:

- Nie bardzo cię rozumiem, Guta. Wybacz mi, ale ja dzisiaj jestem trochę tego i może z tego powodu słabo kombinuję... Dlaczego miałbym nie chcieć spotykać się z tobą?

Biorę ją pod rękę, idziemy niespiesznie w stronę mojego domu i wszyscy, którzy dopiero co gapił się na nią, szybko odwracają mordy. Ja na tej ulicy całe życie mieszkam, i Rudego Reda wszyscy tu pierwszorzędnie znają. A kto nie zna, ten bardzo szybko pozna.

- Matka mówi, żebym zrobiła skrobanekę - nagle odzywa się Guta. - A ja nie chcę.

Uszedłem jeszcze kilka kroków, zanim zrozumiałem, a Guta mówi dalej:

- Nie chcę żadnej skrobanki, chcę mieć z tobą dziecko. A ty - jak tam sobie życzysz. Możesz się wynosić na wszystkie cztery strony świata, ja cię nie trzymam.

Słucham, jak ona sama siebie podkręca, jak się rozpala, słucham i powolutku bałwanieję. Nic w miarę rozsądnego nie przychodzi mi do głowy. Tylko jak refren chodzi mi w kółko po głowie - o jednego człowieka mniej, o jednego człowieka więcej.

- Ona mi tłumaczy - mówi Guta - że to dziecko stalkera i niby po co mam wydawać na świat potwora... ona mówi, to przecież kryminalista, nie będziesz miała rodziny, ani nic. Dzisiaj jest na wolności, mówi, a jutro w więzieniu. Tylko że mnie to nic nie obchodzi, jestem na wszystko przygotowana. I sama też mogę zostać, dam sobie radę. Sama urodzę, sama wychowam, sama zrobię z niego człowieka. Obejdę się bez ciebie. Tylko ty się do mnie więcej nie zbliżaj, bo na próg nie wpuszczę.

- Guta - mówię - dziewczyno moja! Poczekaj choć chwileczkę... - I nie mogę, jakiś śmiech mnie ogarnia, nerwowo. Idiotyczny. - Jaskółeczko moja, dlaczego mnie chcesz przepędzić, powiedz mi?

Chichoczę jak ostatni kretyn, a ona stanęła, przytuliła się do mojej piersi i szlocha.

- Co my teraz zrobimy. Red? - mówi moja dziewczyna przez łzy. - Co teraz zrobimy?

Strugacy Arkadij i Borys - Piknik na Skraju Drogi - 02.Red Shoehart

2. RED SHOEHART,

lat 28, żonaty, bez określonego zajęcia

Red Shoehart leżał za kamiennym nagrobkiem i patrzył na drogę odsuwając sprzed oczu gałązkę jarzębiny. Reflektory samochodu patrolowego przecinały cmentarz i od czasu do czasu smagały Reda po oczach - wtedy mrużył powieki i wstrzymywał oddech.

Minęły już dwie godziny, a na drodze nie zaszły żadne zmiany. Monotonnie, pracując na jałowym biegu, warczał silnik samochodu, trzy reflektory miały się po cmentarzu, po przekrzywionych zardzewiałych krzyżach, po opuszczonych grobach, po bujnie rozrośniętych krzewach jarzębiny, po płaskiej ścianie trzymetrowego muru, który z lewej strony kończył się jak ucięty. Policjanci z patrolu bali się Strefy. A tu, obok cmentarza, nawet lękali się strzelać. Czasem Reda dobiegały przygłuszone głosy, czasami widział, jak z samochodu wylatywał ogienek niedopałka, jak toczył się po szosie i gubił maleńkie czerwone iskierki. Było bardzo mokro, niedawno przestał padać deszcz i wilgotny ziąb przenikał Reda nawet przez impregnowany kombinezon.

Ostrożnie puścił gałązkę, odwrócił głowę i zaczął nadśledzić. Gdzieś z prawej strony, niezbyt daleko, ale i nie blisko, na cmentarzu był ktoś jeszcze. Zaszleściły liście i nawet chyba obsypała się ziemia, a potem z niegłośnym stuknięciem upadło coś ciężkiego i twardego. Red ostrożnie czołgał się tyłem wtulony w mokrą trawę. Znowu nad głowę przeleciało światło reflektora. Red zamarł, śledząc bezszelstny promień, i wydało mu się, że między krzyżami, na grobie, siedzi nieruchomo człowiek ubrany na czarno. Siedzi, nie kryjąc się, oparty plecami o marmurowy obelisk i białą twarz z czarnymi jamami oczu zwrócił w stronę Reda. W rzeczywistości Red nie widział i w ciągu dziesiątej części sekundy nie mógł zobaczyć tych wszystkich szczegółów, ale wiedział dokładnie, jak to powinno wyglądać. Odpełzył jeszcze o kilka kroków dalej, wymacał w zanadrzu manierkę, wyciągnął i jeszcze przez jakiś czas poleżał spokojnie tuląc do policzka ciepły metal, następnie, nie wypuszczając manierki, poczołgał się dalej. Więcej już nie nadśledził i nie rozglądał się.

W sztachetach była dziura i tuż przy samej dziurze na płaszczy przesyconym ołowiem leżał Barbridge. Nadal leżał na plecach, oburącz odciągał kołnierz swetra i cichutko, boleśnie sapał - sapanie chwilami przechodziło w jęk. Red usiadł obok i odkręcił

manierkę. Potem ostrożnie wsunął rękę pod głowę Barbridge'a, wyczuwając całą dłońią lepką od potu, gorącą łysinę, i przysunął manierkę do warg starego. Było ciemno, ale w słabych poblaskach reflektorów Red widział szczecinę na jego policzkach. Barbridge chciwie wypił kilka łyków i zaraz poruszył się niespokojnie obmacując worek z towarem.

- Wróciłeś - wyrzucił. - Dobry chłopak... Rudy... nie zostawisz starego... żeby zdychał...

Red odrzucił głowę do tyłu i zdrowo pociągnął z manierki.

- Stoi zaraza - powiedział - jak przymurowany.

- To... nie przypadek... - wystękał Barbridge. Mówił urywanie, na wydechu - Ktoś doniósł. Czekaają.

- Możliwe - powiedział Red. - Chcesz sobie jeszcze gołnąć?

- Nie. Na razie wystarczy. Nie zostawiaj mnie. nie zostawisz - będę żył. Wtedy nie pożałujesz, nie zostawisz mnie. Rudy?

Red nie odpowiedział. Patrzył w stronę szosy, na błękitne błyski reflektorów. Marmurowy obelisk było widać i stąd, ale było niejasne, czy tamten nadal tam siedzi, czy zniknął.

- Słuchaj mnie. Rudy. nie gadam na wiatr, nie pożałujesz. Wiesz, dlaczego stary Barbridge żyje do dziś? Wiesz? Bob Małpolud nie wrócił. Bankier Faraon zginął - nic z niego nie zostało. Jaki to był stalker! A jednak zginął. Zgnilec tak samo. Okularnik Herman. Callagan. Fetę Krosta. Wszyscy. Ja jeden zostałem. A wiesz, dlaczego?

- Zawsze byłeś draniem - powiedział Red nie odrywając oczu od szosy. - Ścierwnik.

- Byłem draniem. To prawda. Inaczej nie można. Ale przecież wszyscy byli tacy sami. Faraon. Zgnilec. A tylko ja żyję. Wiesz, dlaczego?

- Wiem - powiedział Red, żeby się odczepić.

- Łżesz. Nie wiesz. Słyszałeś o Złotej Kuli?

- Słyszałem.

- Bajka, myślisz?

- Przestałbyś lepiej gadać - poradził Red. - Przecież tracisz siły.

- To nic. Ty mnie wyniesiesz. Tyle razy chodziliśmy razem! Czy mógłbyś mnie zostawić? Ja ciebie przecież znam od takiego. Od małego. I twego ojca znamem.

Red młczał. Okropnie chciało mu się palić, wyciągnął papierosa, wykruszył tytoń i powąchał, nie pomogło.

- Musisz mnie stąd wynieść - powiedział Barbridge. - To przez ciebie wpadłem. To ty nie chciałeś, żeby Maltańczyk z nami poszedł.

Maltańczyk bardzo się napierał, żeby iść z nimi. Cały wieczór im stawał, proponował dobry zastaw, przysięgał, że zdobędzie skafander, i Barbridge, który siedział obok Maltańczyka, osłaniając twarz ciężką pomarszczoną dtonią, rozpaczliwie mrugał do Reda - zgódź się, zrobimy dobry interes. Być może właśnie dlatego Red powiedział wtedy "nie".

- Przez własną chciwość wpadłeś - powiedział Red. - Ja z tym nie mam nic wspólnego, i zamknij się nareszcie.

Przez jakiś czas Barbridge tylko stękał. Znowu wetknął palce pod kołnierz i jeszcze dalej odchylił głowę.

- Bierz cały towar. Red - wystękał - tylko mnie nie zostawiaj.

Red spojrział na zegarek. Do świtu było już bardzo niedaleko, a samochód patrolowy nie odjeżdżał. Reflektory nadal obmacywały krzaki, a tuż obok patrolu stał zamaskowany landrover i w każdej chwili policjanci mogli go zauważyć.

- Złota Kula - powiedział Barbridge. - Znalazłem ją. Ile bajek wokół niej potem narosło! Sam też nie mało opowiadałem! Że podobno każde życzenie spełnia. Każde, dobre sobie! Gdyby tak było, dawno by mnie tu nie było. Mieszkałbym sobie w Europie i spałbym na forsie.

Red spojrział na niego z góry. W błękitnawych błyskach odrzucona do tyłu twarz Barbridge'a wydawała się martwa. Ale jego szkliste, wytrzeszczone oczy bez przerwy śledziły Reda.

- Zamiast wiecznej młodości - gównno. Zamiast forsy, to samo. Ale zdrowie - co to, to tak. I dzieci mam udane. I żyję. W najsmielszych snach nie zobaczysz tego, co ja przeszedłem, i żyję - oblizwał wargi. - Ja ja tylko o to proszę. O życie. I o zdrowie. I o dzieci...

- Stul pysk, na Boga - powiedział wreszcie Red. - Zupełnie jak baba. Jeśli dam radę, to cię wyniosę. Twojej Diny mi szkoda, zginiesz - pójdzie dziewczyna na ulicę...

- Dina... - wychrypiał Barbridge. - Moja córeczka. Taka śliczna. Rozpieszczałem moje dzieci, niczego im nie odmawiałem. Zmarnują się. Mój Archie. Ty przecież go znasz. Rudy. Czy widziałeś kiedyś lepsze dzieci?

- Powiedziałem: jak dam radę, to cię wyciągnę.

- Nie - z uporem powiedział Barbridge. - Ty mnie wyniesiesz, czy dasz radę, czy nie. Złota Kula. Chcesz, powiem ci gdzie ona jest.

- No to powiedz.

Barbridge jęknął i poruszył się.

- Moje nogi... - wystękał. - Pomacaj, jak one tam...

Red wyciągnął rękę i przesunął dłońią po nogach od kolan w dół.

- Kości... - chrypiał Barbridge. - Czy są tam jeszcze kości?

- Są, są - skłamał Red. - Nie kręć się. A naprawdę można było wymacać tylko kolano niżej, do samych stóp nogi były jak z gumy - można je było zawiązać na supeł.

- Kłamiesz przecież - powiedział Barbridge. - Po co kłamiesz? Co to ja dziecko jestem, nigdy tego nie widziałem?

- Kolana są całe - powiedział Red.

- Pewnie znowu łżesz - beznadziejnie powiedział Barbridge. - No trudno. Tylko mnie wynieś. Wszystko ci oddam. Wszystko ci opowiem...

Jeszcze mówił, jeszcze coś obiecywał, ale Red już go nie słuchał. Patrzył na szosę. Reflektory nie biegały teraz po krzakach, zamarły skrzyżowane na tamtym obelisku z marmuru i w jasnej błękitnej mgłę Red wyraźnie zauważył zgarbioną czarną sylwetkę wędrującą wśród krzyży. Ta sylwetka szła jakby na oślep, wprost na reflektory. Red widział jak wpadła na ogromny krzyż, odskoczyła, znowu uderzyła o krzyż, dopiero wtedy skręciła i ruszyła dalej wyciągając przed siebie długie ręce z rozczapierzonymi palcami. Potem nagle znikła, jakby się zapadła pod ziemię i po kilku sekundach pojawiła się znowu bardziej na prawo i dalej, maszerując z jakimś niepojętym, nieludzkim uporem jak mechanizm puszczony w ruch.

I raptem reflektory zgasły. Zgrzytnęła skrzynka biegów, zaryczała dziko silnik, za krzakami mignęło niebieskie i czerwone światła postojowe, samochód patrolowy ruszył błyskawicznie nabierając szybkości popędził w stronę miasta i zniknął za murem. Red z

trudem przełknął ślinę i rozpiął zamek błyskawiczny w kombinezonie.

- Chyba odjechali... - gorączkowo mamrotał Barbridge. - No, Rudy... Szybciej, szybciej! - zaczął się wiercić, pomacał ręką dookoła, złapał worek z towarem i spróbował wstać - no prędzej, na co czekasz!

Red ciągle patrzył w stronę szosy. Teraz panowała tam ciemność i nic nie było widać, ale przecież gdzieś musiał być tamten - maszerował jak nakrecona lalka, potykał się, przewracał, uderzał o krzyże, zaplątywał się w krzakach.

- Dobra - powiedział Red na głos. - Idziemy. Podniósł Barbridge'a. Stary jak kleszczami ścisnął go lewą ręką za szyję i Red nie mając siły, żeby wstać, na czworakach powłókł go przez dziurę w ogrodzeniu chwytając rękami mokrą trawę.

- Naprzód, naprzód... - chrypiał Barbridge. - Nie martw się, trzymam towar, nie zgubię go... naprzód!

Ścieżka była znajoma, ale trawa mokra i śliska, gałęzie jarzębiny biły po twarzy, opasy Barbridge był nieludzko ciężki, niby nieboszczyk, worek z towarem brzęczał, stukał i bez przerwy o coś zaczepiał i jeszcze straszno było natknąć się na tamtego, który być może ciągle jeszcze błąkał się tu w ciemnościach.

Kiedy się wydostali na szosę, było jeszcze ciemno, ale czuło się, że świt już blisko. W lasku po tamtej stronie szosy, sennie i niepewnie zaszczebotały ptaki, a nad czarnymi domami dalekiego przedmieścia mrok już zgranatował i powiało stamtąd chłodnym, wilgotnym powietrzem. Red położył Barbridge'a na poboczu, rozejrzał się i jak wielki czarny pająk przebiegł przez drogę. Szybko znalazł Landrovera, zgarnął z maski i karoserii maskujące gałęzie, siadł za kierownicą i ostrożnie, nie zapalając świateł, wyjechał na asfalt. Barbridge siedział, w jednej ręce trzymał worek z towarem, drugą obmacywał nogi.

- Szybko! - wychrypiał. - Śpiesz się. Kolana jeszcze są, jeszcze mam całe kolana... Żeby chociaż kolana uratować!

Red dźwignął go i zgrzytając zębami z wysiłku wwalił go do samochodu. Barbridge z łoskotem opadł na tylne siedzenie i jęknął. Worka jednak nie wypuścił. Red podniósł z ziemi impregnowany ołowiem płaszcz i rzucił na starego. Barbridge'owi udało się przytargać również płaszcz.

Red wziął latarkę i przeszedł poboczem wypatrując śladów. Śladów właściwie nie było. Wyjeżdżając na szosę Landrover przegniótł wysoką, gęstą trawę, ale ta trawa powinna po paru godzinach wrócić do poprzedniego stanu.

W miejscu gdzie stał samochód patrolu, leżało na ziemi mnóstwo niedopałków. Red przypomniał sobie, że od dawna chce mu się palić, wyciągnął papierosa i zapalił, chociaż najbardziej na świecie pragnął wskoczyć do samochodu i pędzić, pędzić, żeby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Ale tego właśnie zrobić nie było wolno. Należało postępować powoli i rozważnie.

- Co ty wyprawiasz? - płaczliwie zapytał Barbridge z samochodu. - Wody nie wylałeś, wszystkie wędkę suche... Na co czekasz? Chowaj towar!

- Stul pysk, ty!... - powiedział Red. - Nie przeszkadzaj! - zaciągnął się papierosem. - Wjedziemy do miasta od południowej strony.

- Jak to od południowej? Co takiego? Przez ciebie stracę kolana, Łajdaku! Kolana!

Red po raz ostatni zaciągnął się papierosem i schował go do pudełka od zapalek.

- Zamknij mordę, Ścierwnik - powiedział. - Prosto przez miasto nie możemy jechać. Trzy posterunki, chociaż jeden musi nas zatrzymać.

- No to co?

- Zobaczą twoje kulasy i koniec z nami.

- Jakże kulasy? Głuszylimy ryby, nogi mi poharatało i nie ma o czym gadać!

- A jeżeli ktoś pomaca?

- Pomaca... tak zawię, że na całe życie odechce mu się macania.

Ale Red już podjął decyzję. Podniósł przednie siedzenie samochodu, świecąc latarką otworzył skrytkę i powiedział:

- Dawaj towar.

Bak pod siedzeniem był fałszywy. Red zabrał worek i wepchnął go do środka nasłuchując, jak w worku coś dźwięczy i postukuje.

- Nie wolno mi ryzykować - mruknął. - Nie mam prawa.

Założył pokrywę na miejsce, nasypał na wierzch trochę śmieci, zarzucił szmatami i opuścił siedzenie. Barbridge stękał, pojękiwał, żałośliwie domagał się pośpiechu, znowu obiecywał Złotą Kulę. Wiercił się bez przerwy na siedzeniu, z lękiem wpatrując się w jaśniejący mrok. Red nie zwracał na niego uwagi. Rozerwał napełniony wodą plastikowy worek z rybami, wodę wylał na wędkę leżące na podłodze samochodu, a skaczące ryby wrzucił do brezentowej torby. Plastikowy worek zwinął i wsadził do kieszeni kombinezonu. Teraz wszystko było w porządku - wędkarze wracali z niezbyt udanego połowu. Red usiadł przy kierownicy i samochód ruszył.

Do samego zakrętu jechał bez świateł. Po lewej stronie ciągnął się potężny trzymetrowy mur otaczający Strefę, a z prawej były krzaki, rzadkie zagajniki, porzucone wille z zabitymi oknami i liszajami na ścianach. Red dobrze widział w ciemności, zresztą ciemność nie była już taka gęsta, a oprócz tego wiedział z góry, co i kiedy zobaczy. Dlatego kiedy przed samochodem pojawiła się rytmicznie maszerująca postać, nawet nie zwolnił. Tamten wędrował prosto środkiem szosy - i jak oni wszyscy szedł do miasta. Red wyprzedził go, prowadząc samochód lewą stroną i wyprzedziwszy, jeszcze mocniej przycisnął pedał gazu.

- Matko Boska! - wymamrotał z tyłu Barbridge. - Rudy, widziałeś?

- Tak - powiedział Red.

- O Boże!... Tego nam jeszcze brakowało! - mamrotał Barbridge i nagle zaczął głośno odmawiać modlitwę.

- Zamknij się! - ostro powiedział Red. Zakręt powinien być gdzie tutaj. Red zwolnił, wpatrując się w szereg pochylonych domków i płotów po prawej. Stary transformator... podparty słup... spróchniały mostek nad przydrożnym rowem... Red skrzył kierownicę. Samochód podrzuciło na wybojach.

- Dokąd? - dziko zawył Barbridge. - Przez ciebie nogi stracę, bydlaku!

Red na sekundę odwrócił się i z całej siły uderzył starego w twarz, aż dłoń podrapała mu ostra szczecina. Barbridge zakrzuszył się i zamilkł. Samochód podskakiwał, koła co chwila buksowały w świeżym błocie. Red zapalił światła. Biały, niespokojny blask oświetlił zarośniętą trawą stare koleiny, ogromne kałuże, krzywe gnijące parkany po obu stronach. Barbridge płakał chlipiąc i pociągając nosem, niczego już nie obiecywał, tylko żalił się i odgrażał, ale bardzo cicho i niewyraźnie, tak że Red słyszał tylko oddzielne słowa. Coś tam było o nogach, o kolanach, o ukochanym Archie... Potem ucichł.

Osiedle leżało tuż przy zachodnich przedmieściach miasta. Kiedyś były tu letniska, ogrody, sady owocowe, letnie rezydencje miejskich notablów i fabrycznej administracji. Zielono, wesoło, malutkie jeziora, czystutkie piaszczyste plaże, przejrzyste brzoźowe zagajniki, stawy, w których hodowano karpie. Fabryczny zaduch i fabryczny gryzący dym nigdy tu nie docierały, podobnie jak i miejska kanalizacja. Teraz wszystko to stało porzucone, niszczone. Zobaczyli tylko jeden zamieszkały dom - żółto świeciło

zasłonięte firanką okienko, na sznurkach wisiała zmoczona deszczem bielizna i olbrzymi pies, zachłystując się wściekłością, wybiegł na drogę i przez jakiś czas pędził za samochodem w bryzgach błota tryskającego spod kół.

Red ostrożnie przejechał przez jeszcze jeden stary pochylony mostek i kiedy zobaczył przed sobą wyjazd na Szosę Zachodnią, zatrzymał samochód i zgasił silnik. Potem wyszedł na drogę, nawet nie spojrzawszy na Barbridge'a, ruszył przed siebie z rękami w kieszeniach wilgotnego kombinezonu. Zrobiło się zupełnie widno. Wokół było mokro, cicho i sennie. Red zbliżył się do szosy i ostrożnie wyjrzał zza krzaków. Policyjna wartownia była stąd doskonale widoczna - maleńki domek na kółkach i trzy oświetlone okienka, samochód patrolowy stał na poboczu szosy pusty. Przez jakiś czas Red stał i patrzył. Na wartowni nic się nie działo - najwidoczniej policjanci, zmęczeni i zmarznięci, teraz grzali się w domku - drzemali z papierosami przylepionymi do dolnej wargi. "Dranie" - cicho powiedział Red. Wymacał w kieszeni kastet, wsunął palce w owalne otwory, zacisnął w pięści zimne żelazo i ciągle tak samo przygarbiony, nie wyjmując z kieszeni rąk, zawrócił. Landrover, lekko pochylony, stał w krzakach. Miejsce było odludne, zapuszczone, nikt tu zapewne nie zaglądał od co najmniej dziesięciu lat.

Kiedy Red podszedł do samochodu, Barbridge uniósł się i spojrzął na niego otwierając usta. Wyglądał teraz nawet jeszcze starzej niż zwykle - pomarszczony, łysy zarośnięty niechlujną szczeciną, zęby rzadkie i zepsute. Czas jakiś wpatrywali się w siebie i nagle Barbridge powiedział niewyraźnie:

- Dam ci mapę... wszystkie pułapki... Sam znajdziesz, nie pożałujesz.

Red słuchał go stojąc bez ruchu, potem rozwarł palce, wypuścił kastet i powiedział:

- Dobra. Twoje zadanie: masz leżeć nieprzytomny, zrozumiano? Jęcz i nie daj się dotknąć.

Siadł przy kierownicy, zapalił silnik i samochód ruszył.

I wszystko poszło jak z płatka, nikt nie wyszedł z przyczepy, kiedy landrover, posłuszny znakom drogowym, powoli przejechał obok wartowni, a następnie wciąż zwiększając i zwiększając szybkość popędził do miasta przez południowe przedmieścia. Była szósta rano, na ulicach pusto, asfalt czarny i mokry, automatyczne światła sieroce i niepotrzebnie mrugają na skrzyżowaniach. Minęli piekarnię z wysokimi, jasno oświetlonymi oknami i Reda owionął ciepły i niebywale smakowity zapach.

- Żreć mi się chce - powiedział Red, rozluźniając zdrtwiałe od napięcia mięśnie, i przeciągnął się wpierając dłonie w kierownicę.

- Co? - z przerażeniem zapytał Barbridge.

- Mówię, że mi się żreć chce... Ty dokąd? Do domu czy prosto do Rzeźnika?

- Do Rzeźnika, do Rzeźnika gazuj! - pospiesznie zamamrotał Barbridge, pochylił się do przodu i gorączkowym oddechem ziałał Redowi w plecy. - Prosto do niego! Jedź szybko! Należy mi się od niego jeszcze siedemset... Ale szybciej, szybciej, czego wleciesz się jak mucha w smole! - nagle zaczął kłąć bezsilnie i paskudnie, wstrętnymi, brudnymi słowami, zaplując się, zachłystując i dławiąc atakami kaszlu.

Red nie odzywał się, nie miał ani czasu, ani siły na uspokojanie rozszalałego Ścierwnika, należało możliwie szybko z tym wszystkim skończyć i chociaż godzinę, chociaż pół godziny pospać przed spotkaniem w "Metropolu". Skręcił w Ulicę Szesnaście, przejechał dwa kwartały i zatrzymał samochód przed szarą piętrową willą.

Otworzył mu sam Rzeźnik. Widocznie dopiero wstał i szedł do łazienki. Ukazał się we wspaniałym szlafroku, a w rękę dzierżył szklankę ze sztuczną szczęką. Włosy miał rozkuślane, pod oczami ciemne napuchnięte worki.

- O! - powiedział. - To ty. Rudy? Co powiesz?

- Włóż zęby i jedziemy - powiedział Rudy.

- Aha - odparł Rzeźnik i zapraszająco ruchem głowy wskazał hall, a sam człapiąc perskimi pantoflami zdumiewająco szybko podążył do łazienki.

- Kto? - zapytał stamtąd.

- Barbridge - odpowiedział Red.

- Co?

- Nogi.

W łazience poleciała z kranu woda, rozległo się parskanie, coś upadło i potoczyło się po kamiennej posadzce. Red zmęczonym ruchem usiadł w fotelu wyjął papierosa, zapalił i rozejrzał się dookoła. Tak, hall był niczego sobie. Rzeźnik nie żałował pieniędzy. Był bardzo doświadczonego i bardzo modnym chirurgiem, znakomitością nie tylko miasta, ale i całego stanu, a ze stalkerami związał się rzecz jasna, nie dla pieniędzy. On również brał swoją dolę ze Strefy - brał w naturze, w różnych przedmiotach, które stosował w swojej praktyce lekarskiej, brał w wiedzy, którą zdobywał lecząc okaleczonych stalkerów i studiując przy tym różne nie znane do tej pory choroby i deformacje ludzkiego organizmu, brał w sławie, sławie pierwszego na świecie lekarza - specjalisty od pozaziemskich chorób mieszkańców Ziemi. Pieniądże zresztą również brał z niemałą ochotą.

- A konkretnie: co z nogami? - zapytał Rzeźnik wychodząc z łazienki z ogromnym ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

Skrajem tego ręcznika ostrożnie wycierał swe długie, nerwowe palce.

- Włazł w "pudding" - powiedział Red. Rzeźnik gwizdnął.

- A więc mamy z głowy Barbridge'a - mruknął. - Szkoda, bo wybitny był stalker.

- To drobiazg - powiedział Red rozsiadając się w fotelu. - Ty mu zrobisz protezy i Barbridge na protezach jeszcze nam po Strefie będzie kuśtykał.

- No dobrze - powiedział Rzeźnik. Na jego twarzy już malowała się profesjonalna rzeczowość. - Poczekaj, zaraz się ubiorę.

Kiedy się ubierał, kiedy gdzieś dzwonił - zapewne do swojej kliniki, żeby wszystko przygotowali do operacji - Red nieruchomo leżał w fotelu i palił. Tylko raz się poruszył, żeby wyciągnąć manierkę. Pił malutkimi łykami, ponieważ w manierce zostało już tylko trochę na dnie, i starał się o niczym nie myśleć. Po prostu czekał.

Potem razem poszli do samochodu. Red usiadł przy kierownicy. Rzeźnik obok niego i od razu przechylił się przez oparcie i zaczął obmacywać nogi Barbridge'a. Barbridge, cichy teraz i nastroszony, mamrotał coś żałośnie, obiecywał ożłocić, bez przerwy wspominał dzieci i nieboszczkę żonę, błagał, żeby mu uratować przynajmniej kolana. Kiedy podjechali pod klinikę, Rzeźnik zaklął nie widząc przed bramą sanitariuszy, jeszcze w biegu wyskoczył z samochodu i zniknął za drzwiami. Red znowu zapalił, a Barbridge nagle powiedział zupełnie wyraźnie i dobitnie, jakby już całkowicie oprzytomniał.

- Chciałeś mnie zabić. Ja ci to zapamiętam.

- Ale przecież nie zabiłem - obojętnie powiedział Red.

- Tak, nie zabiłeś... - Barbridge przez moment milczał. - To ci również zapamiętam.

- Zapamiętaj, zapamiętaj - powiedział Red. - Ty byś mnie oczywiście nie zabił, skądże znowu... - odwrócił się i popatrzył na

starego. Barbridge niepewnie krzywił usta poruszając wyschłymi wargami. - Ty byś mnie po prostu tam zostawił - powiedział Red. - Porzuciłbyś mnie w Strefie i końce w wodę. Tak jak Okularnika.

- Okularnik sam skończył - ponuro zaprzeczył Barbridge. - Bez mojej pomocy. Przykuło go.

- Kanalia - powiedział obojętnie Red i odwrócił się. - Ścierwnik.

Z bramy wyskoczyli zaspani, rozkudłani sanitariusze i rozkładając w biegu nosze pocwałowali do samochodu. Red, od czasu do czasu zaciągając się papierosem, patrzył, z jaką wprawą wydobyli Barbridge'a z samochodu, ułożyli na noszach i wnieśli do kliniki. Barbridge leżał nieruchomo, ręce skrzyżował na piersi i zobojętniały na wszystko patrzył w niebo. Jego ogromne stopy, przeżarte "puddingiem", były dziwnie nienaturalnie wykręcone. To był ostatni ze starych stalkerów, ostatni z tych, którzy rozpoczęli polowanie na pozaziemskie skarby od razu po Lądowaniu, kiedy Strefy, jeszcze nie nazywano Strefą, kiedy jeszcze nie było instytutów naukowych, ani muru, ani sił policyjnych ONZ, kiedy miasto sparaliżowała groza, a świat chichotał z powodu nowej kaczki dziennikarskiej. Red miał wtedy dziesięć lat, a Barbridge był silnym i zręcznym mężczyzną - uwielbiał picie na cudzy rachunek, bójki i obmacywanie po kątach niedostatecznie spostrzegawczych dziewcząt. Własne dzieci doszczętnie go wtedy nie interesowały, ale nędzną szują był już wówczas, bo kiedy wypił, z jakąś obrzydliwą satysfakcją katował swoją żonę - hałaśliwie, pedantycznie, żeby wszyscy widzieli, i wreszcie zatłukł ją na śmierć.

Red zawrócił i nie zwracając uwagi na światła, szcękając klaksonem na przechodniów, ścinając zakręty pojechał prosto do domu.

Zahamował przed garażem, a kiedy wysiadł z samochodu zobaczył administratora, który szedł mu na spotkanie od strony skweru. Jak zwykle administrator był w fatalnym humorze i jego wymięta twarzyczka z opuchniętymi oczkami wyrażała skrajne obrzydzenie, jakby stąpał nie po ziemi, a po kupie nawozu.

- Dzień dobry - powiedział grzecznie Red. Administrator zatrzymał się na dwa kroki przed Redem i pokazał palcem za siebie.

- To pańska robota? - zapytał niewyraźnie. Było widać, że to jego pierwsze słowa od wczoraj.

- O czym pan mówi?

- Ta huśtawka... To pan ją postawił?

- Ja.

- W jakim celu?

Red nie odpowiedział, poszedł do bramy garażu i zaczął ją otwierać. Administrator ruszył za nim i stanął za jego plecami.

- Pytam, w jakim celu postawił pan tę huśtawkę? Kto pana prosił?

- Moja córka prosiła - odpowiedział Red bardzo spokojnie. Właśnie odmykał bramę.

- Ja tu nie pytam o pańską córkę! - Administrator podniósł głos. - O pańskiej córce będziemy rozmawiać oddzielnie. Pytam, kto panu pozwolił? Jakim prawem pan się rządzi na skwerze?

Red odwrócił się i stał przez chwilę nieruchomo, uważnie wpatrując się w błądy pożyłkowany nos. Administrator zrobił krok do tyłu i odezwał się o ton niżej:

- Balkon pan też nie odmalował. Ile razy już panu...

- Nadaremnie się pan stara - powiedział Red. - Ja się i tak nie wyprowadzę.

Wrócił do samochodu i zapalił silnik. Położył dłonie na kierownicy i dopiero teraz zauważył, jak zbiegły mu kostki palców. Wtedy wysiadł i już nie starając się opanować powiedział:

- Ale jeżeli, pomimo wszystko, będę musiał się wyprowadzić, to już dzisiaj zamów sobie miejsce na cmentarzu, gnido.

Wprowadził samochód do garażu, zapalił światło i zamknął bramę. Potem wydobył z fałszywego zbiornika na benzynę worek z towarami, doprowadził samochód do porządku, worek włożył do starego koszyka, na worku położył wędki, jeszcze wilgotne, oblepione trawą i liśćmi a na wierzch wysypał śnięte ryby, które Barbridge kupił wczoraj w jakimś sklepiku na przedmieściu. Potem raz jeszcze obejrzał samochód ze wszystkich stron, po prostu z przyzwyczajenia. Do tylnego prawego światła przylepił się spłaszczony papieros. Red oderwał go - papieros był szwedzki. Red pomyślał chwilę i wsadził go do pudełka od zapalek. W pudełku już były trzy niedopałki.

Na schodach nie spotkał nikogo. Stanął przed swoimi drzwiami i drzwi otwarły się, zanim zdążył sięgnąć po klucz. Wszedł bokiem, trzymając pod pachą ciężki kosz, i otuliło go znajome ciepło i znajome zapachy własnego mieszkania, a Guta objęła go za szyję i zamarła bez ruchu, kryjąc twarz na jego piersi, nawet przez kombinezon i grubą koszulkę czuł, jak gwałtownie bije jej serce. Red nie przeszkaźał jej - cierpliwie stał i czekał, aż Guta się uspokoi, chociaż właśnie w tej chwili poczuł, jak strasznie jest zmęczony i wyprany z sił.

- Już w porządku... - powiedziała wreszcie niskim, nieco ochrypłym głosem, puściła go, zapaliła światło w przedpokoju, a sama nie odwracając głowy poszła do kuchni. - Zaraz zrobię ci kawę... - powiedziała już zza drzwi.

- Przyniosłem ryby - powiedział Red umyślnie, rześkim głosem. - Usmaż je, tylko wszystkie od razu głodny jestem, że nie masz pojęcia!

Guta wróciła kryjąc twarz w rozpuszczonych włosach. Red postawił kosz na podłodze, pomógł jej wyjąć siatkę z rybami i razem zanieśli siatkę z rybami do kuchni i wrzucili ryby do zlewozmywaka.

- Idź, wykąp się - powiedziała Guta - zanim skończysz, wszystko będzie gotowe.

- Jak tam Mariszka? - zapytał Red siadając i zdejmując buty.

- Gadała przez cały wieczór - odparła Guta. - Z trudem zagoniłam ją do łóżka. Bez przerwy marudziła - gdzie tata i gdzie tata? nic, tylko dawaj jej tatę...

Zwinnie i bezszelestnie poruszała się w kuchni, krzepka, zgrabna. Już kipiała woda w rondelku i leciały łuski spod noża, skwierczał olej na ogromnej patelni i wspaniale pachniało świeżą kawą.

Red wstał, na bosaka poszedł do przedpokoju, zabrał koszyk i zaniósł go do komórki. Potem zajrzał do sypialni. Mariszka spała spokojnie, kołdra leżała na podłodze, koszulka zawinięta aż pod szyję i mała widoczna była jak na dłoni - maleńkie, senne zwierzątko. Red nie wytrzymał, pogłaskał ją po plecach zarośniętych ciepłym złocistym futerkiem i po raz tysięczny zdumiał się, jakie to futerko jest długie i jedwabiste. Miał ogromną ochotę wziąć Mariszkę na ręce, ale bał się ją obudzić, zresztą był brudny jak czort, przesiąknięty Strefą i śmiercią. Wrócił do kuchni, usiadł przy stole i powiedział:

- Nalej mi filiżankę kawy. Umyję się później.

Na stole leżała popołudniowa poczta, cały plik gazet:

"Harmont Hews", tygodnik "Kulturysta", "Playboy" - dużo tego przyszło □ i gruby, w szarej oprawie "Biuletyn Międzynarodowego Instytutu Cywilizacji Pozaziemskich" nr 56. Red wziął z rąk Guty filiżankę parującej kawy i przysunął sobie

"Biuletyn". Jakieś hieroglify, znaczki, rysunki techniczne... Na zdjęciach znane przedmioty w dziwacznych ujęciach. Jeszcze jeden pośmiertny artykuł Kiryła Panowa "O pewnej niezwyklej własności pułapek magnetycznych typu 77-b". nazwisko "Fanow" obwiedzione czarną ramką, a na dole drobnym drukiem wyjaśnienie: "Doktor Kirył Fanów, ZSSR, zmarł tragicznie w czasie przeprowadzania eksperymentu w kwietniu 19.. roku". Red rzucił "Biuletyn", wypił trochę kawy parząc sobie gardło i zapytał:

- Przyszedł ktoś wczoraj?

- Szuwaks przyszedł - powiedziała Guta po króciutkiej pauzie. Stała przy kuchence i patrzyła na Reda. - Był zalany w trupa, więc go spławiłam.

- A co na to Mariszka?

- Oczywiście nie chciała go wypuścić. Zaczęła nawet płakać. Ale powiedziałam jej, że wujek Szuwaks źle się czuje, na to ona z całkowitym zrozumieniem odpowiada: "Wujek Szuwaks znowu się urżnął".

Red uśmiechnął się i tyknął kawy. Potem zapytał:

- A jak sąsiedzi?

I tym razem Guta odezwała się dopiero po króciutkiej przerwie.

- Jak zwykle - odparła wreszcie.

- Dobrze nie chcesz, to nie mów.

- A tam! - powiedziała i z obrzydzeniem machnęła ręką. - Dzisiaj znowu puka ten babsztyl z dołu. Ślepią wytrzeszczyła, z pyska toczy pianę. Dlaczego w nocy piłujemy coś w łazience?

- Zaraza - powiedział Red przez zęby. - Słuchaj, a może rzeczywiście się wyprowadzimy? Kupimy sobie domek gdzieś na przedmieściu, gdzie nie ma nikogo, jakąś opuszczoną willę, co ty na to?

- A Mariszka?

- O Boże - powiedział Red. - Czy doprawdy my we dwoje nie zdołamy sprawić, żeby czuła się szczęśliwa? Guta pokręciła głową.

- Ona lubi dzieci. I dzieci ją też lubią. Przecież one nie są winne, że...

- Tak - powiedział Red. - One rzeczywiście nie są winne...

- Zostawmy to! - powiedziała Guta. - Ktoś do ciebie dzwonił. Powiedziałam, że pojechałeś na ryby. Red odstawił filiżankę i wstał.

- No dobra - powiedział. - Jednak pójde się umyć. Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

Zamknął się w łazience, wrzucił ubranie do pojemnika na brudy, a kastet, resztę muterek, papierosy i inne drobiazgi położył na półkę.

Długo kręcił się pod gorącym jak wrzątek natryskiem, stękając i rozcierając ciało szorstką gąbką, aż skóra zrobiła się purpurowa, potem zakręcił prysznic usiadł na brzegu wanny i zapalił. W rurach śpiewała woda, w kuchni Guta brzęczała pokrywkami garnków. Zapachniało smażoną rybą, potem Guta zapukała do drzwi łazienki i podała mu czystą bieliznę.

- Pospiesz się - powiedziała. - Ryba wystygnie. Red uśmiechnął się: wróciła już do równowagi i znowu zaczęła komenderować.

Ubrał się, to znaczy naciągnął podkoszulek i kąpielówkę, i w takim stroju wrócił do kuchni.

- Teraz można coś zjeść - powiedział siadając,

- Wrzuciłeś bieliznę do pojemnika? - zapytała Outa.

- Aha - wymamrotał z pełnymi ustami. - Wspaniała rybka!

- Wodą zalałeś?

- Niee... Przepraszam, sir, to się więcej nie powtórzy, sir. Uspokój się, jeszcze zdązysz, posiedź chwilę! - złapał ją za rękę i spróbował posadzić sobie na kolanach, ale Guta wywinęła się i usiadła na krześle z drugiej strony.

- Nie podoba ci się mąż - powiedział Red, znowu zapychając sobie usta. - Lekceważysz go, jak się okazuje.

- Jaki tam z ciebie mąż - powiedziała Guta. - Pusty worek, a nie mąż. Trzeba cię dopiero nabić, jak siennik.

- A może jednak? - powiedział Red. - Przecież zdarzają się cuda na świecie!

- Jakoś nie pamiętam, żeby zdarzył się tobie taki cud. Może napijesz się czegoś? Red niezdecydowanie bawił się widelcem.

- Raczej nie - powiedział. Spojrzał na zegarek i wstał.

- Zaraz wychodzę. Przygotuj mi wyjściowy garnitur. Według kategorii "S", Krawat, koszula...

Z rozkoszą człapiąc czystymi, bosymi stopami po chłodnej podłodze poszedł do komórki i zamknął drzwi na zasuwę. Potem włożył gumowy fartuch, wcisnął długie do łokcia gumowe rękawice i wyłożył na stół to, co było w worku. Dwa "pustaki". Pudełko z "agrafkami". Dziewięć "baterijek". Trzy "bransolety". I jedno jakieś kółko " też coś w rodzaju "bransolety", ale z białego metalu, większe o średnicę około trzydziestu milimetrów. Szesnaście sztuk "czarnych bryzg" zawiniętych w plastik. Dwie "gąbki" wielkości pięści, znakomicie zachowane. Trzy "świerzby". Stoik "gazowanej gliny". W worku został jeszcze ciężki porcelanowy kontener, starannie opakowany w szklaną watę, ale Red zostawił go w spokoju. Wyjął papierosy, zapalił i zapatrzył się w leżące na stole przedmioty.

Potem wysunął szufladę, wziął arkusz papieru, ogryzek ołówka i liczydło. Zagryzając papierosa w kąciku warg i mrużąc oczy od dymu, pisał cyfrę za cyfrą, w trzech słupkach, a następnie pierwsze dwa podsumował. Sumy okazały się poważne. Red zdusił niedopałek w popielniczkę, ostrożnie otworzył pudełko i wysypał "agrafki" na papier. W elektrycznym świetle "agrafki" mieniły się granatowo i tylko z rzadka tryskały czystymi kolorami tęczy - żółtym, czerwonym, zielonym. Red wziął jedną "agrafkę" i ostrożnie, żeby się nie ukłuć, zacisnął ją między palcem wskazującym a kciukiem. Potem zgasił światło i odczekał chwilę przywykając do ciemności. Ale "agrafka" milczała. Odłożył ją na bok, znalazł po ciemku następną i również zacisnął ją w palcach, nic. Zacisnął palce silniej, ryzykując ukłucie, i "agrafka" przemówiła - przebiegały wzdłuż niej słabe, czerwone błyski, po czym nagle zastąpiły je radsze, zielone. Kilka sekund Red podziwiał zagadkową grę światelek, która, jak dowiedział się z "Biuletynu", z całą pewnością coś oznaczała, być może nawet coś bardzo ważnego, epokowego, później położył "agrafkę" oddzielnie i wziął w palce następną.

"Agrafek" było siedemdziesiąt trzy, z tego dwanaście mówiło, a reszta milczała. One też powinny przemówić, ale do tego potrzebna była specjalna maszyna wielkości stołu, same palce nie wystarczały. Red znowu zapalił światło i do poprzednich liczb dopisał jeszcze dwie. I dopiero wtedy zdecydował się.

Wsadził obie ręce do worka i wstrzymując oddech wydobyl i położył na stole miękki pakunek. Przez jakiś czas w zadumie, pocierając wierzchem dłoni podbródek, patrzył na to, co przed nim leżało. Potem jednak wziął ołówek, pokręcił nim w niezgrabnych gumowych palcach i znowu odłożył. Wyjął jeszcze jednego papierosa i patrząc na paczkę wypalił go w całości.

- Po jakiego diabła! - powiedział głośno i stanowczym ruchem włożył zawiniątko z powrotem do worka. - Dostyc tego. Wystarczy.

Szybko zyspał "agrafki" z powrotem do pudełka i wstał. Czas było iść. Zapewne z pół godziny można by pospać, żeby mieć

świeższą głowę, ale z drugiej strony znacznie lepiej zjawić się na miejscu wcześniej i sprawdzić jak i co. Zdjął rękawice, odwiesił fartuch i nie gasząc światła wyszedł z komórki.

Garnitur leżał już na łóżku i Red zaczął się ubierać. Wiązał przed lustrem krawat, kiedy za jego plecami cichutko skrzypnęły deski podłogi, rozległo się zawzięte sapanie i Red zrobił posepną minę, aby powstrzymać uśmiech.

- Uu! - zadzwieczał tuż obok cienki głosik i coś złapało Reda za nogę.

- Ach! - zawołał Red i udał omdlenie padając na łóżko.

Mariszka z piskiem i śmiechem natychmiast wdrapała się na ojca. Deptała po nim, ciągnęła za włosy i zasypywała mnóstwem wiadomości. Willy sąsiadów oderwał lalce nogę. Na drugim piętrze pojawił się kotek, cały biały, tylko oczy ma czerwone - widocznie nie słuchał mamy i chodził do Strefy. Na kolację była kasza z konfiturami. Wujek Szuwaks znowu się urżnął i zachorował, nawet płakał. Dlaczego ryby nie toną chociaż są w wodzie? Dlaczego mama nie spała w nocy? Dlaczego palców jest pięć, ręce dwie, a nos tylko jeden?... Red ostrożnie tulił pełzające po nim ciepłe stworzenie, wpatrywał się w ogromne, ciemne, pozbawione białek oczy, przyciskał twarz do pyzatego, zarośniętego złotym jedwabistym puchem policzka i powtarzał:

- Mariszka... Mariszka... Moje śmieszne stworzonko...

Potem nad uchem ostro zadzwonił telefon. Red wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę.

- Słucham. Telefon milczał.

- Halo! - powiedział Red. - Halo!

Nikt nie odpowiedział. Potem w słuchawce szczyknęło i rozległy się krótkie sygnały. Wtedy Red wstał, postawił Mariszkę na podłodze i nie słuchając jej dłużej włożył spodnie i marynarkę. Mariszka trzepała bez wytchnienia, ale Red tylko uśmiechał się z roztargnieniem kątem ust, więc w końcu doczekał się oświadczenia, że tata połknął język i zakąsił zębami, po czym zostawiano go w spokoju.

Red wrócił do komórki, schował do teczki wszystko, to co leżało na stole, wstąpił do łazienki po kastet, znowu wrócił do komórki, wziął teczkę do jednej ręki, koszyk z workiem do drugiej, wyszedł, pedantycznie zamknął drzwi komórki i krzyknął w stronę Guty:

"Wychodzę!"

- Kiedy wrócisz? - zapytała Guta wychodząc z kuchni. Uczesała się już i umalowała. Zamiast szlafroka miała na sobie sukienkę, ulubioną sukienkę Reda, jaskrawoniebieską, z głębokim dekoltem.

- Zadzwonię - powiedział patrząc na nią. Potem podszedł, pochylił się i pocałował ją w dekolot.

- Idź już - cicho powiedziała Guta.

- A ja? A mnie? - zaszcebiotała Mariszka wciskając się między nich.

Trzeba było pochylić się jeszcze niżej. Guta patrzyła na Reda nieruchomymi oczami.

- Wszystko w porządku - powiedział Red. - Nie martw się. Zadzwonię.

Na podeście schodów, piętro niżej. Red zobaczył tęgiego mężczyznę w pasiastej piżamie, który majstrował przy zamku swoich drzwi. Z ciemnego wnętrza mieszkania ciągnęło ciepłym, kwaśnym zaduchem. Red zatrzymał się i powiedział:

- Dzień dobry.

Tęgi mężczyzna strachliwie spojrzął na Reda przez opasłe ramię i coś odburknął.

- Pańska małżonka przychodziła do nas w nocy - powiedział Red. - Skarżyła się, że coś pijujemy. To jakieś nieporozumienie.

- Co mi do tego? - warknął mężczyzna w piżamie.

- Żona robiła wczoraj pranie - ciągnął Red. - Jeżeli przeszkadzaliśmy państwu, to przepraszam.

- Ja nic nie mówiłem - powiedział mężczyzna w piżamie. - Proszę...

- W takim razie bardzo się cieszę - powiedział Red.

Zszedł na dół, wstąpił do garażu, koszyk z workiem postawił w kącie, zasłonił starym siedzeniem z samochodu i wyszedł na ulicę.

Miał niedaleko - dwa kwartały do placu, potem przez park i jeszcze jeden kwartał do Centralnego bulwaru. Przed "Metropolem" jak zwykle błyszczał chromem i lakierem różnobarwny szereg samochodów, służba hotelowa w malinowych liberjach wносиła walizki, jacyś solidni zagraniczni goście rozmawiali w grupach po dwóch i trzech na marmurowych schodach, ćmiąc cygara. Red postanowił chwilowo tam nie wchodzić. Usiadł pod markizą maleńkiej kawiarenki po drugiej stronie ulicy, poprosił o kawę i zapalił. Dwa kroki od niego siedziało trzech oficerów z międzynarodowej policji. Byli po cywilnemu i w milczeniu, spieszenie pochłaniali opiekane parówki i pili ciemne piwo z wysokich szklanych kufli. Po drugiej stronie, o dziesięć kroków dalej, jakiś sierżant gniewnie pożerał smażone ziemniaki - widelec trzymał w zaciśniętej pięści, niebieski hełm leżał do góry nogami na podłodze, pas z kaburą wisiał na oparciu krzesła, więcej nikogo w kawiarni nie było. Kelnerka, nie znana Redowi kobieta w średnim wieku, stała pod ścianą i od czasu do czasu ziewała, wytwornie zasłaniając usta dłonią. Była za dwadzieścia dziewięć.

Red zobaczył, jak przetykając ostatnie kęsy i wciskając na głowę miękki kapelusz wychodzi z hotelu Richard Nunnun. Dziarsko sturlał się ze stopni - świeżo wykąpany, malutki, pulchniutki, różowy, taki okropnie zadowolony i przekonany, że nadchodzący dzień nie przyniesie mu żadnych kłopotów. Pomachał komuś ręką, przerzucił przez prawe ramię zwinięty płaszcz i podszedł do swego peugeota.

Peugeot Dicka był również pulchniutki, nieduży, świeżo umyty i też jakby absolutnie pewny, że żadne nieprzyjemności mu nie grożą.

Red zasłaniając się dłonią patrzył, jak Nunnun, zaferowany i rzeczowy, sadowi się za kierownicą, jak coś przekłada z przedniego siedzenia na tylne, podnosi coś z podłogi, poprawia boczne lusterko. Wreszcie peugeot parsknął błękitnym dymkiem, pisnął na jakiegoś Afrykanina w burnusie i dziarsko wytoczył się na ulicę. Można było przypuścić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Nunnun wybierał się do instytutu, a to znaczyło, że będzie musiał objechać fontannę i przejechać obok kawiarni. Na to, żeby wstać i wyjść, było już za późno i dlatego Red tylko jeszcze szczerzej zasłonił twarz dłonią i zgarbił się nad swoją filiżanką. Jednakże nic nie pomogło. Peugeot zapiszczał mu nad samym uchem, zgrzytnęły hamulce i rzeżki głos Nunnuna zawołał:

- Hej! Shoehart! Red!

Klnąc w myśli Red podniósł głowę, Nunnun już szedł do niego, z daleka wyciągając rękę. Promienia! życzliwość.

- Co tu robisz tak wcześnie? - zapytał podchodząc. nie, dziękuję, Madame - rzucił kelnerce. - Nie będę nic zamawiał... - i znowu do Reda - Sto lat cię nie widziałem. Gdzie przepadasz? Co robisz?

- Nic szczególnego... - niechętnie powiedział Red. - Tak... różne głupstwa.

Red obserwował jak Nunnun ze zwykłym dla niego zaferowaniem i starannością sadowi się na krzesło vis a vis niego, pulchnymi rączkami odsuwa wazonik z serwetkami w jedną stronę, a talerzyk po kanapkach w drugą, słuchał jego życzliwej paplaniny.

- Nie powiem, żebyś wyglądał kwitnąco, nie dosypiasz, czy co? Wiesz, ostatnio też się zdrowo uszarpałem z tą całą automatyzacją, ale żeby aż nie spać? O nie, bracie, sen jest dla mnie najważniejszy, żeby nawet wszystkie automaty diabli wzięli... - nagle się rozejrzał. - Pardon, a może ty na kogoś czekasz? Nie przeszkadzam ci?

- Nie... - ospale powiedział Red. - Miałem po prostu trochę czasu i pomyślałem, że dobrze byłoby się napić kawy.

- No, ja cię długo nie zatrzymam - powiedział Dick i spojrzął na zegarek. - Słuchał, Red, daj spokój tym swoim głupstwom i wracaj do instytutu. Przecież wiesz, że tam cię przyjmą w każdej chwili. Chcesz, to znowu będziesz pracował z Rosjaninem, niedawno przyjechał.

Red pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Drugi Kirył jeszcze się nie urodził... Zresztą, nie mam co teraz robić w waszym Instytucie... Teraz wszystko już jest zautomatyzowane, do Strefy chodzą roboty, stąd wniosek, że premie też dostają roboty... A te grosze, które płacicie laborantom... ja więcej wydaję na papierosy.

- Daj spokój, wszystko można załatwić - powiedział Nunnun.

- A ja nie lubię, jak mi załatwiają - powiedział Red. - Od urodzenia sam sobie wszystko załatwiałem i nadal zamierzam.

- Strasznie dumny się zrobiłeś - z naganą, powiedział Nunnun.

- Jaki tam dumny. Po prostu nie lubię się liczyć z forszą, i to wszystko.

- No cóż, może masz racje - z roztargnieniem powiedział Dick. Obojętnie spojrzął na teczkę Reda leżącą obok na krześle, przetarł palcem srebrną tabliczkę, z wygrawerowaną cyrylicą. - Słusznie, pieniądze są, potrzebne człowiekowi po to, żeby o nich nie myśleć... Kirył ci podarował? - zapytał wskazując na teczkę.

- Dostałem w spadku po nim - powiedział Red. - Coś ostatnio jakoś cię, nie widać w "Barge", dlaczego?

- Umówmy się, że to raczej ciebie nie widać - odparł Nunnun. - Bo ja prawie codziennie jem tam obiad, tu w "Metropolu" za każdy kotlet każą sobie płacić bajońskie sumy... Słuchaj - powiedział nagle. - Jak ty jesteś z forszą?

- Chcesz ode mnie pożyczyć? - zapytał Red.

- Wręcz przeciwnie.

- Aha, to znaczy, że proponujesz mi pożyczkę...

- Jest robota do zrobienia - powiedział Nunnun.

- O Boże! - powiedział Red. - I ty także!

- A kto jeszcze? - natychmiast zapytał Nunnun.

- W ogóle dużo was takich... pracodawców.

Nunnun, jakby go dopiero teraz zrozumiał, roześmiał się.

- Ależ nie, tu nie chodzi o twoją główną specjalność...

- A o czym?

Nunnun znowu spojrzął na zegarek.

- Słuchaj - powiedział wstając. - Przyjdź dziś w porze obiadowej do "Barge", tak gdzieś około drugiej. Porozmawiamy.

- Na drugą mogę nie zdążyć - powiedział Red.

- W takim razie wieczorem, o szóstej. Stoi?

- Zobaczymy - powiedział Red i też spojrzął na zegarek. Była za pięć dziewiąta.

Nunnun skinął dłonią i potoczył się do swego Peugota. Red odprowadził go spojrzeniem, zawołał kelnera, poprosił o "Lucky Strike", zapłacił, niespiesznie przeszedł jezdnię i wszedł do hotelu. Słońce przypiekało już mocno, ulicę szybko wypełniał wilgotny zaduch i Red poczuł, jak go pieką powieki. Mocno zmrużył oczy, żałując, że nie starczyło czasu na chociaż godzinę snu przed ważnym spotkaniem. I w tym właśnie momencie to na niego naszło.

Nic podobnego nigdy mu się nie przytrafiło poza Strefą, a i w Strefie zdarzyło się zaledwie dwa lub trzy razy. Jakby nagle znalazł się w innym świecie. Miliony zapachów jednocześnie natarły na niego - ostre, słodkie, metaliczne, czułe, niebezpieczne, trwożne ogromne jak domy, mikroskopijne jak pyłki, ciężkie jak kamienie, subtelne i skomplikowane jak mechanizm zegarka. Powietrze stwardniało, wykryształizowały się w nim krawędzie, płaszczyzny, kąty, jakby przestrzeń wypełniały ogromne, szorstkie kule, śliskie ostrosłupy, gigantyczne graniaste kryształy i przez to wszystko trzeba było się przedzierać, jak w majakach sennych przez ciemny zagracony antykwariat, pełen staroświeckich, cudzoziemskich mebli. Trwało to ułamek sekundy. Red otworzył oczy i wszystko zniknęło. To nie był odmienny świat - to świat znany, codzienny, zwrócił się ku Redowi inną, nie znaną stroną, zwrócił się na mgnienie, a potem znowu szczerze się zatrzasnął, zanim Red zdolał cokolwiek zrozumieć...

Nad uchem warknął zirytowany klakson. Red przyśpieszył kroku, później pobiegł i zatrzymał się dopiero pod samym "Metropolem". Serce biło mu nieprzytomnie. Postawił teczkę na asfalcie, pospiesznie rozerwał paczkę papierosów i zapalił. Zaciągał się głęboko i ciężko dyszał, jakby przed chwilą stoczył walkę. Dyżurny policjant zatrzymał się obok Reda i troskliwie zapytał:

- Czy potrzebuje pan pomocy?

- N-nie - wydusił z siebie Red i zakasłał - Duszno...

- Może odprowadzić pana?

Red schylił się po teczkę.

- Nie - powiedział. - Już wszystko w porządku. Dziękuję, przyjacielu.

Szybko pomaszerował do bramy hotelu i wszedł po stopniach do hallu. Panował tu półmrok i chłód. Powinien posiedzieć chwilę w jednym z tych wielkich, skórzanych foteli, wysapać się, uspokoić, ale już i tak się spóźnił. Pozwolił sobie tylko na dopalenie do końca papierosa, obserwując spod przymkniętych powiek ludzi krążących po hallu. Suchy już tu był - z niezadowoloną miną przerzucał pisma w kiosku. Red rzucił niedopałek do popielniczki i wszedł do windy.

Nie zdążył zamknąć drzwi, a tuż za nim wcisnęli się do windy: jakiś grubas z astmatyczną zadyszką, mocno naperfumowana paniusia z ponurym dziesięcioletkiem, który żuł czekoladę, i potężna, źle ogolona starucha. Reda wepchnięto w kąt, musiał zamknąć oczy, żeby nie widzieć chłopca, któremu po brodzie spływała czekoladowa ślina, choć twarz miał świeżą i czystą i nie widzieć jego matki, której zwiędły biust zdobił sznur "czarnych bryzg" oprawnych w srebro, nie widzieć wytrzeszczonych sklerotycznych białek grubasa i przerażających brodawek na obrzmiałej mordzie staruchy. Grubas spróbował zapalić, ale starucha natychmiast przywołała go do porządku i nękała aż do czwartego piętra, na którym wysiadła, grubas jednak zapalił z taką miną, jakby wywalczył dla siebie prawa obywatelskie i niezwłocznie zakrztusił się, zasapał, chrypiąc, świszcząc, zwijając wargi jak wielbłąd i trącając Reda w bok wystającym łokciem...

Red wysiadł na siódmym piętrze i żeby chociaż trochę się rozładować, głośno i wyraźnie powiedział:

- W duszę, w twoją mordę nieogolona raszplu, stara ropucho, cuchnącym, śmierdzącym kaloszem przez Boga przekłeta, razem z twoim gówniarzem zasmarkanym, w czekoladzie...

Potem ruszył miękkim chodnikiem wzdłuż korytarza, oświetlonego przytulnym światłem ukrytych lamp. Pachniało tu drogim tytoniem, francuskimi perfumami, lśniąca skórą pękających portfeli, kosztownymi dziewczynami, po pięćset za jedną noc, masywnymi złotymi papierośnicami - całą szumowiną, wstrętą naroślą, która wyrosła na Strefie, ssała Strefę, pasożytowała i żerowała na Strefie, obrastała sadłem i wszystko jej zwisało, a w szczególności to, co nastąpi potem, kiedy już się nażre i opije do syta i kiedy wszystko, co jest wewnątrz Strefy zostanie wydobyte na zewnątrz i zdomowi się na naszej planecie. Red bez pukania otworzył drzwi apartamentu numer osiemset siedemdziesiąt cztery.

Chrypa siedział na stole przy oknie i oprawiał cygaro. Był jeszcze w piżamie, rzadkie włosy miał wilgotne, ale starannie zaczesane z przedziałkiem, a jego niezdrowo nalana twarz była gładko ogolona.

- Aha - odezwał się nie podnosząc oczu. - Punktualność jest grzecznością królów. Witaj mój chłopcze.

Poradził sobie wreszcie z koniuszkiem cygara, w obu dłoniach uniósł je na wysokość wąsów, po czym przejechał nosem wzdłuż cygara.

- A gdzie nasz stary, dobry Barbridge? - zapytał i podniósł powieki. Oczy miał przejrzyste, błękitne i anielskie.

Red postawił teczkę na kanapie, usiadł i wyjął papierosy.

- Barbridge nie przyjdzie - powiedział.

- Stary, dobry Barbridge - powtórzył Chrypa, ujął cygaro w dwa palce i ostrożnie podniósł je do ust. - Starego Barbridge'a zawiodły nerwy...

Bez przerwy patrzył na Reda czystymi błękitnymi oczami i nie mrugał. Chrypa nigdy nie mrugał. Drzwi uchyliły się i do pokoju wszedł Suchy.

- Kim był ten człowiek, z którym pan rozmawiał? - zapytał od progu.

- A, dzień dobry - życzliwie powiedział Red, strząsając popiół na podłogę.

Suchy wepchnął ręce w kieszenie i szeroko stąpając ogromnymi, skrzywionymi do wewnątrz stopami stanął przed Redem.

- Uprzedzaliśmy sto razy - powiedział z wyrzutem. - Żadnych kontaktów przed spotkaniem. A co pan robi?

- Mówię, dzień dobry - powiedział Red. - A pan?

Chrypa roześmiał się, a Suchy powiedział z irytacją:

- Dzień dobry, dzień dobry... - przestał świdrować Reda pełnym wyrzutem spojrzeniem i zwałił się na kanapę. - Nie wolno tego robić - powiedział. - Nie wolno! Rozumie pan?

- W takim razie wyznaczajcie spotkania tam, gdzie nie mam znajomych - powiedział Red.

- Chłopiec ma rację - zauważył Chrypa. - Popełniliśmy błąd. Kto to był?

- Richard Nunnun - wyjaśnił Red. - Jest przedstawicielem kilku firm dostarczających aparaturę dla instytutu. Mieszka w tym hotelu.

- Widzisz, jakie to proste! - powiedział Chrypa do Suchego. Wziął ze stołu olbrzymią, zapalniczkę, w kształcie Posągu Wolności, popatrzył na nią z powątpiewaniem i odstawił z powrotem.

- A gdzie Barbridge? - już zupełnie życzliwie zapytał Suchy.

- Skończył się Barbridge - powiedział Red. Tamci dwaj wymienili szybkie spojrzenia.

- Pokój jego duszy - powiedział podejrzliwie Suchy. - Czy też może aresztowano go?

Red przez chwilę nie odpowiadał, powoli dopalał papierosa, następnie rzucił niedopałek na podłogę i powiedział:

- Nie bójcie się, wszystko gra. Barbridge jest w szpitalu.

- To się u pana nazywa, że wszystko gra! - powiedział nerwowo Suchy, zerwał się, z kanapy i podszedł do okna. - W którym szpitalu?

- Nie bójcie się - powtórzył Red. - W tym co trzeba. Załatwiamy nasze sprawy, ja chcę się wreszcie wyspać.

- A konkretnie, w którym szpitalu? - już z rozdrażnieniem zapytał Suchy.

- Już się rozpędziłem, żeby wam powiedzieć - odparł Red. Wziął z podłogi teczkę. - Będziemy dziś załatwiać interesy, czy nie?

- Wszystko załatwimy, mój chłopcze - rzeško powiedział Chrypa,

Z nieoczekiwana lekkością zeskoczył na podłogę, szybko przysunął do kanapy niski stolik. Jednym ruchem zgarnął na podłogę stos pism, usiadł naprzeciw i wparł w kolana różowe włochate ręce.

- Niech pan pokaże towar - powiedział. Red otworzył teczkę, wyjął spis z cenami i położył na stoliku przed Chrypą. Chrypa spojrział i paznokciem odsunął spis na bok. Suchy stanął z tyłu i wgapiał się w kartkę ponad ramieniem współnika.

- To jest rachunek - powiedział Red.

- Widzę - odezwał się Chrypa. - Niech pan pokaże towar!

- Forsa - powiedział Red.

- Co to za "pierścień"? - podejrzliwie zapytał Suchy, pokazując palcem listę, ponad ramieniem Chrypy.

Red milczał. Trzymał na kolanach otwartą teczkę i uporczywie patrzył w błękitne, anielskie oczka. Chrypa wreszcie się uśmiechnął.

- I za co ja cię tak lubię, mój chłopcze - zagruchał jak synogarlica. - A mówią, że miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje! - westchnął teatralnie. - Phil przyjacielu, jak to się nazywa w ich języku? Wydadź mu szmal, odżałuj zielonych... i podaj mi wreszcie ognia! Przecież widzisz... - pomachał cygarem, które ciągle jeszcze zaciskał w dwóch palcach.

Suchy Phil wymamrotał coś niewyraźnie, rzucił Chrypie zapalki, a sam wyszedł do sąsiedniego pokoju przez drzwi zasłonięte portierą. Było słychać, jak z kimś tam rozmawia niewyraźnie i z irytacją, coś jakby na temat kota w worku, a Chrypa zapalając wreszcie swoje cygaro, ciągle wpatrywał się w Reda z martwym uśmiechem na cienkich wargach, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Red oparł brodę na teczce i też patrzył tamtemu w twarz starając się nie mrugać, chociaż powieki paliły go jak ogniem, a oczy zaczynały łzawić. Potem wrócił Suchy i rzucił na stolik dwie paczki banknotów w banderolach i bardzo nadęty usiadł obok Reda. Red leniwie sięgnął po pieniądze, ale Chrypa zatrzymał go gestem, zerwał banderole i schował je do kieszeni piżamy.

- Teraz bardzo proszę - powiedział. Red wziął pieniądze i nie licząc wepchnął je do wewnętrznych kieszeni marynarki, następnie przystąpił do wykładania towaru. Robił to powoli, umożliwiając tamtym dwóm obejrzenie wszystkiego i porównanie wszystkiego ze spisem każdego przedmiotu oddzielnie. W pokoju było cicho, tylko ciężko dyszał Chrypa i jeszcze za portierą coś cicho dźwięknęło -

jakby łyżeczka o krawędź szklanki.

Kiedy w końcu Red zamknął teczkę i zatrzasnął zamek, Chrypa poniósł na niego oczy i zapytał:

- No a co z najważniejszym?

- Nic - odpowiedział Red. I po chwili milczenia dodał: - Na razie.

- Podoba mi się to "na razie" - czule powiedział Chrypa. - A tobie, Phil?

- Niejasno pan stawia sprawę - powiedział zrzędnie Suchy Phil. - Powstaje pytanie, dlaczego niejasno?

- Bo to już taki mój fach: ciemne interesy - powiedział Red. - Niełatwy mamy fach, panowie.

- No dobrze - powiedział Chrypa. - A gdzie aparat fotograficzny?

- O do diabła! - zmieszał się Red. Potarł palcami policzek czując, jak się czerwieni. - Moja, wina - powiedział. - Na śmierć zapomniałem.

- Tam? - zapytał Chrypa robiąc nieokreślony ruch cygarem.

- Nie pamiętam... Pewnie tam... - Red zamknął oczy i opadł na oparcie kanapy. - Nie. Nic nie pamiętam.

- Szkoda - powiedział Chrypa. - Ale czy pan przynajmniej widział tę rzecz?

- Ależ skąd - z niechęcią powiedział Red. - Przecież właśnie o to chodzi. Nawet nie doszliśmy do nagrzewnic. Barbridge wpakował się w "pudding" i natychmiast musiałem zwinąć żagle. Może pan być pewien, że gdybym zobaczył, tobym nie zapomniał.

- Hugh, spójrz no tylko! - przerażonym szeptem powiedział nagle Suchy. - Co to może być? Siedział, wyciągając przed siebie wskazujący palec prawej dłoni. Dookoła palca wirował ten właśnie pierścień z białego metalu i Suchy wpatrywał się w pierścień wytrzeszczając oczy.

- On się nie zatrzymuje! - głośno powiedział Suchy patrząc okrągłymi oczami to na pierścień, to na Chrypę.

- Co to znaczy: nie zatrzymuje się? - ostrożnie zapytał Chrypa i odrobinę się odsunął.

- Włożyłem go na palec, raz zakręciłem - tak sobie... a on już minutę kręci się bez przerwy!

Suchy nagle zerwał się z kanapy i trzymając palec przed sobą pobiegł za portierę. Pierścień srebrzyście połyskując wirował przed nim jak śmigło samolotu.

- Co za cudactwo pan nam przyniósł? - zapytał Chrypa.

- A diabli go wiedzą! - odparł Red. - Sam do tej pory nie wiedziałem. Gdybym wiedział, przyniósłbym więcej.

Chrypa przez jakiś czas patrzył na Reda, potem wstał i również znikł za portierą... Zaszemrały tam głosy. Red wyciągnął papierosa, zapalił, podniósł z podłogi jakiś magazyn i zaczął go bez zainteresowania przeglądać. W magazynie była nieprzebrana mnogość cudnej urody dziewcząt, ale nie wiadomo dlaczego Reda mdliło na ich widok. Rzucił magazyn i poszukał wzrokiem czegoś do wypicia, następnie wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę banknotów i przeliczył je. Wszystko było w porządku, ale żeby nie zasnąć, przeliczył również następną paczkę. Kiedy ją chował do kieszeni, wrócił Chrypa.

- Masz szczęście, mój chłopcze - oznajmił znowu siadając naprzeciw Reda. - Czy wiesz co to takiego perpetuum mobile?

- Nie powiedział Red. - W naszej szkole tego nie przerabiano.

- I na zdrowie - powiedział Chrypa. Wyjął jeszcze jeden zwitek banknotów. - To jest cena pierwszego egzemplarza - oświadczył zdejmując banderolę. - Za każdy następny egzemplarz pańskiego "pierścienia" otrzyma pan dwie takie paczki. Zapamiętałeś chłopcze? Dwie paczki. Ale pod warunkiem, że nikt, oprócz nas tu obecnych, nigdy niczego o tych pierścieniach się nie dowie.

Umowa stoi?

Red w milczeniu wsadził pieniądze do kieszeni i wstał.

- Idę - powiedział - Gdzie i kiedy następnym razem? Chrypa również wstał.

- Ktoś do pana zadzwoni - powiedział. - Niech pan oczekuje telefonu w każdy piątek od dziewiątej do dziewiątej trzydzieści rano. Otrzyma pan pozdrowienia od Phila Hugh'a i wtedy umówi się pan na spotkanie.

Red skinął głową i ruszył do drzwi. Chrypa poszedł za nim i położył mu rękę na ramieniu.

- Chciałbym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał - powiedział. - Wszystko to jest bardzo miłe, pożyteczne itd... a "pierścień" to doprawdy urocza zabaweczka, ale w pierwszym rzędzie potrzebne nam są dwie rzeczy - fotografie i napełniony kontener. Kiedy pan zwróci nasz aparat fotograficzny ze zdjęciami i nasz kontener, ale nie pusty, tylko pełny, już nigdy więcej nie będzie pan musiał chodzić do Strefy...

Red poruszył ramieniem, zrzucił dłoń tamtego, otworzył drzwi i wyszedł, nie odwracając się szedł miękkim chodnikiem i przez cały czas czuł na karku błękitne, nieruchome spojrzenie anielskich oczu. Nie czekając na windę, zszedł z siódmego piętra na dół.

Kiedy wyszedł z "Metropolii", wziął taksówkę i pojechał na drugi koniec miasta. Kierowca trafił się nieznajomy, z tych niedawno przybyłych, pryszczaty chłopiec z wielkim nosem; jeden z wielu, którzy ostatnimi laty tłumnie walili do Harmont w poszukiwaniu niebываłych przygód, nieprzeliczonych bogactw, światowej sławy i jakiejś osobliwej religii. Tłumnie przyjeżdżali i zostawali szoferami taksówek, kelnerkami, robotnikami na budowie, wykidajkami - nieudolni, chciwi, udręczeni niejasnymi pragnieniami, zawistni, niezadowoleni ze wszystkiego na świecie, rozczarowani i przekonani najgłębiej, że i tym razem znowu ich oszukano. Połowa, po kilkumiesięcznej poniewierce, przeklinając wszystko i wszystkich powracała do domów, niosąc swe wielkie rozczarowanie do wszystkich krajów świata: nieliczni, których można by policzyć na palcach, zostawali stalkerami i szybko ginęli, za szybko, żeby cokolwiek pojąć, niektórym udało się dostać pracę w instytucie, tym najzdolniejszym i wykształconym, zdatnym chociażby do pracy preparatora, a pozostali - wszystkie bez wyjątku wieczory spędzali w knajpach, urządzali bójki z powodu różnicy poglądów, z powodu dziewczyn i zwyczajnie bez powodu, kiedy się popili. Od czasu do czasu organizowali marsze z wręczaniem jakichś petycji, jakieś demonstracje protestu, jakieś strajki, siedzące, stojące i nawet leżące i doprowadzali do białej furii miejską policję, komendanturę i rdzennych mieszkańców Harmont, ale im więcej upływało czasu, tym gruntowniej pokornieli, uspokajali się i coraz chętniej zapominali, po co się tu znaleźli.

Od pryszczatego szofera na kilometr niosło gorzałą, oczy miał czerwone jak królik, ale był niezwykle podniecony i z miejsca zaczął opowiadać Redowi, jak dziś rano na ich ulicy pojawił się nieboszczyk z cementarza.

Przyszedł więc do swojego domu, a dom przecież od ilu to już lat zamknięty, wszyscy się wyprowadzili - i wdowa po nim, to znaczy stara, i córka z mężem, i wnuki. A ten, jak opowiadają sąsiedzi, umarł jeszcze przed Lądowaniem, a teraz □ patrzcie państwo - nagle wraca! Parę razy obszedł dom w kolko, poskrobał w drzwi, potem usiadł pod płotem i siedzi. Ludzi się zbiegło - cała dzielnica - patrzą, a podejść, rzecz jasna, każdy się boi. Później się domyślili, wyłamali drzwi w jego domu, żeby mógł wejść. I co pan myśli? Wstał, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Musiałem lecieć do pracy i nie wiem, czym się tam skończyło, wiem tylko, że mieli zamiar dzwonić do instytutu, żeby go od nas zabrali do wszystkich diabłów.

- Stop - powiedział Red. - Tu się zatrzymaj. Pogrzebał w kieszeni, ale nie znalazł drobnych i musiał rozmiąć nowy banknot. Potem chwilę postać przed bramą, poczekał, aż taksówka odjedzie. Cottage Ścierwnika był nie najgorszy - jednopiętrowy, przeszklony, sala bilardowa, zadbane ogródki, oranżeria i biała altanka wśród jabłoni. A wokół tego wszystkiego żelazne kute sztachety pomalowane olejną farbą na zielono. Red kilkakrotnie nacisnął guziczek dzwonka, drzwi z lekkim skrzypieniem otworzyły się i Red bez pośpiechu poszedł ścieżką, wśród różanych krzewów. Na ganku stał już Suseł - pokręcony, czarno - purpurowy dygoczący z namiętej chęci usłużenia. Z niecierpliwości odwrócił się bokiem, zwiesił ze stopnia jedną, rozpaczliwie szukającą oparcia nogę, znalazł je, zaczął opuszczać na niższy stopień drugą nogę, i ciągle machał, machał Redowi zdrową ręką - czekaj, czekaj, ja zaraz...

- Ej, Rudy! - zawołał z ogrodu kobiecy głos. Red odwrócił głowę i zobaczył wśród zieleni obok białego ażurowego dachu altanki smagłe nagie ramiona, jaskrawoczerwone usta i kiwającą dłoń. Skinął Susłowi, zszedł ze ścieżki i ruszył wprost przez krzaki róż po miękkiej zielonej trawie w stronę altanki.

Na trawie leżała wielka czerwona mata, a na macie siedziała ze szklanką, w dłoni Dina Barbridge w prawie niedostrzegalnym kostiumie kąpielowym, obok poniewierała się książka w jaskrawej okładce, a w zasięgu ręki, pod krzakiem, w cieniu stało błyszczące wiaderko z lodem, z którego sterczała wąska, smukła szyjka butelki.

- Cześć, Rudy! - powiedziała Dina i zrobiła powitalny ruch szklanką. - A gdzie papachen? Czyżby znowu się zasypał?

Red podszedł, ręce z teczką założył do tyłu i spojrzał na dziewczynę z góry. Tak, wspaniałe dzieci wymodlił sobie w Strefie Ścierwnik. Dina była atlasowa, cudownie złota, bez jednej skazy, bez jednej zbytecznej fałdki - sto pięćdziesiąt funtów wabiącego ciała i jeszcze szmaragdowe, świetliste oczy, i jeszcze ogromne wilgotne usta, i równiutkie białe zęby, i jeszcze krucze, lśniące w słońcu włosy, niedbale rzucone na jedno ramię i błyski słońca przebiegające z jej ramion na brzuch i biodra, zostawiając cień między prawie nagimi piersiami. Red wpatrywał się w nią, a Dina spoglądała na niego z dołu, uśmiechając się ze zrozumieniem, a potem uniosła szklankę i wypila kilka łyków.

- Masz ochotę? - zapytała oblizując wargi. Odczekała dokładnie tyle czasu, ile należało, żeby dwuznaczność pytania dotarła do Reda, i wyciągnęła do niego szklankę.

Red odwrócił się, poszukał wzrokiem, dostrzegł stojący w cieniu szezlong i wyciągnął się na nim.

- Barbridge jest w szpitalu - powiedział. - Będą mu amputować nogi.

Dina z tym samym uśmiechem patrzyła na Reda jednym okiem, drugie zasłaniała gęsta fala włosów spadająca na ramię, i tylko jej uśmiech znieruchomiał - cukierkowy grymas na śniadej twarzy. Potem machinalnie pokotyła szklanką, jakby słuchała stukania lodu o szkło, i zapytała:

- Obie nogi?

- Obie. Może do kolan, a może wyżej. Dina postawiła szklankę i odgarnęła z twarzy włosy. Już się nie uśmiechała.

- Szkoda - powiedziała. - To znaczy, że ty...

Właśnie jej, Dinie, Red mógłby szczegółowo opowiedzieć, jak to wszystko się stało i jak to było. Zapewne mógłby jej nawet opowiedzieć, jak wracał do samochodu trzymając w pogotowiu kastet i jak Barbridge prosił o litość, nawet nie dla siebie, a dla dzieci, dla niej i dla Arenie, i jak obiecywał Złotą Kulę. Mógłby, ale nie zrobił tego. W milczeniu sięgnął do marynarki, wyciągnął paczkę banknotów i rzucił ją na czerwoną matę. Banknoty upadły tęczowym wachlarzem tuż przy smukłych, długich nogach Diny. Dina machinalnie podniosła kilka banknotów, przyjrzała się im, tak jakby je widziała po raz pierwszy w życiu i stwierdziła, że są niezbyt interesujące.

- A więc to jest ostatnia wypłata - powiedziała. Red wychylił się z szezlonga, dosięgnął wiaderka, wciągnął butelkę i spojrzał na nalepkę. Z ciemnego szkła kapała woda i Red odsunął rękę z butelką, żeby nie poplamzić spodni. Nie przepadał za drogą whisky, ale teraz można było napić się i tej. I już przymierzył się, żeby golnąć prosto z butelki, ale powstrzymały go niewyraźne, protestujące dźwięki za plecami. Obejrzał się i zobaczył, że przez trawnik, ze straszliwym trudem przedstawiając krzywe nogi, śpieszy Suseł, w obu rękach trzymając wysoką szklankę z przezroczystym płynem. Z gorliwości pot spływał mu strumieniem po purpurowo - czarnej twarzy, nalane krwią oczy prawie wylazły z orbit, a kiedy dostrzegł, że Red patrzy na niego, nieomal z rozpaczą wyciągnął ku niemu szklankę i znowu ni to zabczał, ni to zaskomlał, szeroko i bezsilnie rozwierając bezzębne usta.

- Czekam, czekam - uspokoił go Red i włożył z powrotem butelkę do kubekka.

Suseł wreszcie dokuśtykał, podał Redowi szklankę i z nieśmiałą poufałością poklepał go po ramieniu haczykową dłonią.

- Dziękuję, Dickson - powiedział poważnie Red. - To jest akurat to, czego mi właśnie potrzeba. Jak zwykle znalazłeś się na poziomie, Dickson.

I póki Suseł, zachwycony i zażenowany, potrząsał głową i spazmatycznie uderzał zdrową ręką w biodro, Red uroczyście uniosł szklankę, skłonił się i jednym haustem wypił połowę. Potem spojrzał na Dinę.

- Chcesz? - zapytał pokazując jej szklankę. Dziewczyna nie odpowiedziała. Składała banknot na pół, potem jeszcze na pół i jeszcze raz na pół.

- Daj spokój - powiedział Red. - Nie zginiecie. Twój ojczulek... Przerwała mu.

- A więc tyś go wyciągnął - powiedziała, nie pytała, stwierdziła fakt. - Dygowaleś go, nieszczęsny idioto, przez całą Strefę, biedny kretynie, na własnym grzbiecie ciągnąłeś tę kanalię, bałwanie. Taką okazję przegapiłeś...

Red patrzył na nią, zapomniawszy o szklance, a Dina wstała i szła, stąpając po rozrzuconych banknotach, aż podeszła do Reda i wtedy stanęła przed nim, zaciśnięte pięści oparła na biodrach i swoim wspaniałym ciałem, pachnącym perfumami i słodkim potem, zasłoniła Redowi cały świat.

- Właśnie w ten sposób on was wszystkich, idiotów, dookoła palca... po waszych kościach, po waszych bezmózgich głowach... Poczekaj, poczekaj, on jeszcze o kulach będzie tańczył na waszych grobach, on wam jeszcze pokaże braterską miłość i miłosierdzie! - Dina już prawie krzyczała. - Złotą Kulę ci obiecywał, prawda? Mapę, pułapki, prawda? Bałwan! - Kretyn! Po twojej mordzie piegowatej widzę, że obiecywał...

Poczekaj, on ci jeszcze pokaże mapę, wieczny odpoczynek racz dać Panie, duszy rudego idioty Reda Shoeharta...

Wtedy Red wstał bez pośpiechu, odwinął się i uderzył ją w twarz. Dina umilkła w pół słowa, osunęła się jak podcięta na trawę i schowała twarz w dłoniach.

- Rudy... idiota... - powiedziała niewyraźnie. - Taką okazję wypuściłeś z rąk... taką okazję...

Red patrząc na nią dopił to, co zostało, i nie odwracając się wetknął szklankę Susłowi. Nie było więcej o czym mówić. Dobre dzieci wymodlił sobie Ścierwnik Barbridge w Strefie! Kochające i troskliwe!

Wyszedł na ulicę, złapał taksówkę i kazał jechać do "Barge". Pora była kończyć interesy, spać się chciało wściekle, przed oczami wszystko płynęło.

W końcu jednak zasnął, całym ciałem opierając się na teczce, i obudził się dopiero wtedy, kiedy szofer potrząsnął go za ramię.

- Jesteśmy na miejscu...

- Gdzie? - spytał zasnany rozglądając się. - Przecież kazałem do banku...

- O nie, mister - wyszczerzył zęby kierowca. - Pan kazał do "Barge". Jesteśmy pod "Barge".

- Dobrze - powiedział Red. - Coś mi się przyśniło...

Zapłacił i wysiadł z trudem przestawiając zdrtwiałe nogi. Słońce już nagrzało asfalt i było bardzo gorąco. Red poczuł, że cały jest mokry, w ustach miał niesmak, oczy łzawiły. Zanim wszedł, rozejrzał się dookoła. Ulica przed "Barge", jak zwykle o tej porze, była pusta. Lokale naprzeciw były jeszcze nieczynne, zresztą i "Barge" był prawdę mówiąc zamknięty, ale Ernest trwał już na posterunku " przecierał szklanki i ponuro obserwował zza lady trzech facetów, którzy chlali piwo przy narożnym stoliku. Z pozostałych stolików jeszcze nie zdjęto odwróconych krzeseł, nieznany Murzyn w białej kurtce zamiatał szczotką podłogę, a drugi krzątał się koło skrzynek z piwem za piecami Ernesta. Red podszedł do lady, położył na niej teczkę i przywitał się. Ernest w odpowiedzi wymruczał coś niezbyt życzliwego.

- Daj mi piwa - powiedział Red i spazmatycznie ziewnął.

Ernest rąbnął pustym kuflem o ladę, wyjął z lodówki butelkę, otworzył ją i przechylił nad kuflem. Red, zasłaniając usta dłonią, zapatrzył się na jego rękę. Ręka drżała. Szyjka butelki parę razy stuknęła o skraj kufła. Red spojrzał Ernestowi w twarz. Przymknięte ciężkie powieki, malutkie wykrzywione wargi i obwisłe grube policzki. Murzyn szurał szczotką pod samymi nogami Reda, faceci w kącie zapalczywie i gniewnie spierali się o wyścigi. Murzyn przy skrzynekach piwa potrafił zadem Ernesta, tak że barman aż się zachwiał. Murzyn wymamrotał jakieś usprawiedliwienie. Ernest zdławionym głosem zapytał:

- Przyniosłeś?

- Co miałem przynieść? - zapytał Red oglądając się przez ramię.

Jeden z facetów zwinnie wstał od stolika, poszedł do wyjścia i zatrzymał się w drzwiach zapalając papierosa.

- Chodź, porozmawiamy - powiedział Ernest. Murzyn ze szczotką też teraz stał między Redem a drzwiami. Taki potężny Murzyn, podobny do Szuwaksa, tylko dwa razy szerszy w barach.

- Chodź - powiedział Red i wziął teczkę. Z miejsca odechciało mu się spać.

Wszedł za ladę, przycisnął się obok Murzyna przy skrzynekach piwa. Murzyn widocznie przytrzasnął sobie palec - ssał paznokcieć, spode łba obserwując Reda. Ten był też atletycznie zbudowany, miał złamany nos i zdeformowane uszy. Ernest wszedł do pokoiku na zapleczu a Red za nim, ponieważ teraz tamci trzej stali w drzwiach wyjściowych, a Murzyn ze szczotką znalazł się przed drzwiami do magazynu.

Na zapleczu Ernest odstąpił na bok i usiadł na krześle pod ścianą, a od stołu wstał kapitan Quarterblood zżółkły i frasośliwy, nie wiadomo skąd wyszedł ogromny oenzetowiec w nasuniętym na oczy hełmie i szybko ogromnymi łapami przejechał po kieszeniach Reda. Przy prawej bocznej kieszeni zatrzymał się, wyjął z niej kastet i leciutko popchnął Reda w stronę kapitana. Red podszedł do stołu i postawił przed kapitanem Quarterbloodem swoją teczkę.

- Jak tyś mógł, ścierwo! - powiedział do Ernesta. Ernest smętnie uniósł brew i wzruszył ramieniem. Wszystko było jasne. W drzwiach już stali dwaj uśmiechnięci Murzyni, innych drzwi nie było, a okno było zamknięte zabezpieczone od zewnątrz solidną kratą.

Kapitan Quarterblood z wyrazem obrzydzenia na twarzy grzebał w teczce wykładając na stół "pustaków" małych - dwie sztuki, "baterijek" - dziewięć sztuk, "czarnych bryzg" różnych rozmiarów - szesnaście sztuk, owinięty w plastik "gąbek" w idealnym stanie - dwie sztuki, "gazowanej gliny" - jeden słoik...

- Masz coś jeszcze w kieszeniach? - cicho zapytał kapitan Quarterblood. - Wykładaj...

- Ścierwa - powiedział Red. - Bydlaki. Wsadził rękę w zanadrze i rzucił na stół paczkę banknotów. Banknoty rozsypały się na wszystkie strony.

- Oho! - powiedział kapitan Quarterblood. - Nic więcej?

- Ścierwa parszywe! - wrzasnął Red, wyszarpnął z kieszeni drugą paczkę i z rozmachem rzucił sobie pod nogi - Żryjcie! Udławcie się!

- To niezmiernie interesujące - spokojnie odezwał się kapitan Quarterblood. - A teraz podnieś to.

- Obejdzie się! - odparł Red zakładając ręce do tyłu. - Twoi szpicle pobierają. Sam pobierasz!

- Podnieś pieniądze, stalker - nie podnosząc głosu powiedział kapitan Quarterblood, wpiernając pięści w stoi i podając się do przodu.

Kilka sekund w milczeniu patrzyli sobie w oczy, a potem Red mamrocząc przekleństwa przykucał i niechętnie zaczął zbierać pieniądze. Murzyni z tyłu zachichotali, a oenzetowiec szyderczo parsknął.

- Lepiej nie parszaj! - powiedział do niego Red. - Jeszcze się usmarkasz!

Teraz czołgał się już na kolanach, zbierając banknoty po jednym i coraz bliżej przysuwał się do ciemnego miedzianego, "pierścienia" który spokojnie spoczywał w zarośniętym brudem wgłębieniu parkietu. Starając się zająć jak najwygodniejszą pozycję i wykrzykując bezustannie rynkowe przekleństwa wszystkie, jakie znał, i nowe, pośpiesznie teraz wymyślane, kiedy nadszedł moment, zamilkł, sprężył się, uchwycił pierścień i z całej siły szarpnął go do góry. Pokrywa piwnicy jeszcze nie zdążyła rąbnąć o podłogę, kiedy Red wyciągając przed siebie ręce skoczył głową na dół, w stęchłą zimną ciemność podziemia.

Upadł na ręce, przekoziółkował przez głowę, zerwał się na nogi i pochyłony, nic nie widząc, licząc tylko na pamięć i szczęście rzucił się przed siebie w wąskie przejście między sagami skrzynek. Biegąc szarpał, rwał te skrzyńki słysząc, jak z brzękiem i łoskotem zawalają przejście za jego plecami. Ześlizgując się wbiegł po niewidzialnych schodkach, ciałem wybił obite zardzewiałą blachą drzwi i znalazł się w garażu Ernesta. Cały dygotał, z trudem łapał powietrze przed oczami pływały mu krwawe plamy, serce ciężko i boleśnie biło mu w gardle, ale nie zatrzymał się ani na sekundę. W mgnieniu oka znalazł się w odległym kącie i zdzierając sobie skórę z dłoni zaczął rozwalać górę rupieci, pod która w ścianie garażu brakowało kilku desek, następnie położył się na brzuchu i przelał przez tę dziurę, słysząc, jak z trzaskiem pęka na nim marynarka. I dopiero na podwórzu, wąskim jak studnia, przysiadł między pojemnikami na śmiecie, zdjął marynarkę, zerwał i wyrzucił krawat, szybko dokonał przeglądu swego stroju, otrzepał spodnie, wyprostował się, przebiegi przez podwórze i dał nura w niski cuchnący tunel prowadzący na sąsiednie, bliźniacze podwórko. Biegąc uważnie nad słuchiwał, ale syreny policyjne na razie jeszcze nie wyły, więc pobiegł co sił w nogach, płosząc uciekające mu z drogi dzieciaki, przebiegając pod rozwieszoną bielizną, przełaząc przez dziury w zgniłych parkanach, starając się jak najszybciej

opuścić dzielnicę, póki kapitan Quarterblood nie zdąży jej otoczyć. Dobrze znał te miejsca. Na wszystkich tych podwórkach, w piwnicach, opuszczonych pralniach i składach opałowych bawił się jeszcze jako chłopiec i wszędzie tu miał znajomych, a nawet przyjaciół i w innej sytuacji mógłby tu bez trudu ukryć się i przesiedzieć choćby tydzień, ale nie po to "zuchwale uciekał przed aresztowaniem" sprzed nosa kapitana Quarterblooda, zarabiając tym sposobem dodatkowe dwanaście miesięcy.

Miał wyjątkowe szczęście. Ulicą Siódmą maszerowała wrzeszcząc i unosząc tumany kurzu, kolejna demonstracja jakiejś ligi - ze dwustu ludzi tak samo, a może nawet i bardziej obszarpanych i brudnych jak on sam, zupełnie tak, jakby wszyscy ci demonstranci dopiero co przedzierali się przez dziury w plotach włązili w pojemniki na śmiecie i jeszcze na dodatek spędził uprzednio burzliwą noc w składzie węgla. Wskoczył z bramy, wmieszał się w ciżbę i na ukos, deptając ludziom po nogach, opędzając się od kuksańców przebił się na drugą stronę ulicy i znowu dał nura w bramę - dokładnie w momencie, kiedy rozległo się znajome wstrętne wycie policyjnych syren i demonstracja stanęła ściśnięta w harmonijkę. Ale teraz Red był już w innej dzielnicy i kapitan Quarterblood nie mógł wiedzieć w jakiej.

Wszedł do swojego garażu od strony magazynu towarów radiotechnicznych i musiał trochę odczekać - robotnicy ładowali na samochód wielkie kartony z telewizorami. Ukrył się w suchotniczych krzakach bzu pod ślepa ścianą sąsiedniego domu, odsapnął troszeczkę i wypalił papierosa. Palił siedząc w kucki i opierając się plecami o mur przeciwpożarowy. Od czasu do czasu przykladał dłoń do policzka, starając się uspokoić nerwowy tik, i myślał, myślał, myślał, a kiedy samochód z robotnikami trąbiąc wyjechał za bramę. Red roześmiał się i cicho rzucił mu w ślad:

"Dziękuję wam, chłopaki, powstrzymaliście durnia... miałem czas pomyśleć". Od tej chwili zaczął działać szybko, ale bez zbędnego pośpiechu, zręcznie, według planu, jakby pracował w Strefie.

Dostał się do garażu przez tajny wjazd, bezszelestnie zdjął stare siedzenie, wsadził rękę do kosza, wyciągnął z worka pakunek i ukrył w zanadru, następnie zdjął z gwoździa starą zniszczoną skórzaną kurtkę, znalazł w kącie brudną cyklistówkę i obiema rękami nacisnął ją głęboko na oczy. Przez szpary w drzwiach do mrocznego garażu wpadały wąskie pasma słonecznego światła pełne świetlistych pyłków, na podwórku wesoło i zadziornie pisały dzieci i kiedy już zbierał się do wyjścia, usłyszał głos córki. Wtedy przywarł okiem do największej szpary i przez chwilę patrzył, jak Mariszka powiewając dwoma balonikami biega dookoła nowej huśtawki, a trzy staruchy z robótkami na kolanach siedzą obok na ławeczce i obserwują małą, nieżyczliwie zaciskając wargi. Wymieniają swoje parszywe uwagi, stare purchawy. A dzieci mają to w nosie - bawią się z nią jak gdyby nigdy nic, nie na darmo podlizywał się im jak umiał - i zjeżdżał im z drewnianą, i dom dla lalek, i huśtawkę... i tę ławkę, na której siedzą teraz stare ropuchy też sam zmajstrował. "No dobra" - powiedział samymi wargami i oderwał się od szpary, jeszcze jeden, ostatni raz obejrzał garaż i ruszył do wjazdu.

Na południowo - zachodnim przedmieściu, obok opuszczonej stacji benzynowej, na samym końcu ulicy Górniczej stała budka telefoniczna. Jeden Pan Bóg wie, kto z niej teraz korzystał - dookoła wszystkie domy były opuszczone a dalej na południe rozpościerało się aż po horyzont miejskie wysypisko śmieci. Red usiadł w cieniu budki, wprost na gołej ziemi, wsadził rękę w szparę pod budkę. Wymacał zakurzony natłuszczony papier i rękojeść pistoletu zawiniętego w ten papier. Ocynkowane pudelko z nabojami również było na miejscu, podobnie jak woreczek z "bransoletkami" i stary portfel z podrobionymi dokumentami - skrytka była w porządku. Wtedy Red zdjął kurtkę i cyklistówkę i wsunął rękę w zanadru. Z minutę siedział ważąc na dłoni porcelanowy pojemnik z nieuchronną, nieubłaganą śmiercią wewnątrz. I wtedy poczuł jak mu znowu zaczął drgać policzek.

- Shoehart - powiedział nie słysząc własnego głosu. - Co ty robisz, łajdaku? Ty kanalio, przecież oni tym paskudztwem nas wszystkich załatwią... - przycisnął palcem drgający policzek, ale nie pomogło. - Gnidy - powiedział o robotnikach ładujących telewizory. - Musieliście mi wejść w drogę... wyrzuciłbym to dranstwo z powrotem do Strefy i spokój...

W głuchej rozpacz rozzejrzał się dookoła, nad popękany asfalterm drżało gorące powietrze, posepnie patrzyły zabite deskami okna, po wysypisku spacerowały obłoczki kurzu. Był sam.

- Dobra - powiedział stanowczo. - Każdy za siebie i tylko jeden Pan Bóg za wszystkich. Ja tego i tak nie dożyję...

Spiesznie, żeby się znowu nie rozmyślić zawinął pojemnik w cyklistówkę, a cyklistówkę opakował w kurtkę. Potem ukląkł oparł się o budkę i z lekka ją odchylił. Grube zawiniątko legło w dolku i jeszcze zostało sporo wolnego miejsca. Red ostrożnie opuścił budkę pokotywał ją, żeby nabrała stabilności, i wstał otrzepując dłonie.

- Koniec - powiedział. - I nie ma o czym gadać. Wszedł w rozpalony zaduch budki, wrzucił monetę i wykrcił numer.

- Guta - powiedział. - Tylko się nie denerwuj. Znowu wpadłem. - Usłyszał, jak z trudem wciągnęła powietrze, i pośpiesznie mówił dalej. - W ogóle mówić nie warto, potrzymaj mnie sześć, góra osiem miesięcy i widzenia będą ci dawali... Jakoś to przeżyjemy. A bez pieniędzy nie będziesz siedziała, pieniądze ci przysła... - Guta ciągle milczała. - Jutro dostaniesz wezwanie do komendantury, tam się zobaczymy. Przyrowadź Mariszkę.

- Rewizji nie będzie? - zapytała głucho.

- A choćby i była. W domu jest czysto. Nic się nie martw, uszy do góry... trzymaj się. Wzięłaś sobie na męża stalkera, teraz nie narzekaj. No, do jutra... Pamiętaj, że nie dzwoniłem do ciebie. Całuję w nosek.

Gwałtownie odwiesił słuchawkę, z całej siły zmrużył oczy i zacisnął zęby, aż mu zadzwoniło w uszach. Potem znowu wrzucił monetę i nakrcił inny numer.

- Słucham - powiedział Chrypa.

- Mówi Shoehart - powiedział Red. - Proszę słuchać uważnie i nie przerywać...

- Shoehart? - bardzo naturalnie zdziwił się Chrypa. - Jaki Shoehart?

- Nie przerywać, teraz ja mówię! Wpadłem, uciekłem i teraz idę oddać się w ich łapy. Dostanę dwa i pół roku albo trzy. Żona zostaje bez pieniędzy. Zabezpieczcie ją. Żeby jej niczego nie brakowało, rozumiano? Rozumiano, pytam?

- Proszę mówić dalej - powiedział Chrypa.

- Niedaleko od tego miejsca, gdzieśmy się pierwszy raz spotkali, stoi budka telefoniczna. Jest tylko jedna, nie można się pomylić. Porcelana leży pod nią. Chcecie, to bierzcie, chcecie - nie bierzcie, ale żeby mojej żonie niczego nie brakowało. Jeszcze nieraz przyjdzie nam razem pracować. A jeżeli wrócę i dowiem się, że gracie ze mną nieczysto... Nie radzę wam grać ze mną nieczysto. Jasne?

- Wszystko zrozumiałem - powiedział Chrypa. - I po niewielkiej pauzie zapytał: Może będzie potrzebny adwokat?

- Nie - odpowiedział Red. - Wszystkie pieniądze do ostatniego grosza - żonie. Czołem.

Odwiesił słuchawkę, rozejrzał się, głęboko wsadził ręce w kieszenie i niespiesznie poszedł w górę ulicy Górniczej między pustymi niszczącymi domami.

3. RICHARD H. NUNNUN, lat 51,

przedstawiciel firm elektronicznych dostarczających aparaturę dla MIPC, filia w Harmont

Richard H. Nunnun siedział za biurkiem u siebie w gabinecie i rysował diabełki w wielkim notesie do służbowych notatek. Uśmiechał się przy tym ze zrozumieniem, kiwał łysą głową i nie słuchał interesanta. Po prostu czekał na telefon, a interesant, doktor Pillman, leniwie robił mu wyrzuty. A może wyobrażał sobie, że mu robi wyrzuty. Czy też za wszelką cenę chciał koniecznie przekonać siebie samego, że robi Nunnunowi wyrzuty.

- Uwzględnimy to wszystko - powiedział wreszcie Nunnun, dorysował dla równego rachunku dziesiątego diabełka i zamknął notes.
- To rzeczywiście skandal...

Walentin wyciągnął cienką rękę i starannie strząsnął popiół do popielniczki.

- A co konkretnie zamierzacie uwzględnić? - zainteresował się grzecznie.

- Wszystko, co powiedziałeś - wesoło odparł Nunnun. - Od pierwszego do ostatniego słowa.

- A co ja powiedziałem?

- To nieistotne - oświadczył Nunnun. - Cokolwiek było, zostanie uwzględnione.

Walentin (doktor Walentin Pillman, laureat nagrody nobla itd. itp.) siedział w głębokim fotelu, malutki, wykwinny pedantyczny, na zamkowej kurtce - ani plamki, na podciągniętych spodniach - ani fałdki, oślepiająca koszula, gładki krawat w najlepszym guście, na wąskich białych wargach - jadowny uśmiezek, wielkie ciemne okulary zasłaniają oczy, nad szerokim niskim czołem - czarne twarde włosy ostrzyżone na jeża.

- Moim zdaniem te fantastyczne sumy, które ci płacą, to wyrzucone pieniądze - powiedział. - Ale to jeszcze nie wszystko. Moim zdaniem jesteś sabotażystą, Dick.

- Sz-sz-sz! - powiedział szeptem Nunnun. - Nie tak głośno, na miłość boską.

- Doprawdy - mówił dalej Walentin. - Obserwuję cię od dosyć dawna, moim zdaniem ty w ogóle nie pracujesz...

- Jedną sekundę! - przerwał mu Nunnun i pomachał grubym różowym palcem. - Jak to nie pracuję? Czy chociaż jedna reklamacja pozostała nie załatwiona?

- Nie wiem - powiedział Walentin i znowu strząsnął popiół. - Przychodzi dobra aparatura i przychodzi zła aparatura. Dobra przychodzi częściej, a co ty masz z tym wspólnego, nie wiem.

- Gdyby nie ja - wyjaśnił Nunnun - dobra przychodziłaby rzadziej, nie mówiąc o tym, że wy, uczeni, bez przerwy psujecie dobrą aparaturę, a potem składacie reklamacje i kto was wtedy kryje? Dam ci przykład...

Zadzwonił telefon i Nunnun, z miejsca zapominając o Walentinie, porwał słuchawkę.

- Mister Nunnun? - zapytała sekretarka. - Znowu pan Lemchen.

- Proszę połączyć.

Walentin wstał, odłożył zgasły niedopałek do popielniczki, na znak pożegnania uniósł na wysokość skroni dwa palce i wyszedł - maleńki, wyprostowany, zgrabny.

- Mister Nunnun? - rozległ się w słuchawce znajomy powolny głos.

- Słucham pana.

- Niełatwo zastać pana w biurze, mister Nunnun.

- Nadeszła właśnie nowa partia...

- Tak, wiem już o tym. Mister Nunnun, przyjechałem nie na długo. Jest kilka spraw, które koniecznie musimy przedyskutować osobiście. Mam na myśli ostatnie kontrakty z Mitsubishi Dentsu. Chodzi o ich stronę prawną.

- Jestem do pańskich usług.

- W takim razie, jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, mniej więcej za pół godziny w biurze naszej firmy. Zgoda?

- Zgoda. Za pół godziny.

Richard Nunnun odłożył słuchawkę, wstał i zacierając pulchne dłonie przespacerował się po gabinecie. Nawet zanucił modny szlagier, ale zaraz zapał dyszkantem i zaśmiał się nad sobą. Następnie wziął kapelusz, przerzucił przez ramię płaszcz i wszedł do sekretariatu.

- Dziecino - powiedział do sekretarki - biegnę do klientów, niech pani przejmie dowództwo garnizonu, proszę ze wszystkich sił bronić twierdzy, a ja za to przyniosę pani czekoladkę.

Sekretarka rozkwitła. Nunnun posłał jej pocałunek i potoczył się korytarzami instytutu. Kilkakrotnie próbowano go zatrzymać, ale Nunnun wykręcał się żartami, prosił, aby przetrwać do jego powrotu, dbać o nerki, stosować relaks i w końcu, myśląc pogonie, wytoczył się z gmachu, automatycznie machnąwszy złożoną przepustką przed nosem dyżurnego sierżanta. Miał miastem wisiały niskie chmury, było parno i pierwsze niezdecydowane krople czarnymi gwiazdkami ciemniały na asfalcie. Nunnun narzucił płaszcz na głowę, pobiegł truchtem wzdłuż parkingu do swego peugota, wskoczył do wozu, zerwał z głowy płaszcz i rzucił go na tylne siedzenie. Z bocznej kieszeni marynarki wyjął "owaka" w kształcie czarnej gładkiej pałeczki, włożył go do stacyjki i wielkim palcem wcisnął aż do oporu. Potem chwilę usadowił się wygodnie za kierownicą i nacisnął pedał gazu. Peugeot bezszelestnie wytoczył się na środek ulicy i popędził w stronę bramy.

Deszcz lunął nagle. Jakby w niebie przewrócono ceber z wodą. Jezdnia stała się śliska i wóz zarzucało na zakrętach, Nunnun włączył wycieraczki i zmniejszył prędkość. A więc raport już dotarł gdzie należy, myślał. Teraz będą mnie chwalić. No cóż - popieram. Lubię, kiedy mnie chwala. Szczególnie kiedy mnie chwali sam Herr Lemchen, któremu to przychodzi z najwyższym trudem. Dziwna rzecz, dlaczego człowiekowi jest przyjemnie, kiedy go chwala? Pieniądzy od tego nie przybywa. Sława? Jaka wśród nas może być sława? "Stał się sławny i teraz słyszało o nim trzech ludzi". No, powiedzmy, czterech, jeżeli liczyć Bejlisa. Człowiek jest zabawną istotą. Wygląda na to, że lubimy pochwałę, jako taką. Jak dzieci - lody. To głupie. Jakże ja mogę wyrosnąć we własnych oczach? Cóż to - nie znam samego siebie? Nie znam starego, grubego Richarda H. Nunnuna? Ale a propos - co właściwie znaczą "H"? Ładna historia! I nawet nie ma kogo zapytać... Przecież nie zapytam Herr Lemchena... Aha, przypomniałem sobie! Herbert. Richard Herbert Nunnun. Ależ leje!

Skręcił na Centralny Bulwar i nagle pomyślał - jak się to miasto rozrosło w ciągu ostatnich lat! Jakie wieżowce! O, tu stawiają

jeszcze jeden. Co też tu będzie? Aha, Lunacenter, najlepszy na świecie jazz i dom publiczny na tysiąc miejsc, wszystko dla naszego walecznego garnizonu, dla naszych turystów, szczególnie dla tych starszych i dla szlachetnych rycerzy nauki. A przedmieścia pustoszeją, i trupy wstające z mogił już nie mają dokąd wracać.

- Tych, co z martwych powstałi, nie przyjmie dom stary, dlatego też są gniewni i smutni bez miary - powiedział raptem głośno. Tak, chciałbym wiedzieć, czym to się skończy. nawiasem mówiąc, dziesięć lat temu wiedziałem dokładnie, czym się skończyć powinno. Kordon sanitarny. Pas ziemi niczyjej szerokości pięćdziesięciu kilometrów. Żołnierze, uczeni i nikogo więcej. Straszny wrzód na ciele planety będzie hermetycznie izolowany... Głupia historia, przecież niby wszyscy tak uważali, nie tylko ja. Jakie wygłaszano przemówienia, jakie uchwalono dekryty! A teraz nawet trudno sobie przypomnieć, w jaki sposób ta powszechna niezłomna determinacja rozlała się po kościach... Z jednej strony nie sposób nie przyznać, a z drugiej strony - nie sposób się nie zgodzić. A zaczęło się, o ile pamiętam, wtedy, kiedy pierwszy stalker wyniósł ze Strefy pierwsze "owaki". Baterijki... Tak, chyba właśnie od tego się zaczęło. Zwłaszcza kiedy odkryto, że one mogą się rozmnażać. Wrzód okazał się tylko częściowo wrzodem, a może w ogóle nie wrzodem, tylko skarbem... A teraz już nikt nawet nie wie, co to właściwie takiego - wrzód, sezam, pokusa piekielna, puszka Pandory, czort, diabeł... Każdy z tego korzysta, jak umie. Męczą się od dwudziestu lat, wsadzili w to miliardy, a zamiast zorganizowanego rabunku - ucho od śledzia. Każdy robi swój maleńki biznes, a uczone głowy z poważnymi minami głoszą; - z jednej strony nie sposób nie przyznać, a z drugiej nie sposób się nie zgodzić, ponieważ obiekt taki to a taki, poddany działaniu promieni Roentgena pod kątem osiemnastu stopni, wypromieniowuje quasi - ciepłe elektrony pod kątem dwudziestu dwu stopni... Do diabła z tym wszystkim! Tak czy inaczej, nie zdążę zobaczyć czym to się skończy... Samochód minął willę Ścierwnika Barbridgea.

Z powodu ulewnego deszczu we wszystkich oknach paliło się światło - było widać, jak na pierwszym piętrze w pokojach pięknej Diny przesuwały się taneczne pary. Albo zaczęli dziś rano, albo w żaden sposób nie mogą skończyć od wczorajszego wieczora. Ostatnio taka moda zapanowała w mieście - bawią się bez przerwy dniami i nocami. Twardą wychowaliśmy miódzież, niezamordowaną i upartą w swoich zamierzeniach...

Nunnun zatrzymał wóz przed niepozornym budynkiem ze skromnym szyldem - "Biuro prawne Semp-Semp and Caiman". Wyjął ze stacyjki i schował do kieszeni "owaka", zarzucił sznura na głowę płaszcz, złapał kapelusz i rzucił się biegiem do bramy - przemknął po schodach przykrytych wytartym chodnikiem obok portiera zagłębionego w gazecie, zastukał obcasami po ciemnym korytarzu pierwszego piętra przesyconego specyficznym zapachem, którego naturę daremnie próbował kiedyś wyjaśnić, otworzył drzwi w samym końcu korytarza i wszedł do sekretariatu. Na miejscu sekretarki siedział nieznajomy, smagły młodzieniec. Był bez marynarki, w białej koszuli, z wysoko podwiniętymi rękawami. Dłubał we wnętrzu skomplikowanego elektronicznego aparatu, który stał na stoliku zamiast maszyny do pisania. Richard Nunnun powiesił płaszcz na wieszaku, przyglądał oburącz resztki włosów za uszami i pytająco spojrzął na młodego człowieka. Tamten skinął głową. Wtedy Nunnun otworzył drzwi do gabinetu.

Herr Lemchen wstał z wielkiego skórzanego fotela, który stał przy zasłoniętym portierą oknie, i wyszedł na spotkanie Nunnuna. Na prostokątnej generalskiej twarzy Lemchena pojawiły się zmarszczki oznaczające ni to życzliwy uśmiech, ni to strapienie z powodu odrażającej aury, lub też, być może, z trudem opanowywaną chęć kichnięcia.

- A więc przyszedł pan - powiedział wolno. - Proszę wejść i się rozgościć.

Nunnun poszukał oczami czegoś do siedzenia, ale nie znalazł niczego oprócz twardego krzesła z twardym oparciem, ukrytego za biurkiem. Wobec tego przysiadł się na krawędzi biurka. Jego radosny nastrój z niejasnych przyczyn zaczął się ulatniać - nie miał jeszcze pojęcia dlaczego. Znienacka jasno zrozumiał, że nikt go chwalić nie będzie. Wręcz przeciwnie. Dzień gniewu, pomyślał filozoficznie i przygotował się na najgorsze.

- Może papierosa? - zaproponował Herr Lemchen na powrót zasiadając w fotelu.

- Dziękuję, nie palę.

Herr Lemchen pokiwał głową z taką miną, jakby właśnie potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia, oparł łokcie o biurko, zaplótł palce i przez jakiś czas uważnie kontemlował tę konstrukcję.

- Jak sądzę, problemów prawnych firmy "Mitsubishi Dentsu" nie będziemy chwilowo omawiać - powiedział wreszcie.

To był żart. Richard Nunnun uśmiechnął się z gotowością i powiedział:

- Jak pan sobie życzy.

Siedzieć na stole było diabelnie niewygodnie, nogi majtały się w powietrzu, krawędź blatu wpijała się w siedzenie.

- Z przykrością muszę pana zawiadomić - powiedział pan Lemchen - że pański raport wywołał na górze nadzwyczaj pozytywne wrażenie.

- Hm... - powiedział Nunnun. Zaczyna się - pomyślał.

- Zamierzano nawet przedstawić pana do odznaczenia - ciągnął Herr Lemchen. - Ja wszakże zaproponowałem, żeby z tym poczekać. I postąpiłem słusznie. - Przestał wreszcie kontemlować konstrukcję z dziesięciu palców i spode łba spojrzął na Nunnuna. - Zapewne zechce się pan dowiedzieć, dlaczego przejawiałem taką, wydawałoby się, przesadną ostrożność.

- Niezawodnie miał pan podstawy ku temu - zduszonym głosem powiedział Nunnun.

- Owszem, miałem. Co wynikało z pańskiego raportu? Grupa "Metropol" zlikwidowana. Dzięki pańskim wysiłkom. Grupa "Zielony Kwiatek" schwytana na gorącym uczynku i aresztowana w pełnym składzie. Znakomita robota. Również pańska. Grupy "Warr" i "Quasimodo", "Wędrowni Muzykanci" i wszystkie pozostałe, nie pamiętam ich nazw, uległy samolikwidacji, ponieważ zdawały sobie sprawę, że jak nie dziś to jutro zostaną nakryte. Istotnie, tak było naprawdę, wszystkie te informacje potwierdzają się z innych źródeł. Wróg jest rozgromiony, pan został sam na placu boju. Przeciwnik rejteruje w panice, ponosząc ogromne straty. Czy słusznie oceniłem sytuację?

- W każdym razie - ostrożnie powiedział Nunnun - w ciągu ostatnich trzech miesięcy przemyt materiałów ze Strefy ustał. Kanał przerzutowy przez Harmont już nie funkcjonuje... Przynajmniej tak wynika z moich obserwacji - dodał.

- A więc przeciwnik zrejterował, czy nie tak?

- Jeżeli pan nalega na takie sformułowanie... Tak.

- Nie tak! - powiedział Herr Lemchen. - Rzecz w tym, że ten przeciwnik nigdy nie rejteruje. Wiem o tym z całą pewnością. Przedwczesnym raportem o zwycięstwie zademonstrował pan swoją niedojrzałość. I właśnie dlatego zaproponowałem, aby w tej chwili jeszcze nie występować z wnioskiem o odznaczenie pana.

A idź ze ty ze swoimi odznaczeniami, myślał Nunnun kołysząc nogą i posępnie patrząc w migające noski półbutów. Szympanowski w pobliskim ZOO mogą wręczyć twoje ordery! Też się znalazł wychowawca i moralista, ja i bez ciebie wiem, z kim tu mam do

czynienia, nie ma co włożyć na ambonę. Ja sam znam dobrze nieprzyjaciela. Powiedz jasno i wyraźnie, gdzie, jak i co przegapiłem... co ci dranie wymyślili nowego... gdzie, jak i w jaki sposób znaleźli dziurę w sieci... i bez wstępnych przemówień, nie jestem smarkatym nowicjuszem, mam szósty krzyżyk na karku i nie siedzę tu dla twoich parszywych orderów...

- Co pan słyszał o Złotej Kuli? - zapytał nagle Herr Lemchen. O Boże, z irytacją pomyślał Nunnun. Czego on się teraz uczeplił Złotej Kuli? Niech cię diabli. Co za paskudny sposób prowadzenia rozmowy...

- Złota Kula jest przedmiotem legendy - zameldował głosem bez wyrazu. - Mityczna konstrukcja znajdująca się w Strefie, mająca rzekomo kształt oraz wygląd złotej kuli i przeznaczona do spełniania ludzkich życzeń.

- Dowolnych?

- Według kanonicznego tekstu legendy - dowolnych. Istnieją jednakże warianty...

- Tak - powiedział Herr Lemchen. - A co pan słyszał o "lampie śmierci"?

- Osiem lat temu - znudzonym głosem zaczął Nunnun - stalker o nazwisku Stephen Norman, zwany Okularnikiem, wyniósł ze Strefy pewien przedmiot, który okazał się o ile można sądzić, pewnego rodzaju systemem generatorów promieniowania, śmiertelnego dla ziemskich organizmów. Wymieniony Okularnik proponował ten agregat instytutowi, nie dogadali się co do ceny. Okularnik poszedł do Strefy i nie wrócił. Gdzie obecnie znajduje się agregat - nie wiadomo. Znany panu Hugh z "Metropolu" proponował za ten agregat dowolną sumę, jaka się zmieści na czeku.

- To wszystko? - zapytał Herr Lemchen.

- Wszystko - odparł Nunnun. Demonstracyjnie rozglądał się po pokoju. Pokój okazał się nieciekawym, nie było na co patrzeć.

- Tak - powiedział Lemchen. - A co pan słyszał o "racyzm oku"?

- O czym oku?

- O racyzm. Rak. Nie wie pan? - Herr Lemchen zastrzygł w powietrzu dwoma palcami. - Taki z kleszczami.

- Pierwszy raz słyszę - powiedział Nunnun i zasepił się.

- No, a co pan wie o "grzmiących serwetkach"? Nunnun zeskoczył z biurka, stanął przed Lemchenem i wsadził ręce w kieszenie.

- Nic nie wiem - powiedział. - A pan?

- Niestety, ja również nic nie wiem. Ani o "racyzm oku", ani o "grzmiących serwetkach". A tymczasem jedno i drugie istnieje.

- W mojej Strefie? - zapytał Nunnun.

- Ależ niechże pan usiądzie - powiedział Herr Lemchen machając dłonią. - Nasza rozmowa dopiero się zaczyna, niech pan usiądzie. Nunnun obszedł biurko i usiadł na twardym krześle z wysokim oparciem.

Dokąd on zmierza? - myślał gorączkowo. - Co to za nowe historie? Na pewno znaleźli coś w innych Strefach, a on próbuje mnie zaskoczyć, głupie bydlę. Nigdy mnie nie lubił, stary piernik, nie może zapomnieć tamtej fraszki...

- A więc będziemy kontynuować nasz maleńki egzamin - oznajmił Lemchen. Odchylił portierę i wyjrzał przez okno. - Leje! - zakomunikował. - Bardzo lubię. - Puścił zasłonę, rozparł się w fotelu i patrząc w sufit zapytał: - Co słychać u starego Barbridge'a?

- Barbridge? - Ścierwnik Barbridge jest pod obserwacją. Kaleka, niezależny materialnie, nie ma powiązań ze Strefą. Jest właścicielem czterech barów z dancinngiem i organizuje pikniki dla oficerów garnizonu oraz turystów. Córka Dina prowadzi dość niezrównoważony tryb życia. Syn Artur świeżo ukończył prawniczy college. Herr Lemchen z zadowoleniem pokiwał głową.

- Krótko i jasno - pochwalił. - A co porabia Kreon Maltańczyk?

- Jeden z niewielu czynnych stalkerów. Był związany z grupą Quasimodo, teraz za moim pośrednictwem sprzedaje towar Instytutowi. Trzymam go na wolności - kiedyś ktoś może i złapie przynętę. Co prawda ostatnio ostro pije i obawiam się, że długo nie pociągnie.

- Kontakty z Barbridgem?

- Zaleca się do Diny. Bez powodzenia.

- Bardzo dobrze - powiedział Herr Lemchen. - A co wiadomo o Rudym Shoeharcie?

- Miesiąc temu wyszedł z więzienia. Materialnie niezależny. Próbował wyemigrować, ale... Ale w głowie mu teraz Strefa.

- To wszystko?

- Wszystko.

- Niewiele - powiedział pan Lemchen. - A jak wyglądają sprawy Cartera Szczęściarza?

- Już wiele lat temu przestał być stalkerem. Handluje używanymi samochodami, a oprócz tego ma warsztat, w którym adaptuje silniki do "owaków". Czwororo dzieci, żona umarła rok temu. Teściowa.

Lemchen pokiwał głową

- O kim z weteranów zapominałem? - zapytał dobrodusznie.

- Zapomniał pan o Jonathanie Mywse, przezwisko Kaktus. Teraz jest w szpitalu, umiera na raka. I zapomniał pan o Szuwaksie...

- Tak, tak. co z Szuwaksem?

- Szuwaks jak to Szuwaks, ciągle ten sam - powiedział Nunnun. - Ma trzyosobową grupę. Tygodniami znikają w Strefie. Wszystko, co znajdują, niszczą na miejscu. A jego Stowarzyszenie Wojujących Aniołów rozleciało się.

- Dlaczego?

- Jak pan pamięta, stowarzyszenie skupowało towar i Szuwaks odnosił go z powrotem do Strefy. Szatanowi, co szatańskie. Teraz nie ma już czego skupować, a poza tym nowy dyrektor filii napuścił na nich policję.

- Rozumiem - powiedział Herr Lemchen. - No a młodzi?

- Cóż młodzi... Przychodzą i odchodzą. Jest może pięć, sześć chłopców z jakim takim doświadczeniem, ale ostatnio nie mają komu sprzedawać towaru, więc są w kropce. Ja ich powoli oswajam... Mam wszelkie podstawy, szefie, uznać, że w mojej Strefie stalkerstwo praktycznie się skończyło. Starzy odeszli, młodzież nic nie umie, zresztą i prestiż zawodu mocno podupadł. Konkurentem jest technika, stalker - automat.

- Tak, tak, słyszałem o tym - powiedział Hen" Lemchen. - Jednakże te automaty na razie osiągają zbyt nikłe wyniki w stosunku do ilości energii, którą pobierają. Czy może się myłę?

- To kwestia czasu. Już niedługo automaty staną się opłacalne.

- To znaczy kiedy?

- Za pięć, sześć lat...

Herr Lemchen znowu pokiwał głową.

- Jeżeli już przy tym jesteśmy, pan zapewne jeszcze nie wie, że przeciwnik również zaczął stosować automaty.

- W mojej Strefie? - czujnie powtórzył Nunnun.
- I w pańskiej również. Mają bazę w Rexopolis, przerzucają maszyny na helikopterach przez góry i Wąwóz Żmij na Jezioro Czarne, u podnóża szczytu Boldera...

- Przecież to są peryferie - z niedowierzaniem powiedział Nunnun. - Tam nic nie ma, co oni mogą tam znaleźć?
- Niewiele, bardzo niewiele. Ale znajdują. Zresztą to tylko tak dla Informacji, pana to nie dotyczy... Zreasumujemy. Stalkerów - zawodowców w Harmont już prawie nie ma. Ci, którzy zostali, od Strefy trzymają się z daleka. Młodzież jest dezorientowana i trwa proces jej osuwania. Przeciwnik został rozbity, rozproszony, ukryty w swoich barłogach liże rany. Towaru nie ma, a kiedy się pojawia, nie znajduje nabywców. Nielegalny przemyt materiałów ze Strefy skończył się trzy miesiące temu. Czy tak?

Nunnun milczał. Teraz, myślał, teraz mi przysunie. Ale gdzie jest dziura w mojej sieci? I to spora, o Ile się znam na medycynie, no prędzej, prędzej, stary parasolu! Nie męcz człowieka...

- Nie słyszę odpowiedzi - oznajmił Herr Lemchen i przyłożył dłoń do pomarszczonego włochatego ucha.
- Dobra, szefie - ponuro powiedział Nunnun. - Starczy. Już mnie pan usmażył i ugotował, niech pan podaje na stół.
Herr Lemchen wydał z siebie nieokreślone chrząknięcie.

- Nie ma pan mi nawet nic do powiedzenia - powiedział z nieoczekiwaną goryczą. □ Gapi się pan we mnie jak sroka w gnat, a jak ja się czułem, kiedy przedwczoraj... - Zmienacka przerwał, wstał i powędrował do sejfu. - Krótko mówiąc, przez ostatnie dwa miesiące, tylko według dostępnych nam informacji, przeciwnik otrzymał ponad sześć tysięcy jednostek materiału z różnych Stref. - Zatrzymał się przy sejfie, pogłaskał jego lakierowany bok i gwałtownie odwrócił się do Nunnuna. - Niech pan nie żywi iluzji! - wrzasnął. - Odciski palców Barbridgea! Odciski palców Maltańczyka! Odciski palców Nochala Ben Halevi, o którym pan nawet nie uznał za stosowne wspomnieć! Odciski palców Polipa Herescha i Liliputa Cmyga! Tak pan oswaja tutejszą młodzież? "Bransoletki", "Igiełki" "Białe wiatraczki"! Mało tego! Jakieś "racze oczy", jakieś "suche grzechotki", "grzmiące serwetki", niech je diabli wezmą! - znowu urwał, wrócił na fotel, zaplótł ręce jak poprzednio i grzecznie zapytał: - Co pan o tym sądzi, mister Nunnun?

Nunnun wyjął chusteczkę do nosa i wytarł kark i szyję.
- Nic nie sądzę - wychrypiał ucziwie. - Przepraszam, szefie, ale ja teraz w ogóle... Niech trochę oprzytomnieję... Barbridge! Barbridge nie ma nic wspólnego ze Strefą! Znam jego każdy krok! Urządza popijawy i pikniki nad Jeziorem, zgarnia niezłą forszę i po prostu nie potrzebuje... Przepraszam, oczywiście gadam głupstwa, ale zapewniam pana, że nie spuściłem oka z Barbridgea od momentu wyjścia ze szpitala...

- Dłużej nie zatrzymuję pana - powiedział Herr Lemchen. - Daję tydzień czasu. Ma pan przedstawić swoje wnioski na temat kanałów, jakimi materiały ze Strefy trafiają do rąk Barbridgea... i wszystkich innych. Do widzenia!

Nunnun wstał, niezgrabnie skłonił głowę przed profilem Herr Lemchena i nadal wycierając chusteczką obficie spoconą szyję, wyszedł do sekretariatu. Smagły młodzieniec palił, z zadumą wpatrując się w rozbebeszoną elektronikę. Przelotnie spojrzął w stronę Nunnuna - oczy miał puste, zwrócone w głąb siebie. Richard Nunnun byle jak nasadził na głowę kapelusz, złapał pod pachę płaszcz i wyniósł się do wszystkich diabłów. Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło - myślał chaotycznie. Coś podobnego! Nochal Ben Halevi! Już nawet przezwiska się dorobił... Kiedy? Taki smarkacz, wygląda jakby do trzech nie potrafił zliczyć... nie, to nie to, ciągle nie to... Ach, ty bydle bezmózgie, ty Ścierwniku! Tu mnie dopadłeś! Zrobiłeś mnie w konia jak ostatniego kretyna... Jak to się stało? Przecież to po prostu nie mogło się stać! No, identycznie jak wtedy w Singapurze - mordą o ziemię, głową o ścianę...

Wsiadł do samochodu i przez jakiś czas nie bardzo wiedząc, na jakim świecie jest, szukał na desce rozdzielczej kluczyka do stacyjki. Z kapelusza kapało na kolana więc go zdjął i nie patrząc rzucił za siebie. Rzęsisty deszcz zalewał przednią szybę i Richardowi Nunnunowi z niewiadomego powodu wydało się, że z tej właśnie przyczyny nie ma zielonego pojęcia, co dalej począć. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, z całej siły rąbnął pięścią w swoje tyse czoło. Ulżyło. Od razu sobie przypomniał, że kluczyka nie ma i być nie może, a za to w kieszeni leży "owak". Wieczny akumulator. I że choćbyś miał pęknąć, trzeba go wyjąć z kieszeni i wetknąć w gniazdko, i wtedy będzie można przynajmniej gdzieś pojechać - aby dalej od tego domu, od tego okna, przez które niezawodnie obserwuje go stara purchawa...

Ręka Nunnuna z "owakiem" zamarła w połowie drogi. Tak, wiem przynajmniej, od kogo trzeba zacząć. No i właśnie od niego zacząć. Och, jak ja od niego zacząć! Nikt nigdy od nikogo tak nie zaczynał, jak ja od niego zacząć, i to natychmiast. I z taką przyjemnością. Puścił w ruch wycieraczki i pojechał bulwarem, jeszcze prawie nic przed sobą nie widział, ale już powoli się uspokajał. To nic. Choćby nawet i tak jak w Singapurze. Koniec końców w Singapurze wszystko się przecież dobrze skończyło... Też wielka parada, raz mordą o ziemię! Mogło być gorzej! Nie mordą i nie o ziemię, ale o coś takiego z gwoździemi... Dobra, nie będziemy się rozpraszać. Gdzie ten mój zakład? Ni cholery nie widać... Aha jest.

Pora była nie urzędowa, ale zakład "Minut Pięć" płonął światłami niczym "Metropol". Otrząsając się jak pies na brzegu, Richard Nunnun wkroczył do rześcicie oświetlonego hallu śmierdzącego tytoniem, drogerią i skistym szampanem. Stary Bennie, jeszcze bez liberii, siedział przy barku na ukos od wejścia i coś żarł trzymając w garści widelec. Przed nim, złożony wśród pustych kieliszków swój potworny biust siedziała Madame i frasobliwie patrzyła, jak Bennie się odżywia. W hallu nawet jeszcze nie posprzątano po wczorajszym. Kiedy Nunnun wszedł, Madame niezwłocznie zwróciła w jego stronę szeroką otynkowaną twarz, początkowo niezadowoloną, a w sekundę później rozpromienioną zawodowym uśmiechem.

- Ha! - powiedziała basem. - Byłby to sam pan Nunnun? Ma pan ochotę na dziewczynkę? Bennie obojętnie żarł dalej, był głuchy jak pień.

- Witaj, staruszko! - powiedział Nunnun zbliżając się. - Po co mi dziewczynki, jeżeli widzę prawdziwą kobietę.

Bennie wreszcie zauważył Nunnuna. Straszna maska w purpurowo - granatowych bliznach wykrzywiła się z wysiłkiem w powitalnym uśmiechu.

- Dzień dobry, szefie! - wychrypiał. - Przyszedł pan się obsuszyć?
Nunnun uśmiechnął się w odpowiedzi i skinął mu dłonią. Nie lubił rozmawiać z Bennie - bez przerwy trzeba było krzyczeć.
- Gdzie mój zarządca, nie wiecie? - zapytał.
- U siebie - odparta Madame. - Jutro trzeba zapłacić podatki.
- Och, te podatki! - Powiedział Nunnun. - No dobra. Madame, proszę mi przygotować to, co lubię, niedługo wrócę.

Bezszelestnie stąpając po grubym syntetycznym dywanie przeszedł korytarzem, minął zasłonięte portierami gabinety - na ścianie obok każdego gabinetu wisiała podobizna jakiegoś kwiatka - skręcił w niewidoczny korytarzyk i bez pukania otworzył obite skórą drzwi.

Gnat Ratusza siedział przy biurku i studiował w lusterku złowieszczy pryszcz na nosie. Miał głęboko w dupie jutrzejsze podatki.

Przed nim, na idealnie pustym stole, stał słoiczek z maścią rtęciową i szklanka z przezroczystym płynem. Gnat Ratusza podniósł na Nunnun przekrwione oczy i zerwał się na nogi wypuszczając lusterko, Nunnun bez słowa usiadł w fotelu naprzeciw, przez jakiś czas w milczeniu obserwował łajdaka i słuchał niewyraźnego mamrotania na temat przeklętego deszczu i reumatyzmu. Potem powiedział:

- Zamknij no drzwi na klucz, pieseczku. Gnat łomocząc plaskostopymi nożyskami podbiegi do drzwi, szcękając kluczem i wrócił do biurka. Włochatą bryłą wznosił się nad Nunnunem, z oddaniem patrząc mu w usta. Nunnun ciągle jeszcze obserwował go przez zmrużone powieki, nie wiadomo dlaczego właśnie teraz przypomniał sobie, że Gnat Katusza naprawdę nazywa się Rafael. Gnatem przezwano go za potwornie kościste pięści, nagie, sinoczerwone, wyzieraające z jego gęsto owłosionych rąk jak z mankietów. Katusza zaś nazwał siebie sam, święcie przekonany, że jest to tradycyjne imię wielkich carów mongolskich. Rafael. No cóż, zacniemy, Rafaelu.

- Co słychać? - zapytał serdecznie.

- Wszystko w najlepszym porządku, szefie - spiesznie odpowiedział Rafael - Gnat.

- W sprawie tamtego skandalu byłeś w komendanturze?

- Dałem komu trzeba sto pięćdziesiąt. Wszyscy są zadowoleni.

- Potrącisz sobie te sto pięćdziesiąt - powiedział Nunnun. - To twoja wina, pieseczku. Trzeba było pilnować. Gnat przybrał nieszczęśliwy wyraz twarzy i z pokorą rozłożył wielkie łapy.

- W hallu trzeba położyć nowy parkiet - powiedział Nunnun.

- Zrobi się.

Nunnun pomilczał chwilę ściągając wargi.

- Towar? - zapytał zniżając głos.

- Trochę jest - również zniżając głos powiedział Gnat.

- Pokaż.

Gnat skoczył do sejfu wyjął paczuszkę położył na biurku przed Nunnunem i rozpakował. Nunnun jednym palcem pogrzebał w kupce "czarnych bryzg", wziął do ręki "bransoletkę", obejrzał ją ze wszystkich stron i odłożył z powrotem.

- To wszystko? - zapytał.

- Nie przynoszą - przeproszając powiedział Gnat.

- Nie przynoszą... - powtórzył Nunnun. Starannie przymierzył się i z całej siły noskiem buta kopnął Gnata w goleń. Gnat jęknął, nawet pochylił się, żeby się złapać za bolące miejsce, ale zrezygnował i natychmiast stanął na baczność. Wtedy Nunnun zerwał się z fotela odepchnął go, złapał Gnata za kołnierz koszuli i ruszył do niego, kopiąc, przewracając oczami i szepcząc straszliwe przekleństwa. Gnat, stękając i jęcząc, zadzierał głowę jak spłoszony koń, cofał się tyłem do chwili, kiedy runął na kanapę.

- Na dwie strony pracujesz, ścierwo? - syczał Nunnun prosto w białe z przerażenia ślepie. - Ścierwnik kąpie się w towarze, a ty mi przynosisz koraliki w papierku? - zamachnął się i trzasnął Gnata w twarz, starając się trafić w pryszcz na nosie. - Ja cię w kryminale zgnoj! Zgnijesz za życia, śmierdzielu... Na chleb i wodę... Pożałujesz, że cię matka na świat wydała! - znowu trzasnął pięścią w pryszcz na nosie. - Skąd Barbridge ma towar? Dlaczego jemu przynoszą, nie tobie? Kto przynosi? Dlaczego ja o niczym nie wiem? Dla kogo pracujesz, sukinsynu? Gadaj!

Gnat bezdźwięcznie otwierał i zamykał usta. Nunnun zostawił go, wrócił na fotel i położył nogi na biurku.

- Jak Boga kocham, szefie... Co znowu! Jaki towar? Ścierwnik nie ma żadnego towaru. Teraz nikt nie ma towaru...

- Ty co? Masz zamiar spierać się ze mną? - serdecznie zapytał Nunnun zdejmując nogi z biurka.

- Ależ skąd szefie... Jak Boga... - spiesznie zaprzeczył Gnat. - Żeby tak zdrów był! Ja, spierać się! nawet mi przez myśl nie przeszło...

- Wygonię jak psa - ponuro oznajmił Nunnun. - Nie umiesz pracować. Na cholere mi taki kretyn? Tacy jak ty na pęczki poniewierają się po śmietnikach. A mnie jest potrzebny facet z głową.

- Momencik, szefie - rozsądnie powiedział Gnat, rozmazując krew po twarzy. - Po co od razu naskakiwać?... Może jednak spróbujemy pogadać... - ostrożnie pomacał pryszcz końcem palca. - Że podobno Barbridge ma dużo towaru? nie wiem. Proszę się nie gniewać, ale ktoś pana ocyganił, nikt teraz towaru nie ma. Do Strefy sami smarkacze chodzą, no ale oni przecież nie wracają, nie, szefie, ktoś pana nabiera... Nunnun obserwował go spod oka. Wyglądało na to, że Gnat rzeczywiście nic nie wie. Zresztą łąć mu było niewygodnie - przy Ścierwniku trudno się było pożywić. - Te pikniki to dobry interes? - zapytał.

- Pikniki? Nie za bardzo, nie powiem, żeby to były takie kokosy... Ale teraz w mieście w ogóle skończyły się dobre interesy...

- Gdzie się odbywają te pikniki?

- Gdzie się odbywają? Tak w różnych miejscach. Pod Białą Górą, czasami przy Gorących Źródłach, na Tęczowych Jeziorach...

- A jaka klientela?

- Klientela? - Gnat pociągnął nosem, zamrugał i powiedział konfidencjonalnie: - Jeśli pan, szefie, chce się za to zabrać, to ja bym panu nie radził. Ze Ścierwnikiem pan tu nie wygra.

- A to dlaczego?

- Ścierwnik ma stałą klientelę. Błękitne hełmy to raz - Gnat zagiął jeden palec. - Oficerowie z komendantury to dwa, turyści z "Metropolu", "Białej Lilii", z "Przybysza" - to trzy. Poza tym Ścierwnik ma już zorganizowaną reklamę, miejscowi chłopcy też do niego chodzą... Jak Boga kocham, szefie, nie warto z tym zaczynać. Za dziewczynki nam płaci - nie powiem, żeby dużo...

- Miejscowi też do niego chodzą?

- Głównie młodzież.

- No i co tam się robi tych piknikach?

- Co się robi? Jedziemy tam autokarami, tak? Da miejscu już stoją namioty, bufet, muzyka... No to każdy zabawia się jak ma ochotę. Oficerowie przeważnie z dziewczynkami, turyści lecą patrzeć na Strefę... Jeśli przy Gorących Źródłach, to do Strefy tam jak ręką sięgnąć, zaraz za Siarkową Rozpadliną... Ścierwnik im nawoził końskich kości, no i patrzą sobie przez lornetki...

- A miejscowi?

- Miejscowi? Miejscowych to oczywiście nie interesuje... Tak, zabawiają się, jak kto potrafi...

- A Barbridge?

- A co Barbridge? Jak wszyscy, tak i Barbridge...

- A ty?

- Co ja? Jak wszyscy, tak i ja. Pilnuję, żeby dziewcząt nie krzywdzili i... tego... no, tam... No, w ogóle jak wszyscy...

- I jak długo to trwa?

- Zależy jak kiedy. Czasami trzy dni, a czasami i tydzień.

- A ile ta przyjemność kosztuje? - zapytał Nunnun, myśląc zupełnie o czymś innym. Gnat coś odpowiedział, ale Nunnun go nie słyszał. Oto gdzie jest dziura, myślał. Kilka dni... kilka nocy. W tych warunkach po prostu nie sposób upilnować Barbridnge'a, nawet wtedy, kiedy specjalne w tym celu przyjechałeś. I jednak pomimo to sprawa jest nadal niejasna. On przecież nie ma nóg, a tamta rozpadlina... Nie, coś tu nie gra...

- Kto z miejscowych jeździ tam stałe?

- Z miejscowych? Przecież mówię: przeważnie młodzież. No, Galevi, Razba... Szczurek Zappa... ten Cmyg... No, jeszcze Maltańczyk tam bywa. Dobrane towarzystwo. Oni to nazywają "szkółką niedzielną". Co, mówią, wpadniemy do "szkółki niedzielnej"? Oni głównie zarabiają na starszych turystach. Przyjeżdża z Europy jakaś starucha...

- "Szkółka niedzielna" - powtórzył Nunnun. Zaświtała mu nagle jakaś dziwna myśl. Szkoła. Wstał.

- Dobra - powiedział. - Bóg z nimi, z piknikami. To nie dla nas. Ale żebyś wiedział: Ścierwnik ma towar, a to już nasza sprawa, pieseczku. Tego nie możemy ot, tak sobie zostawić. Szukaj, Gnat, szukaj, bo inaczej wygonię cię do wszystkich diabłów. Skąd ścierwnik bierze towar, kto mu go dostarcza, masz się dowiedzieć i dawać o dwadzieścia procent więcej. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, szefie - Gnat już stał na baczność, na wysmarowanej mordzie malował się wyraz psiego oddania.

- I żebyś mi się nie guzdrał! Ruszaj głową, bydłaku! - nagle wrzasnął Nunnun i wyszedł.

W hallu, przy barze, bez pośpiechu wypił aperitif, porozmawiał z Madame na temat upadku obyczajów, dał do zrozumienia, że w najbliższym czasie zamierza rozbudować zakład i dla większej wagi, znijżywszy głos, poradził się jej, co zrobić z Bennim - zestarzał się chłop, ogłuchł, refleks już nie ten, nie nadaża jak kiedyś... Była już szósta, chciało mu się jeść, a mózg uporczywie drażyła, gryzła niespodziewana myśl, niesamowita, dzika i zarazem niezmiernie obiecująca.

Zresztą już i tak to i owo stało się jasne, znikł z całej sprawy irytujący i niesamowity posmak metafizyki, zestała tylko pretensja do samego siebie o to, że wcześniej nie pomyślał o takiej możliwości, ale nie to było najistotniejsze, najistotniejsze zawierało się w tamtej myśli, która ciągle drażyła, drażyła i nie dawała spokoju.

Pożegnawszy się z Madame i uściskawszy rękę Benniego, Nunnun pojechał prosto do "Barge". Całe nieszczęście w tym, myślał, że nie dostrzegamy, jak mijają lata. Co tam zresztą lata - nie dostrzegamy, jak wszystko się zmienia. Wiemy, że wszystko się zmienia, ucza nas od dzieciństwa, że wszystko się zmienia, po wielokroć widzieliśmy na własne oczy, jak wszystko się zmienia, i jednocześnie jesteśmy absolutnie niezdolni do zauważenia tego momentu, kiedy zachodzi zmiana, albo też szukamy zmiany nie tam, gdzie należy. Oto mamy już nowych stalkerów - uzbrojonych w cybernetykę. Dawny stalker był brudnym, ponurym facetem, który ze zwierzęcym uporem milimetr za milimetrem pełzał na brzuchu po Strefie zarabiając swoją dolę. Nowy stalker to playboy w krawacie, inżynier, siedzi sobie gdzieś o kilometr od Strefy, papieros w zębach, pod ręką szklanka z orzeźwiającym płynem - siedzi i patrzy na ekrany. Dżentelmen na posadzie. Nader logiczny obrazek, do tego stopnia logiczny, że inne możliwości po prostu na myśl nie przychodzą. A przecież są i inne możliwości - na przykład szkoła niedzielna.

I nagle, jakby ni z tego, ni z owego, opadła go rozpacz. Wszystko było bez sensu. Wszystko było daremne. Boże mój, pomyślał, przecież nic z tego nie wyjdzie! Ale ma siły, która utrzyma w dzieży to ciasto, pomyślał z przerażeniem. Nie dlatego, że źle pracujemy. I nie dlatego, że oni pracują lepiej. Po prostu właśnie taki jest nasz świat. I człowiek na tym świecie jest właśnie taki. Gdyby nie było Łądowania - byłoby coś innego. Świnia zawsze znajdzie błoto...

W "Barge" było mnóstwo światła i bardzo smacznie pachniało. "Barge" również się zmienił - ani nie potańczysz, ani się nie ubawisz jak niegdyś. Szuwaks już nie przychodzi, brzydzi się, a Red Shoehart wsunął tu pewnie swój piegowaty nos, skrzywił się i wyszedł. Ernest ciągle jeszcze siedzi, interes prowadzi jego stara, dorwała się nareszcie - stali, solidni klienci, cały Instytut przychodzi na obiady i wyżsi oficerowie również - przytulne gabinety, smaczna kuchnia, niedrogo i zawsze świeże piwo. Dobra, stara gospoda.

W jednym z gabinetów Nunnun zauważył Walentina Pillmana. Laureat siedział nad filiżanką kawy i czytał złożony na połowę miesięcznik, Nunnun podszedł do stolika.

- Czy można się przysiąść? - zapytał. Walentin podniósł na niego czarne okulary.

- A - powiedział. - Proszę bardzo.

- Za chwilę, tylko ręce umyję - powiedział Nunnun przypomniawszy sobie nagle pryszcz.

Znali go tu dobrze. Kiedy wrócił i usiadł naprzeciw Walentina. Na stole już stał mały ruszt z dymiącym churasco i piwo w wysokim kuflu - nie za zimne, nie za ciepłe, takie, jakie lubił. Walentin odłożył miesięcznik i wypił łyżeczek kawy.

- Słuchaj - powiedział Nunnun odkrawając kawałek mięsa. - Jak sądzisz, czym się to wszystko skończy?

- Co masz na myśli?

- Łądowanie, Strefy, stalkerzy, ośrodki wojskowo - przemysłowe, ta cała kasza... Czym to wszystko może się skończyć?

Walentin długo patrzył na Nunnuna ślepyimi, czarnymi szklami, następnie zapalił papierosa i powiedział:

- Dla kogo? Skonkretyzuj.

- No, powiedzmy, dla całej ludzkości.

- To zależy od tego, czy będziemy mieli szczęście, czy nie - powiedział Walentin. - Teraz już wiemy, że dla ludzkości, pojmowanej jako całość. Łądowanie przeszło w gruncie rzeczy bez śladu. Dla ludzkości zresztą wszystko mija bez śladu. Oczywiście, niewykłuczone, że wyciągając na ślepo kasztany z tego ognia, koniec końców wyciągniemy coś takiego, co sprawi, że życie na naszej planecie stanie się w ogóle niemożliwe. To naturalnie będzie pech. Jednakże chyba zgodzisz się ze mną, że coś podobnego zagrażało ludzkości zawsze. - Ruchem dłoni rozproszył dym z papierosa. - Widzisz, ja już dawno odwykłem od rozważań na temat ludzkości jako takiej. Ludzkość, pojmowana jako całość, jest zbyt stacjonarnym układem - nie ma sposobu, żeby ją ruszyć z miejsca.

- Tak uważasz? - z rozczarowaniem zapytał Nunnun. - No cóż, może i masz rację...

- Powiedz mi szczerze, Richard - wyraźnie zabawiając się zaczął Walentin. - Na przykład dla ciebie, człowieka interesu, co się zmieniło w związku z Łądowaniem? Dowiedziałeś się, że we Wszechświecie istnieje co najmniej jeszcze jeden rozum oprócz ludzkiego. No i co?

- Jak by ci tu powiedzieć? - wykrztusił Nunnun. Już żałował, że zaczął tę rozmowę. Nie było o czym mówić. - Co się zmieniło dla mnie? Na przykład już od wielu lat czuję się trochę nieswojo, może nawet niepewnie. Dobrze, tamci wpadli na chwilę i od razu się wynieśli. A jeżeli przylecą znowu i przyjdzie im do głowy pozostać? Dla mnie, człowieka interesu, to nie jest, widzisz, retoryczne pytanie - kim oni są, jak żyją i czego chcą? W najbardziej prymitywnym wariacie, muszę myśleć, jak w razie czego mam przestawić produkcję. Muszę być przygotowany. A jeżeli w ogóle okażą się zbyteczny w ich systemie? - Ożywił się. - A jeżeli my wszyscy

okażemy się zbyteczni? Słuchaj, Walentin, jeżeli już rozmawiamy na ten temat, czy istnieją jakieś odpowiedzi na te pytania? Kim oni są, czego chcieli i czy wrócą, czy nie?

- Odpowiedzi istnieją - odparł Walentin uśmiechając się. - Jest ich nawet bardzo wiele, możesz sobie wybrać dowolną, wedle gustu.
- A jak ty sam uważasz?
- Mówiąc szczerze nigdy nie pozwalałem sobie rozmyślać poważnie na ten temat. Dla mnie Lądowanie to przede wszystkim unikalne wydarzenie, coś, co umożliwia przeskoczenie kilku stopni naraz w procesie poznania. Powiedzmy, coś w rodzaju podróży w przyszłość techniki. No, mniej więcej tak, jakby w laboratorium Izaaka Newtona znalazł się nagle współczesny generator kwantowy...
- Newton by nic nie zrozumiał.
- Jesteś w błędzie! Newton był wyjątkowo bystrym człowiekiem.
- Tak? no dobrze. Bóg z nim, to znaczy z Newtonem. Ale jak ty sam, pomimo wszystko, interpretujesz Lądowanie? niechże to będzie nawet niepoważna interpretacja...
- Dobrze, odpowiem ci. Ale muszę cię uprzedzić, Richard, że twoje pytanie leży w kompetencji pewnej pseudonauki, zwanej ksenologią. Ksenologia to sprzeczna z naturą krzyżówka naukowej fantastyki z logiką formalną. U podstaw jej metodyki leży fałszywa przesłanka - przypisywanie pozaziemskiemu intelektowi ludzkiej psychiki.
- Dlaczego fałszywa? - zapytał Nunnun.
- A dlatego, że biolodzy już się raz sparzyli, kiedy próbowali przypisać psychikę człowieka zwierzętom. Ziemiakom zwierzętom, zauważ.
- Przepraszam - powiedział Nunnun. - To zupełnie inna sprawa. Przecież mówimy o psychologii rozumnych istot.
- Tak. Wszystko byłoby znakomicie, gdybyśmy wiedzieli, co to takiego rozum.
- A czy nie wiemy? - zdziwił się Nunnun.
- Wyobraź sobie, że nie. Zwykle punktem wyjścia jest niezmiernie prymitywne założenie: rozum jest to ta właściwość człowieka, która różni jego działanie od działania zwierząt. Taka, rozumiesz mnie próba odgraniczenia właściciela od jego psa, który jakoby wszystko rozumie, tylko nie potrafi powiedzieć. Zresztą z tej prymitywnej definicji wynikają logicznie inne, ciekawsze. Bazują one na gorzkich, wnioskach z obserwacji wspomnianej już działalności człowieka. Na przykład: rozumem nazywamy zdolność żywej istoty do popełniania uczynków niecelowych i pozbawionych wszelkiego sensu.
- Tak, to o nas - zgodził się Nunnun.
- Niestety. Albo, powiedzmy, definicja - hipoteza. Rozum jest to skomplikowany instykt, który się jeszcze ostatecznie nie ukształtował. Przyjmujemy, że instyktowna działalność jest zawsze racjonalna i celowa. Upłynie milion lat, instykt ukształtuje się ostatecznie i wtedy przestaniemy popełniać błędy, która to umiejętność stanowi zapewne immanentną częśćkę rozumu. I wówczas, jeżeli coś się zmieni we wszechświecie, spokojnie sobie wymrzemy - właśnie dlatego, że oduczyliśmy się popełniać błędy, to znaczy wypróbować różne, nie przewidziane rygorystycznym programem warianty.
- W twojej interpretacji to wszystko wygląda jakoś obraźliwie.
- Proszę bardzo, służę ci następną definicją, niezmiernie wzniosłą i szlachetną. Rozum jest to umiejętność wykorzystywania potencjału otaczającego nas świata, bez uciekania się zniszczenia tego świata.
- Nunnun skrzywił się i pokręcił głową.
- Nie - powiedział. - To nie o nas... no a co powiesz o twierdzeniu, że człowiek w odróżnieniu od zwierząt odczuwa nieprzepartą potrzebę wiedzy? Gdzieś o tym czytałem.
- Ja również - powiedział Walentin. - Ale całe nieszczęście polega na tym, że człowiek, a w każdym razie ludzkość w swojej masie, bez trudu przezwycięża tę swoją potrzebę wiedzy. Moim zdaniem taka potrzeba w ogóle nie istnieje. Istnieje potrzeba zrozumienia świata, a do tego wiedza nie jest potrzebna. Dla przykładu □ hipoteza o Bogu daje z niczym nieporównywalną możliwość zrozumienia absolutnie wszystkiego, absolutnie niczego się nie dowiadując... Daj człowiekowi maksymalnie uproszczony model świata i interpretuj każde wydarzenie w oparciu o ten uproszczony system. Takie podejście do problemu nie wymaga żadnej wiedzy. Kilka wyuczonych formułek plus tak zwana intuicja, i tak zwany zmysł praktyczny, i tak zwany zdrowy rozsądek.
- Poczekaj - powiedział Nunnun. Dopił piwo i z hałasem postawił pusty kufel na stole. - Nie odbiegajmy od tematu. Na przykład: człowiek spotyka istotę z innej planety. Jak poznają, że obaj są rozumni?
- Nie mam pojęcia - oświadczył ubawiony Walentin. - Wszystko, co czytałem na ten temat, sprowadza się do błędnego koła. Jeżeli oboje są zdolni do nawiązania kontaktu, to znaczy, że są rozumni. I na odwrót - jeżeli są rozumni, to są zdolni do nawiązania kontaktu. Uogólniając - jeżeli istota z innej planety ma honor posiadać ludzką psychikę, to znaczy, że jest rozumna. Tak to wygląda.
- Masz ci los - powiedział Nunnun. - A ja myślałem, że już wszystko jest posegregowane i leży na odpowiednich półkach...
- Posegregować nawet małpa potrafi - zauważył Walentin.
- Nie, poczekaj - powiedział Nunnun. Nie wiadomo dlaczego czuł się oszukany. - Ale jeżeli nie wiecie takich prostych rzeczy...
Dobra, Bóg z nim, z rozumem: widocznie sam diabeł w tym się nie rozezna. No a Lądowanie? Przynajmniej powiedz, co myślisz o samym Lądowaniu?
- Proszę bardzo - powiedział Walentin. - Wyobraź sobie piknik... br> Nunnun drgnął.
- Jak powiedziałeś?
- Piknik. Wyobraź sobie: las, przesieka, polana. Z przesieki na polanę wjeżdża samochód, z samochodu wysiada młodzież, butelki, koszyki z prowiantem, dziewczyny, tranzystory, kamery filmowe... Rozpalają ognisko, stawiają namioty, gra muzyka. A rankiem odjeżdżają. Zwierzęta, ptaki i owady, które przez całą noc ze zgrozą obserwowały to, co się działo, wylażą ze swoich kryjówek. I cóż widzą? Na trawie kałuża oleju, rozlana benzyna, leżą nieprzydatne już świece i olejowe filtry. Poniewierają się stare szmaty, przepalone żarówki, ktoś zgubił klucz francuski. Z opon spadło błoto przywiezione z niewiadomych bagien... no, sam rozumiesz, ślady ogniska, ogryzki jabłek, papierki od cukierków, puszki po konserwach, puste butelki, czyjaś chusteczka do nosa, czyjszyczoryk, podarte przedwczorajsze gazety, bilon, zwiedłe kwiaty z innych lasów...
- Zrozumiałem - powiedział Nunnun. - Piknik na skraju drogi.
- Właśnie. Piknik na skraju jakiejś kosmicznej drogi. A ty mnie pytasz, czy oni wrócą, czy nie?
- Daj no mi papierosa - powiedział Nunnun. - Niech diabli porwą waszą samozwańczą naukę! Ja sobie to zupełnie inaczej wyobrażałem.
- To twoje prawo - zauważył Walentin.
- To znaczy, że co? Że oni nas nawet nie zauważyli?

- Dlaczego?

- No, w każdym razie nie zwrócili na nas uwagi...

- Wiesz, na twoim miejscu ja bym się za bardzo nie martwił - poradził Walentin.

Nunnun zaciągnął się, zakasłał i zdusił papierosa.

- Wszystko jedno - powiedziała z uporem. - To niemożliwe, niech was diabli wezmą! Skąd, wy uczeni, tak gardzicie ludźmi?

Dlaczego bez przerwy staracie się ich poniżyć?

- Chwileczkę - powiedział Walentin. - Posłuchaj... Zapytacie mnie: w czym jest wielkość człowieka? W tym, że wyzwolił nieomal kosmiczne moce przyrody? Że w czasie tak krótkim zawładnął planetą i wyrąbał sobie okno na Wszechświat? Nie w tym, że mimo to przetrwał i zamierza przetrwać również w przyszłości.

Zapanowało milczenie. Nunnun rozmyślał.

- Być może... - powiedział niepewnie. - Oczywiście, z takiego punktu widzenia...

- Nie przejmuj się - niefrasobliwie powiedział Walentin. - Piknik - to przecież tylko moja hipoteza. I nawet nie hipoteza, szczerze mówiąc, tylko tak, obrazek... Tak zwani poważni ksenologowie próbują uzasadnić znacznie solidniejsze i pochlebniejsze dla ludzkości wersje. Na przykład: że żadnego Lądowania nie było, że Lądowanie dopiero nastąpi. Pewien niezmiernie wysoko rozwinięty Intellect zrzucił na Ziemię kontenery z próbkami swoich osiągnięć w dziedzinie kultury materialnej. Intellect ów oczekuje, że po zapoznaniu się z tymi próbkami dokonamy skoku w dziedzinie techniki i wówczas będziemy w stanie posłać w odpowiedzi sygnały oznaczające, że jesteśmy gotowi do nawiązania kontaktu. Może taka interpretacja bardziej ci odpowiada?

- To już znacznie lepiej - powiedział Nunnun. - Widzę, że i między uczonymi trafiają się przyzwoici ludzie.

- Albo jeszcze inaczej. Lądowanie istotnie miało miejsce, ale tamci wcale się nie wynieśli. Faktycznie nadal jesteśmy z nimi w kontakcie, tylko o tym nie wiemy. Przybysze zagnieździł się w Strefach i starannie nas studiuja, przygotowując jednocześnie ludzi do okrutnych cudów czasu, który nadchodzi.

- To rozumiem! - powiedział Nunnun. - Wtedy przynajmniej można pojąć, co oznacza ta tajemnicza krzątanina w ruinach fabryki. Nawiasem mówiąc, twój piknik tej krzątaniny nie wyjaśnia.

- Dlaczego nie wyjaśnia? - nie zgodził się Walentin. - Czy któraś z dziewcząt nie mogła zapomnieć na polanie ulubionego mechanicznego niedźwiadka?

- No nie, tego to za wiele - kategorycznie oświadczył Nunnun. - Ładny niedźwiadek! Aż ziemia się trzęsie... Zresztą, oczywiście, może być i niedźwiadek. Piwa? Rozalia! Dwa piwa dla panów ksenologów!... A jednak przyjemnie z tobą pogawędzić - powiedział do Walentina. - Takie, wiesz, przeczyszczenie mózgu, jakby mi gorzkiej soli nasypiano do czaszki. Bo to pracuje człowiek, pracuje, a po co, o czym nie wie, czego się nie spodziewa, co serce zaspokoi...

Przynieśli piwo. Nunnun upił tyk, obserwując znad piany Walentina, który z powątpiewaniem i wstrętem wpatrywał się w swój kufel.

- Nie masz ochoty? - zapytał Nunnun oblizując wargi.

- Bo ja, prawdę mówiąc, nie piję - niezdecydowanie powiedział Walentin.

- Naprawdę? - zdumiał się Nunnun.

- Do diabła! - powiedział Walentin. - Musi przecież na tym świecie być choć jeden niepijący... - zdecydowanym ruchem odsunął kufel - Zamów dla mnie koniak, jeżeli już - powiedział.

- Rozalia! - wrzasnął niezwłocznie już zupełnie rozweselony Nunnun. Kiedy przyniesiono koniak, powiedział:

- Bez względu na wszystko, bardzo mi się to nie podoba. Już nie mówię o tym twoim pikniku - to w ogóle zwyczajne świętowanie! Ale jeżeli nawet przyjąć wersję, że to, powiedzmy, tylko preludium do kontaktu, bardzo to nieładnie z ich strony. Jeszcze rozumiem "bransolety", "pustaki"... Ale po co "czarci pudding"? "Łysica" po co? I ten ohydny puch...

- Przepraszam - powiedział Walentin wybierając plasterki cytryny. - Twoja terminologia nie jest dla mnie dostatecznie jasna. Jaka, przepraszam, łysica?

Nunnun roześmiał się.

- To folklor - wyjaśnił. - Roboczy żargon stalkerów. "Łysice" to obszary wzmożonej grawitacji.

- Aha, grawikondensaty... Ukierunkowana grawitacja. O tym porozmawiałbym z przyjemnością, ale ty i tak nic z tego nie rozumiesz.

- A to dlaczego? Bądź co bądź jestem inżynierem...

- A to dlatego, że ja sam nie rozumiem - odpowiedział Walentin. - Mam już układy równań, ale jak je zinterpretować - nie mam zielonego wyobrażenia... A "czarci pudding" to zapewne koloidowy gaz?

- Zgadza się. Słyszałeś o katastrofie w laboratoriach Carryguna?

- Coś niecoś - niechętnie odparł Walentin.

- Ci idioci umieścili porcelanowy kontener z "puddingiem" w specjalnej komorze, szczelnie izolowanej... To znaczy oni myśleli, że komora jest szczelnie izolowana... a kiedy manipulatorami otworzyli kontener, "pudding" przesączył się przez metal i plastik jak woda przez bibułę, wykpiął na zewnątrz i wszystko, z czym wszedł w kontakt, zamienił również w pudding. Zginęło trzydziestu pięciu ludzi, ponad stu jest okaleczonych, a całe laboratorium nie nadaje się do niczego. Byłeś tam kiedyś? Wspaniałe gmach! A teraz pudding spłynął do piwnic i na niższe piętra... Prześliczne preludium do kontaktu...

Walentin okropnie się skrzywił.

- Tak, to wszystko wiem - powiedział. - Jednakże zgodzisz się chyba ze mną, Richard, że przybysze nie mają z tym nic wspólnego. Skąd oni mogli wiedzieć, że u nas istnieje przemysł zbrojeniowy?

- A należałoby wiedzieć! - pouczająco stwierdził Nunnun.

- Oni zaś odpowiedzieliby na to: już dawno należało zlikwidować przemysł zbrojeniowy.

- Też racja - przyznał Nunnun. - No więc niechby się tym zajęli, jeżeli są tacy wszechpotężni.

- To znaczy, że proponujesz im ingerencję w wewnętrzne sprawy ludzkości?

- Hm - powiedział Nunnun. - W ten sposób oczywiście możemy zajść bardzo daleko. Zostawmy to. Lepiej powróćmy do początku naszej rozmowy. Czym to wszystko się skończy? No na przykład wy, uczeni. Czy macie nadzieję na znalezienie w Strefie czegoś naprawdę epokowego, czegoś co rzeczywiście pozwoliłoby na dokonanie przewrotu w nauce, w technice, w sposobie życia?

Walentin wzruszył ramionami.

- Zwracasz się pod niewłaściwy adres, Richard. Ja nie lubię jałowych spekulacji. Kiedy mowa o takich poważnych sprawach,

jestem zwolennikiem ostrożnego sceptycyzmu. Jeżeli przyjąć za punkt wyjścia to, co już znajduje się w naszych rękach, przed nami cały wachlarz możliwości i niczego określonego powiedzieć na razie nie można.

- No dobrze, spróbujemy z drugiego końca. Co, twoim zdaniem, już mamy w ręku?

- Jak by to nie było zabawne, raczej niewiele. Odkryliśmy za to wiele zdumiewających zjawisk. W niektórych przypadkach nauczyliśmy się nawet wykorzystywać te zjawiska dla własnych potrzeb. I nawet przywykliśmy do nich... Małpa naciska czerwony guziczek - dostaje banana, naciska biały - dostaje pomarańczę, ale jak zdobyć banany i pomarańcze bez naciskania guziczków - tego małpa nie wie. I jaki jest związek między guziczkami a pomarańczami i bananami, małpa nie rozumie. Weźmy, powiedzmy, "owaki". Znaleźliśmy dla nich zastosowanie. Odkryliśmy nawet warunki, w których rozmnażają się przez podział. Ale do dziś nie umiemy zrobić ani jednego "owaka", nie znamy ich konstrukcji i sądząc po tym nieprędko zorientujemy się w tym wszystkim...

Sformułowałbym to następująco: istnieją obiekty, dla których znaleźliśmy zastosowanie. Posługujemy się nimi, chociaż prawie na pewno niezgodnie z ich prawdziwym przeznaczeniem. Jestem absolutnie przekonany, że w większości wypadków wbijamy mikroskopami gwoździe. Ale jednak coś niecoś przydaje się nam: "owaki", "bransolety" pobudzające procesy biologiczne... różne typy quasi - biologicznych mas, które dokonały takiego przewrotu w medycynie... Mamy do dyspozycji nowe trunkwilizatory, nowe gatunki nawozów sztucznych... rewolucja w agronomii... Zresztą po co ci to wyliczam! Wiesz o tym nie gorzej ode mnie, bransoletkę, jak widzę, sam nosisz... Obiekty tej grupy nazwałbym pożytecznymi. Można powiedzieć, że w jakimś stopniu ludzkość została nimi uszczęśliwiona, chociaż nigdy nie należy zapominać, że w naszym euklidesowym świecie każdy kij ma dwa końce...

- Niepożądane zastosowanie? - wtrącił Nunnun.

- A tak. Powiedzmy zastosowanie "owaków" w przemyśle zbrojeniowym... Ale ja nie o tym... Działanie każdego pożytecznego obiektu mniej lub więcej zbadaliśmy i mniej lub więcej jesteśmy w stanie objaśnić. Obecnie jest to tylko kwestia nieznajomości technologii, ale za jakieś pięćdziesiąt lat sami nauczymy się produkować te królewskie pieczęcie i wtedy do woli będziemy mogli nimi tłuc orzechy. Bardziej skomplikowana jest sprawa z drugą grupą obiektów - bardziej właśnie dlatego, że żadnego zastosowania te obiekty u nas nie znajdują, a ich właściwości, w ramach naszych współczesnych wyobrażeń, są kompletnie niewytłumaczalne. Na przykład pułapki magnetyczne różnych typów. My już wiemy, że tu chodzi o pułapkę magnetyczną. Panow to bardzo interesująco udowodnił. Ale nadal nie rozumiemy, gdzie może znajdować się źródło tak potężnego pola magnetycznego i gdzie leży przyczyna jego superstabilności... nic nie rozumiemy. Możemy tylko stawiać fantastyczne hipotezy zakładające takie właściwości przestrzeni, o których nawet się nam nie śniło. Albo weźmy K-25... Jak wy nazywacie takie czarne, ładne kulki, z których robi się bizuterię?

- "Czarne bryzgi" - powiedział Nunnun.

- O to, to, "czarne bryzgi"... Dobra nazwa... Jakie są ich właściwości, to wiesz. Jeśli przez taką kulkę przepuścić promień światła, to światło wyjdzie z niej z opóźnieniem, przy czym to opóźnienie zależy od wagi kulki, od jej rozmiarów, od jeszcze niektórych parametrów, i długość fali wychodzącego światła jest zawsze mniejsza od długości fali wchodzącego... Co to jest? Dlaczego? Istnieje szaleńcza teoria, według której te twoje "czarne bryzgi" to gigantyczne obszary przestrzeni, która posiada zupełnie inne właściwości niż nasza i która pod działaniem naszej przestrzeni przyjęła taką właśnie zwiniętą formę... Walentin wyjął papierosa i zapalił. - Krótko mówiąc, obiekty tej grupy dla obecnej praktyki ludzkiej są idealnie bezużyteczne, chociaż z czysto naukowego punktu widzenia mają fundamentalne znaczenie. To po prostu tak, jakby nam z nieba spadły odpowiedzi na pytania, których jeszcze nie umiemy zadać. Wspomniany wyżej sir Izaak, być może, nie byłby w stanie pojąć zasady działania lasera, ale w każdym razie zrozumiałby, że skonstruowanie czegoś takiego jest możliwe i to niezawodnie wywarłoby ogromny wpływ na jego naukowy światopogląd. Nie będę się wdawać w szczegóły, ale istnienie takich obiektów jak pułapki magnetyczne K-25, "biały pierścień" - za jednym zamachem skosiło całe pole kwitnących jeszcze do niedawna teorii i powołało do życia całkowicie nowe hipotezy. A przecież istnieje jeszcze trzecia grupa...

- Tak - powiedział Nunnun. - "Czarci pudding" i Inne śliczności...

- Nie, nie. To wszystko należy zaliczyć albo do pierwszej, albo do drugiej grupy. Mam na myśli obiekty, o których nic nie wiemy, albo wiemy tylko ze słyszenia, i które nigdy nie trafiły w nasze ręce. To, co nam sprzątnęli sprzed nosa stalkerzy - sprzedali nie wiadomo komu, czy też ukryli... I to, o czym milczą. Legendy, półlegendy, "maszyna życzeń", "Dick włóczykij" "wesołe upiory"...

- Chwileczkę, chwileczkę - powiedział Nunnun. - A to co znowu takiego? "Maszyna życzeń" - rozumiem...

Walentin zaśmiał się.

- Widzisz, my również mamy swój roboczy żargon. "Dick włóczykij" - to ten właśnie hipotetyczny niedźwiadek, który rozrabia w ruinach fabryki. A "wesołe upiory" - to pewna groźna turbulencja, która pojawia się w niektórych rejonach Sfery.

- Pierwszy raz słyszę - oznajmił Nunnun.

- Rozumiesz, Richard - powiedział Walentin - grzebiemy w Strefie już dwadzieścia lat, ale ciągle nie znamy ani tysięcznej części tego, co tam się znajduje. A jeżeli już mówić o wpływie Sfery na człowieka... O właśnie, musimy jeszcze zaklasyfikować kolejną czwartą grupę. Już nie obiektów, tylko oddziaływań. Ta grupa zbadana jest skandalicznie niedbale, chociaż moim zdaniem dysponujemy wystarczającą ilością faktów. I wiesz, Richard, czasem robi mi się zimno, kiedy myślę o tych faktach.

- Żywe trupy... - mruknął Nunnun.

- Co? A... Nie, to zagadkowe, ale nic więcej. Jak by ci wyjaśnić... To można sobie wyobrazić. Ale jeżeli wokół człowieka zaczynają zniecka zachodzić metafizyczne i metabiologiczne zjawiska...

- Masz na myśli emigrantów...

- Owszem. Statystyka matematyczna to, zapewniam cię, niezmiernie ścisła nauka chociaż ma do czynienia z przypadkowymi wielkościami. A oprócz tego to bardzo wymowna dyscyplina naukowa, bardzo ilustracyjna...

Walentin najwidoczniej z lekka sobie podchmielił. Zaczął mówić głośnie, policzki mu poróżowiały, a brwi nad ciemnymi szklarni powędrowały wysoko do góry, marszcząc czoło w harmonijkę.

- Rozalia! - wrzasnął nagle. - Jeszcze jeden koniak! Podwójny!

- Lubię niepijących - z szacunkiem powiedział Nunnun.

- Bez dygresji! - surowo osadził go Walentin. - Słuchaj co do ciebie mówią. To bardzo dziwne. - Podniósł kieliszek, jednym łykiem wypił połowę i ciągnął dalej. - My nie wiemy, co się stało z biednymi mieszkańcami Harmont w samym momencie Lądowania. Ale oto jeden z nich postanowił wyemigrować. Jakiś tam zwyczajny obywatel. Fryzjer. Syn fryzjera i wnuk fryzjera. Przenosi się, powiedzmy, do Detroit. Otwiera zakład fryzjerski i zaczyna się diabelski obłąd. Ponad dziewięćdziesiąt procent jego kłietów nie przeżywa nawet roku: giną w katastrofach samochodowych, wypadają z okien, wyrzynają ich gangsterzy i chuligani, toną w płytkich stawach i tak dalej, i tak dalej. Wzrasta liczba klęsk żywiołowych w Detroit i jego okolicach, nie wiadomo skąd nadsięgają trąby

powietrzne i tajfun, których w tych miejscach nie widywano od tysiąc siedemset zapomnianego roku. I wiele innych przyjemności tego rodzaju, i takie kataklizmy zdarzają się w każdym mieście, na każdym terenie, wszędzie tam, gdzie osiedlają się emigranci z rejonu Ładowania, a liczba tych kataklizmów jest wprost proporcjonalna do liczby emigrantów zamieszkałych w danym rejonie, i zwróć uwagę, podobne oddziaływanie mają tylko ci emigranci, którzy przeżyli samo Ładowanie. Urodzeni po Ładowaniu, na statystykę nieszczęśliwych wypadków nie mają wpływu. Mieszkasz tu już dziesięć lat, ale przyjechałeś po Ładowaniu i bez obawy można cię przenieść choćby do Watykanu. Jak wyjaśnić podobne zjawisko? Czego się wyrzec - statystyki? Czy może zdrowego rozsądku? - Walentin złapał kieliszek i osuszył go jednym haustem. Richard Nunnun podrapał się za uchem.

- Hm, tak - powiedział. - W ogóle to sporo słyszałem o tych rzeczach, ale jeśli mam być szczerzy, zawsze przypuszczałem, że w tym wszystkim, delikatnie mówiąc jest sporo przesady... Rzeczywiście z punktu widzenia naszej potężnej pozytywistycznej nauki...

- Albo, powiedzmy, mutagenny wpływ Strefy - przerwał mu Walentin. Zdjął okulary i wpatrzył się w Nunnuna czarnymi ślepowymi oczami. - U wszystkich ludzi, którzy dostatecznie długo kontaktują się ze Strefą, ulega zmianie zarówno genotyp jak i fenotyp. Czy ty wiesz, jakie dzieci rodzą się w rodzinach stalkerów, czy wiesz, co się dzieje z samymi stalkerami? Dlaczego? Gdzie czynnik mutagenny? W Strefie nie ma żadnej radiacji. Chemiczna struktura powietrza i gleby w Strefie, chociaż posiada pewną specyfikę, nie przedstawia od tej strony żadnego niebezpieczeństwa. Co mam robić w tych warunkach - uwierzyć w czary? W uroki?...

- Ogromnie ci współczuję z powodu twoich rozterek - odparł Nunnun. - Ale jeśli mam być szczerzy, to mnie osobiście znacznie bardziej działa na nerwy zmartwychwstały nieboszczyk niż dane statystyczne. Tym bardziej że danych statystycznych nie widziałem, a z nieboszczykami niejednokrotnie miałem przyjemność... Walentin lekkomyślnie machnął ręką.

- A tam, te twoje trupy... - powiedział. - Słuchaj, Richard, czy tobie naprawdę nie wstyd? niezależnie od wszystkiego masz przecież wyższe wykształcenie... Po pierwsze to nie są żadne trupy... To przecież fantomy... rekonstrukcja według szkieletu... kukły... A poza tym zapewniam cię - z punktu widzenia podstawowych zasad, te twoje fantomy to nie mniej i nie bardziej zdumiewające zjawisko niż wieczne akumulatory. Po prostu "owaki" naruszają pierwszą zasadę termodynamiki, a fantomy - drugą, i na tym polega cała różnica. My wszyscy w pewnym sensie niedaleko odeszliśmy od człowieka jaskiniowego - nie możemy sobie wyobrazić nic okropniejszego od upiora czy wilkołaka. A tymczasem naruszenie związku przyczynowo-skutkowego to coś znacznie strasznieszego niż całe stada upiorów albo tych tam monstrów Rubinsteina... czy Wallensteina?

- Frankensteina.

- Tak, oczywiście, Frankensteina. Madame Shelle. Żona poety. Albo córka. - Nagle roześmiał się. - Te twoje fantomy mają jedną ciekawą właściwość - autonomiczną zdolność do życia. Można na przykład odciąć im dowolną część ciała i ona będzie żyła. Oddzielnie. Bez żadnych roztworów fizjologicznych... Ostatnio dostarczyli nam do instytutu jednego takiego nieboszczyka, no więc zaczęli go preparować to mi laborant Boyda opowiadał. Oddzielili prawą rękę dla jakichś tam dalszych badań, przychodzą następnego ranka, a ona figę pokazuje... - Walentin roześmiał się. - No? I tak trwa do dzisiaj! To rozewrze palce, to znowu zaciśnie. Jak sądzisz, co ona chce przez to powiedzieć?

- Według mnie symbol jest dość przejrzysty - powiedział Nunnun patrząc na zegarek. - Czy nie czas już na nas, Walentin? Mam jeszcze jedną ważną sprawę do załatwienia.

- No to chodźmy - powiedział Walentin daremnie próbując utrafić twarzą w oprawkę okularów. - Ufff, upiłeś mnie fatalnie... - ujął okulary w obie dłonie i starannie ulokował je na właściwym miejscu. - Jesteś samochodem?

- Tak, odwożę cię.

Obaj zapłacili i poszli do wyjścia. Walentin co chwila z rozmachem przykładając palec do skroni witając znajomych laborantów, którzy z ciekawością gapili się na znakomitość światowej fizyki. Przy samych drzwiach, żegnając rozplywającego się w uśmiechu portiera, Walentin strącił sobie okulary z nosa i wszyscy trzej rzucili się im na ratunek.

- Ufff, Richard - dogadywał Walentin pakując się do peugeota. - Nieludzko mnie spiłeś. Tak nie można, u diabła... To nie wypada. Jutro prowadzę doświadczenie...

I zaczął opowiadać z zapałem o jutrzejszym doświadczeniu. Nunnun odwoził go do miasteczka dla naukowców.

A oni też się boją, myślał, wsiadając z powrotem do wozu. Boją się, jajogłowi... Tak zresztą być powinno. Oni powinni bać się nawet bardziej niż my, wszyscy normalni obywatele razem wzięci. Przecież my zwyczajnie nic nie rozumiemy, a oni przynajmniej wiedzą, do jakiego stopnia nic nie rozumieją. Patrzą w tę przepaść bez dna i wiedzą, że są skazani - muszą kiedyś zejść do tej przepaści. Serce zamiera. Ale zejść na dół trzeba, a jak to zrobić i co tam jest na dnie, i co najważniejsze czy da się potem powrócić?... A my, grzeszni, patrzymy jeśli można to tak określić, w przeciwną stronę. Słuchaj, Dick, a może tak właśnie być powinno? niech wszystko się toczy swoją koleją, a my już jakoś damy sobie radę. On ma rację: największym tytułem do chwały ludzkości jest to, że przetrwała i ma zamiar nadal przetrwać... A jednak niech was diabli wezmą, powiedział przybyszom. Nie mogliście urządzić sobie pikniku w innym miejscu? Powiedzmy na Księżycu. Albo na Marsie. Jesteście tak samo obojętni na wszystko. Jak inni, chociaż nauczyliście się związać przestrzeń. Piknik. Pikniku im się zachciało...

Jakby tu najrzęczniejszą sprawę moich pikników? - rozważał, powoli prowadząc samochód po jasno oświetlonych, mokrych ulicach. Jak to możliwie sprytnie przeprowadzić? Na zasadzie najmniejszego wysiłku, jak w mechanice. Na cholerę mi mój, taki czy inny, ale jednak dyplom, jeżeli nie potrafię wymyślić sposobu na załatwienie tego beznokiego łajdaka...

Zatrzymał wóz przed domem, w którym mieszkał Red Shoehart, i chwilę jeszcze posiedział za kierownicą, zastanawiając się, jak najlepiej poprowadzić rozmowę. Potem zabrał "owaka", wysiadł z samochodu i dopiero teraz zwrócił uwagę, że dom wygląda na nie zamieszkały. Prawie wszystkie okna były ciemne, na pustym skwerze nie paliły się latarnie. To mu przypomniało, co zobaczy za chwilę, i przeszedł go dreszcz. Nawet wpadło mu do głowy, że być może lepiej będzie wywołać Reda przez telefon i porozmawiać z nim w samochodzie, czy w jakiejś cichej knajpce, ale odpędził od siebie tę myśl. Z wielu powodów. A między innymi dlatego, powiedział sobie, że nie będziemy się upodabniać do tych wszystkich żalosnych sukusynów, którzy uciekli stąd jak karaluchy polane wrzątkiem.

Wszedł na klatkę i powoli wspiął się na górę po dawno nie zamiatanych schodach. Dookoła panowała bezludna cisza, drzwi wychodzące na podesty były przeważnie uchylone lub nawet otwarte na oścież - z ciemnych korytarzy ciągnęło stęchłym zapachem wilgoci i kurzu. Zatrzymał się przed drzwiami Reda, przygładził włosy za uszami, głęboko odetchnął i nacisnął guziczek dzwonka. Jakiś czas za drzwiami panowała cisza, potem skrzypnęły deski podłogi, szczerknął zamek i drzwi uchyliły się cichutko. Żadnych kroków do końca nie słyszał.

W progu stała Mariszka, córka Reda Shoeharta. Z przedpokoju na ciemne schody padało jasne światło i w pierwszej chwili Nunnun

dostrzegł tylko ciemną sylwetkę dziewczynki i pomyślał, że bardzo się wyciągnęła w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ale potem, kiedy cofnęła się w głąb mieszkania, zobaczył jej twarz. W mgnieniu oka poczuł suchość w gardle.

- Witaj, Maria - powiedział starając się, żeby jego głos brzmiał jak najserdeczniej. - Co u ciebie słychać, Mariszka?

Nie odpowiedziała. W milczeniu i absolutnie bezszelestnie cofała się do drzwi pokoju patrząc spode łba na Nunnuna. Prawdopodobnie nie poznała go. Zresztą i on, mówiąc szczerze, też jej nie poznał. Strefa, pomyślał. Paskudztwo...

- Kto tam? - zapytała Guta i wyjrzała z kuchni. - O Boże, Dick! Gdzieś ty się podziewał? Czy wiesz, że Red wrócił?

Pośpieszyła do niego wycierając ręce w ręcznik przewieszony przez ramię - zawsze tak samo śliczna, silna i pełna energii, tylko jakby ją coś gryzło od wewnątrz, zmizerniała na twarzy i oczy miała jakieś takie... rozgorączkowane chyba?

Dick ucałował ją w policzek, oddał jej płaszcz i kapelusz i powiedział:

- Słyszałem, słyszałem... Ciągle nie mogłem znaleźć wolnej chwili, żeby do was wpaść. Red w domu?

- W domu - powiedziała Outa. - Siedzi tam u niego taki jeden... niedługo już sobie pójdzie, od dawna siedzi. No wejdźże nareszcie...

Nunnun przeszedł kilka kroków korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami jadalni. Stary siedział przy stole. Sam. Fantom, nieruchomy i odrobinę przekrzywiony na bok. Różowe światło abażuru padało na jego szeroką ciemną twarz jakby wyrzeźbioną w starym drzewie, na zapadnięte, bezzębne usta, na oczy martwe i bez połysku. Nunnun natychmiast poczuł ten zapach. Wiedział, że to tylko gra wyobraźni, zapach był tylko przez pierwsze dni, a potem doszczętnie zniknął, ale Richard Nunnun czuł go jakby pamięcią - duszny, ciężki zapach rozkopanej ziemi.

- Albo lepiej chodźmy do kuchni - pośpiesznie zaproponowała Guta. - Robię właśnie kolację, to przy okazji sobie pogadamy.

- Oczywiście - powiedział Nunnun ochoczo. - Tak dawno cię nie widziałem i jeszcze nie zapomniałaś, co zwykłem pić przed kolacją?

Przeszli do kuchni. Guta od razu otworzyła lodówkę, a Nunnun usiadł przy stole i rozejrzał się. Jak zawsze było tu bardzo czysto, wszystko lśniło, nad garnuszkami kłębiła się para. Kuchenka była nowa, półautomat, to znaczy, że w domu nie brakowało pieniędzy.

- No jak tam Red? - zapytał Nunnun.

- Tak jak zawsze - odparła Guta. - W więzieniu schudł, ale już się odjadł.

- Rudy?

- Jeszcze jak!

- Zły?

- Jasne! On już taki będzie do śmierci. Postawiła przed nim szklaneczkę "Krwawej Mary" - przezroczysta warstwa rosyjskiej wódki zawisła nad krążkiem soku pomidorowego.

- Nie za dużo? - zapytała.

- W sam raz. - Nunnun wlał w siebie "Krwawą Mary". Pomyślał, że po raz pierwszy tego dnia wypił coś przyzwoitego. - Tego mi brakowało - powiedział.

- A u ciebie wszystko w porządku? - zapytała Guta. - Tak długo nie przychodziłeś, dlaczego?

- Przekłete interesy - odparł Nunnun. - Co najmniej raz w tygodniu zamierzałem wpaść albo chociaż zadzwonić, ale najpierw musiałem jechać do Rexopolis, potem wybuchł jeden taki skandal, potem ktoś mi mówi: "Red wrócił" - dobra, myślę, nie będę im przeszkadzać... Jednym słowem nie mogłem jakoś wyrwać się z tego kołowrotu. Czasem zadaję sobie pytanie, po jaką cholere tak harujemy? Dla forsy? Ale po jakiego diabła nam te pieniądze, jeżeli nie robimy nic innego tylko harujemy, żeby je zarobić?

Guta szczerknęła pokrywkami, wzięła z półki paczkę papierosów i usiadła na wprost Nunnuna. Oczy miała spuszczone. Nunnun spiesznie wyciągnął zapalniczkę, podał jej ogień i znowu, po raz drugi w życiu, zobaczył, że jej drżą palce, tak jak wtedy, kiedy Reda właśnie skazano i Nunnun przyszedł, żeby dać jej pieniądze - w pierwszym okresie dosłownie umierała z głodu, żadne ścierwo w kamienicy nie chciało jej pożyczyć grosza. Potem w domu pojawiły się pieniądze i to, należy przypuszczać bardzo znaczne, Nunnun nawet domyślał się skąd, ale w dalszym ciągu przychodził, przynosił Mariszce słodycze i zabawki, po całych wieczorach pił z Guta kawę i razem planowali szczęśliwą i spokojną przyszłość Reda, a następnie, nasłuchawszy się opowiadań Guty, Nunnun szedł do sąsiadów i próbował ich uspokoić, usiłował im tłumaczyć, namawiał, wreszcie groził tracąc cierpliwość: "Przecież Rudy w końcu wróci i wtedy kości wam połamie" - nic nie pomagało.

- A co z twoją dziewczyną? - zapytała Guta.

- Z którą?

- No z tą, z którą wtedy przyszedłeś... taka jasnowłosa...

- To ma być moja dziewczyna? To moja stenografistka. Wyszła za męża i zwolniła się z pracy.

- Powinieneś się ożenić, Dick - powiedziała Guta. - Chciesz, znajdę ci narzeczoną. Nunnun chciał odpowiedzieć jak zwykle: Niech no tylko Mariszka podrośnie... ale na szczęście ugryzł się w język. Bardzo źle to by teraz zabrzmiało.

- Potrzebna mi jest stenografistka. a nie żona - powiedział mruklawie. - najlepiej rzuć swojego rudego diabła i zostań moją stenografistką. Przecież świetnie stenografowałaś. Stary Harris do dzisiaj nie może o tobie zapomnieć.

- Ja myślę - powiedziała Guta. - Obie ręce sobie o niego posiniaczyłam.

- Do tego stopnia? - Nunnun udał ogromne zdziwienie. - W starym piecu diabeł pali!

- O Boże! - powiedziała Guta. - Przecież on mi przejść nie dawał! Ja tylko jednego się bałam, żeby się Red przypadkiem nie dowiedział.

Bezszelestnie weszła Mariszka. Pojawiła się w drzwiach, spojrzała na garnki, na Richarda, potem podeszła do matki i przytuliła się do niej, odwracając twarz.

- No jak tam, Mariszka? - rażno powiedział Nunnun. - Chcesz czekoladkę?

Wsadził dwa palce do kieszonki kamizelki i wyjął czekoladowy samochodzik w celofanie i chciał go dać dziewczynce. Mariszka nie drgnęła. Guta zabrała mu czekoladkę i położyła na stole. Jej wargi nagle zbieleły.

- Wiesz, Guta - nadal rażno ciągnął Nunnun. - Mam zamiar się przeprowadzić. Zbrzydło mi mieszkanie w hotelu. Po pierwsze daleko od instytutu...

- Ona już prawie nic nie rozumie - cicho powiedziała Guta i Nunnun urwał w pół zdania, wziął w obie dłonie szklaneczkę i bezmyślnie zaczął ją obracać w palcach.

- Nie pytasz jak widzę, co u nas słychać - mówiła dalej Guta - i masz rację. Ale przecież jesteś naszym starym przyjacielem, Dick, i przed tobą nie mamy co ukrywać. Zresztą, czy to można ukryć.

- Byliście z nią u lekarza? - zapyta! Nunnun nie podnosząc oczu.
- Tak. Oni nic tu nie mogą poradzić. A jeden powiedział - zamilkła.

Nunnun również milczał. Nie było tu o czym mówić ani nawet i myśleć, ale nagle poraziła go straszna myśl - to jest Inwazja. Nie piknik na skraju drogi, nie próba nawiązania kontaktu - tylko Inwazja. Oni nie mogą nas zmienić, ale przenikają w ciała naszych dzieci i zmieniają je na swój obraz i podobieństwo. Przeszedł go dreszcz, ale od razu przypomniał sobie, że już gdzieś czytał o czymś podobnym, jakiś pocket-book w kolorowej plastikowej okładce i od tego wspomnienia zrobiło mu się lżej na sercu. Wymyślić można wszystko, czego dusza zapagnie. A to, co zostało wymyślone, nigdy naprawdę się nie zdarza.

- A jeden powiedział, że ona już nie jest człowiekiem - przerwała milczenie Guta.
- Zawracanie głowy - głucho powiedział Nunnun.
- Zwróć się do prawdziwego specjalisty. Idź do Jamesa Catterfielda. Chcesz, porozmawiam z nim. Załatwię, żeby cię przyjął...
- Myślisz o Rzeźniku? - zaśmiała się nerwowo. - Nie trzeba, Dick, dziękuję ci. To właśnie on tak powiedział. Taki już widocznie przypadł nam los.

Kiedy Nunnun odważył się podnieść oczy, Mariszki już nie było. a Guta siedziała bez ruchu, usta miała rozchylone, oczy puste i na papierosie, który trzymała w palcach, wyrósł długi słupek szarego popiołu. Wtedy Nunnun popchnął ku niej szklankę i powiedział:

- Zrób mi jeszcze jedną porcję, dziewczyno... i sobie również. A potem wypijemy.

Popiół spadł, Guta poszukała oczami, gdzie wyrzucić niedopałek i wrzuciła go do zlewozmywaka.

- Za co? - zapytała. - Tego właśnie nie rozumiem! Co myśmy takiego zrobili? Pomimo wszystko nie jesteśmy najgorszymi ludźmi w tym mieście...

Nunnun pomyślał, że Guta teraz się rozplacze, ale ona nie zapłakała - otworzyła lodówkę, wyjęła wódkę i sok, i zdjęła z półki drugą szklankę.

- A jednak nie trać nadziei - powiedział Nunnun. - Na świecie nie ma niczego takiego, czego nie można naprawić i możesz mi wierzyć, ja mam bardzo duże możliwości. I zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy...

Teraz sam wierzył w to, co mówił, i już w głowie robił przegląd nazwisk, znajomości, miast, i już mu się wydawało, że gdzieś coś słyszał o podobnych wypadkach i że chyba wszystko dobrze się skończyło, tylko trzeba sobie przypomnieć, gdzie to było i kto leczył, ale akurat wtedy przypomniał sobie, po co właściwie tu przyszedł, przypomniał sobie Herr Lemchena, a także po co zaprzyjaźnił się z Gutą i wtedy odechciało mu się myśleć o czymkolwiek, odegnął od siebie wszelkie sensowne myśli, usiadł wygodniej, rozluźnił mięśnie i już tylko czekał, kiedy mu dadzą coś do wypicia.

W tej właśnie chwili usłyszał z korytarza szurające kroki, stukot kul i odrażający, szczególnie w tym momencie, głos ścierwnika Barbridgea powiedział nosowo:

- Ej, Rudy! A twoja Guta widocznie ma gościa - kapelusz wisi... Ja bym na twoim miejscu tego tak nie zostawił...

I głos Reda:

- Uważaj na protezy, Ścierwnik. I zatrzasknij dziób. Tu są drzwi, żebyś czasem nie zbłądził, ja mam zamiar zjeść jeszcze dziś kolację.

I Barbridge: - Tfu, już nawet zażartować nie wolno!

I Red:

- Dosyć się już nażartowałeś. Wystarczy. Spływaj, spływaj, na co czekasz!

Szczęknął zamek i głosy stały się cichsze, widocznie obaj wyszli na schody. Barbridge coś powiedział półgłosem i Red mu odpowiedział: "Dosyć tego, nie mam z tobą o czym gadać!" Znowu mamrotanie Barbridgea i ostry głos Reda: "Powiedziałem dosyć!" Trzasnęły drzwi, zastukały szybkie kroki w przedpokoju i w progu kuchni ukazał się Red Shoehart. Nunnun wstał na jego powitanie i obaj mocno uścisnęli sobie dłonie.

- Wiedziałem, że to ty - powiedział Red obrzucając Nunnuna spojrzeniem bystrych, zielonkawych oczu. - Uu, aleś się spaśł, grubasie! nieźle cię tuczają w naszych barach! Oho! Widzę, że wesoło spędzacie czas! Guta, zrób i dla mnie porcję, muszę was doganiać...

- Prawdę mówiąc jeszcześmy dobrze nie zaczęli - powiedział Nunnun. - Właściwie dopiero zabieraliśmy się do roboty. Przed tobą trudno uciec!

Red zaśmiał się ostro i uderzył Nunnuna pięścią w ramię.

- Zaraz się okaże, kto kogo dogoni i kto kogo przegoni. Ja, bracie, dwa lata siedziałem o suchym pysku. Żeby ciebie dogonić, musiałbym chyba wypić cysternę... Chodźmy, chodźmy, nie będziemy siedzieć w kuchni! Guta, co z tą kolacją...

Dał nurka do lodówki i wyprostował się, trzymając w każdej ręce po dwie butelki z różnymi nalepkami.

- Zabawimy się! - oznajmił. - Wydajemy przyjęcie na cześć najlepszego przyjaciela, Richarda Nunnuna, który nie opuszcza swoich w biedzie! Chociaż nie przynosi mu to żadnego pożytku. Ech, szkoda, że nie ma Szuwaksa...

- A to zadzwoń do niego - zaproponował Nunnun. Red pokręcił ognisto rudą głową.

- Tam, gdzie on teraz jest, jeszcze nie założyli telefonu. No, chodźmy, chodźmy... Pierwszy wszedł do pokoju i rąbnął butelkami o stół.

- Zabawimy się, tato - powiedział do nieruchomego starca. - To jest Richard Nunnun, nasz przyjaciel Dick, a to mój tata, Shoehart - senior...

Richard Nunnun skurczył się wewnątrz w mały twardy kłębek, rozciągnął wargi od ucha do ucha, pomachał w powietrzu dłonią i powiedział do nieboszczyka:

- Bardzo mi miło, mister Shoehart. Co u pana słyhać? My się już znamy. Red - powiedział do Shoeharta Juniora, który penetrował barek. - Już raz widzieliśmy się, co prawda przelotnie...

- Siadaj - powiedział do niego Red wskazując na krzesło na wprost starca. - Jeżeli chcesz z nim rozmawiać, mów głośniej. On ni cholery nie słyszy.

Rozstawił kieliszki, szybko otworzył butelki i powiedział do Nunnuna:

- Rozlewaj. Ojcu niedużo, na samo dno... Nunnun nalewał bez pośpiechu. Stary siedział w poprzedniej pozie i patrzył w ścianę, nie zareagował kiedy Nunnun podsunął mu kieliszek. A Nunnun już się oswoił z nową sytuacją. To była gra, gra straszna i żalosna. Rozpoczął ją Red, a on, Nunnun, właśnie do niej przystąpić tak jak robił przez całe życie, rozgrywając cudze partie i straszne, i żalosne, i haniebne, i dziwaczne, i znacznie groźniejsze niż ta. Red podniósł swój kieliszek i powiedział: "No to w drogę?" - i Nunnun jak najnaturalniej spojrział na starca, a Red niecierpliwie stukając swoim kieliszkiem o kieliszek Dicka powiedział: "W drogę, w

drogę... nie martw się o niego, tato nie da sobie krzywdy zrobić..." - i wtedy Nunnun równie naturalnie kiwnął głową i obaj wypili.

Red, błyskając oczami, zaczął mówić tym samym podnieconym i nieco sztucznym głosem :

- Koniec, bracie! Więcej mnie więzienie nie zobaczy. Gdybyś ty wiedział jak dobrze jest w domu! Forsa jest, ja już sobie fajny cottage upatrzyłem, z ogrodem, nie gorszy niż Ścierwnika... Wiesz, że chciałem wyemigrować, jeszcze w więzieniu postanowiłem. Po jaką cholere mam siedzieć do usranej śmierci w tym zapowietrzonym mieście? niech to wszystko, myślę, jasny piorun strzeli. Wracam □ moje uszanowanie, zabronili emigrować! Co to - przez te dwa lata okazało się, że jesteśmy zadzumieni?

Red mówił i mówił, a Nunnun kiwał głową, popijał whisky, wtrącał na znak poparcia współczujące przekleństwa, zadawał retoryczne pytania, a potem zaczął wypytywać o cottage - co to za cottage, gdzie, za ile? Nawet zaczął się spierać z Redem, twierdził, że cottage jest drogi, w niedogodnym miejscu, wyjął notes i przewracając kartki podawał adresy opuszczonych domków, które właściciele oddadzą za bezcen, a remont będzie kosztował grosze, szczególnie jeśli złożyć prośbę o zezwolenie na emigrację, otrzymać odmowę i zażądać rekompensaty.

- Ty, jak widzę, przerzuciłeś się na handel nieruchomościami - powiedział Red.

- A ja wszystkim po trochu handluję - odparł Nunnun i zrobił perskie oko.

- Wiem, wiem, nasłuchiwałem się o twoich aferach z burdelami!

Nunnun zrobił wielkie oczy, położył palec na ustach i spojrzął w stronę kuchni.

- Co tam, wszyscy o tym wiedzą - powiedział Red.

- Pieniądze nie śmierdzą, teraz już wiem o tym z całą pewnością... Ale żeś ty wziął Gnata na zarządzającego - myślałem, że pękne ze śmiechu, kiedy się o tym dowiedziałem. Wpuściłeś lisa do kurnika... Przecież on jest stuknięty, ja go znam od małego!

W tym momencie stary powoli, mechanicznym ruchem, niby ogromna kukła uniósł rękę z kolana i z drewnianym stukotem upuścił ją na stół, obok swego kieliszka. Ręka była ciemna, z niebieskim połyskiem, skurczone palce upodobały ją do kurzej łapy. Red zamilkł i spojrzął na ojca. W jego twarzy coś drgnęło i Nunnun ze zdumieniem zauważył na tej piegowatej, drapieżnej fizjonomii najprawdziwszą, miłość.

- Niech tata pije na zdrowie - serdecznie powiedział Red. - Ta odrobina tacie nie zaszkodzi... - Nic się nie bój - powiedział półgłosem do Nunnuna mrugając porozumiewawczo. - On sobie z kieliszkiem poradzi, bądź spokojny...

Patrząc na niego Nunnun przypomniał sobie, co się działo, kiedy laboranci Boyda przyszli tutaj po tego nieboszczyka. Laborantów było dwóch, silni chłopcy bez przesądów, wysportowani itp., towarzyszył im lekarz ze szpitala miejskiego, a z nim dwaj sanitariusze, potężni faceci, przyuczeni do dźwigania noszy i uspokajania szaleńców. Później jeden z laborantów opowiadał, że "ten rudzielec" z początku jakby nie rozumiał, o co chodzi, wpuścił ich do mieszkania, pozwolił obejrzeć ojca i zapewne starego spokojnie by zabrano, ponieważ Red prawdopodobnie uznał, że tatusia chcą wziąć do szpitala na badania. Ale te bałwany sanitariusze, którzy w czasie wstępnych rokowań sterczeli w przedpokojach i gapili się na Gutę, myjącą okna, kiedy ich wezwano, zabrali się do starego jak do zapluskwionej kanapy, najpierw go wlekli po ziemi, a potem w ogóle upuścili na podłogę. Red się wściekł i tu dorwał się do głosu kretyn lekarz i zaczął szczegółowo objaśniać dokąd, po co i w jakim celu. Red słuchał go minutę, albo i dwie, a potem nagle bez żadnego uprzedzenia eksplodował jak bomba wodorowa. Laborant, który to opowiadał, sam nie pamięta, w jaki sposób znalazł się na ulicy. Rudy diabeł zrzucił ze schodów wszystkich pięciu, przy czym żadnemu nie pozwolił odejść dobrowolnie na własnych nogach. Wszyscy, według słów laboranta, wylatywali z bramy jak kule z armaty. Dwaj zostali nieprzytomni na chodniku, a pozostałych trzech Red ścigał przez cztery przecznice, po czym wrócił do samochodu, którym przyjechali, i wybił w nim wszystkie szyby - szofera w wozie już nie było, uciekł pieszo w przeciwnym kierunku.

- Tu, w jednym barze, dali mi przepis na nowy koktajl - mówił Red rozlewając whisky. - Nazywa się "czarci pudding", zrobię ci potem, kiedy zjemy. To, bracie, taka bomba, że na pusty żołądek pić jej nie można - człowiek ryzykuje życie, po jednej porcji nie możesz ruszyć ani ręką, ani nogą... Jak tam sobie chcesz, Dick, ale ja cię dzisiaj ugospzczę według pierwszej kategorii, słowo daję. Przypomnijmy sobie dawne dobre czasy, jak to kiedyś w "Barge"... Biedny Ernest ciągle jeszcze siedzi, wiesz? - wypił, otarł usta wierzchem dłoni i zapytał niedbale: - A co słyhać w instytucie? Za "czarci pudding" jeszcze się nie wzięli? Ja, widzisz, obecnie jestem trochę do tyłu, jeśli chodzi o ostatnie osiągnięcia naukowe...

Nunnun od razu zrozumiał, dlaczego Red zaczyna rozmowę na ten temat. Załamał ręce i pozwiedział:

- Coś ty, stary! Nie słyszałeś, jaki numer wyszedł z tym "puddingiem"? Słyszałeś o laboratoriach Carryguna? To taki prywatny sklepik... A więc, dostali skądś porcję "puddingu"...

Opowiedział o katastrofie, o straszliwym skandalu, o tym, że śledztwo nic nie dało - skąd wziął się "pudding" nie wiadomo do dziś. A Red słuchał niby nieuważnie, potem dołał whisky do szklanek i powiedział:

- Dobrze im tak, kanaliom, żeby ich piekło pochłonęło...

Wypili we dwójkę. Red spojrzął na ojca, znowu w jego twarzy coś drgnęło, wyciągnął rękę, przysunął szklanek bliżej do skurczonych palców i palce się nagle zwarły obejmując dno szklaneczki.

- Tak szybciej pójdzie - powiedział Red - Guta! - wrzasnął - długo nas będziesz morzyć głodem? To na twoją cześć tak się stara - wyjaśnił Nunnunowi. - Na pewno robi twoją ulubioną sałatkę ze ślimakami, dawno je kupiła, sam widziałem. No a w ogóle, co słyhać w instytucie? Znaleźli coś nowego? Mówią, że teraz tam u was nic, tylko automaty, szkoda że pożytek z nich niewielki.

Nunnun zaczął opowiadać plotki z Instytutu i kiedy mówił, przy stole obok starego bezszelestnie pojawiła się Mariszka, postąpiła chwilę położywszy na stole kosmate łapki i nagle absolutnie dziecięcym ruchem przytuliła się do nieboszczyka i położyła mu głowę na ramieniu. I Nunnun, nie przerywając opowiadania, pomyślał patrząc na te dwa upiorne płody Strefy: O Boże, co jeszcze? Co jeszcze trzeba z nami zrobić, żeby nas wreszcie ruszyło? Czy nawet tego za mało? - Wiedział, że za mało. Wiedział, że miliardy ludzi o niczym nie wiedzą i o niczym wiedzieć nie chcą, a jeżeli nawet się dowiedzą, to przez dziesięć minut będą wstrząśnięci, a potem wrócą do swoich spraw, bo po okregach swoich wraca się wiatr. Urznę się, pomyślał w ostatecznej furii. Do diabła z Barbridgeem, do diabła z Lemchenem... do diabła z tą przez Boga przeklętą rodziną, do diabła! Urznę się.

- Co tak na nich patrzysz? - cicho zapytał Red - nie bój się, to jej nie zaszkodzi, nawet przeciwnie - mówią, że oni dobrze robią na zdrowie.

- Tak. wiem - powiedział Nunnun i jednym haustem wysuszył szklanek. Weszła Guta, rzeczowo poleciła Redowi rozstawić talerze i postawiła na stole wielką srebrną miskę z ulubioną sałatką Munna. I w tym momencie stary - jakby ktoś nagle sobie przypomniał, że trzeba pociągnąć za nitki - jednym ruchem uniósł szklanek do rozwierających się ust.

- No, moi kochani - powiedział Red z zachwytem w głosie - teraz zabawimy się na dwadzieścia cztery fajerki!

4. RED SHOEHART, lat 31

Przez noc w dolinie się ochłodziło, a o świcie zrobiło się wręcz zimno. Szli nasypem kolejowym, stąpając po zbutwiałych podkładach między zardzewiałymi szynami, i Red widział, jak na skórzanej kurtce Artura Barbridge'a błyskają kropelki zgęstniałej mgły. Chłopiec maszerował lekko, wesoło, jakby nie miał za sobą męczącej nocy, nerwowego napięcia, po którym do tej chwili drżał każdy mięsień ciała, dwóch upiornych godzin, które spędzili w męczącym półśnie na szczycie łysego pagórka, przytuleni do siebie dla rozgrzewki, przeskakując strumień "zielonki" opływającej wzgórze i znikającej w rowie.

Po obu stronach nasypu leżała gęsta mgła. Od czasu do czasu wpełzała na szyny ciężkimi, szarymi płatami i wtedy szli po kolana unurzani w kłębiącą się z wolna wacie. Pachniało mokrą rdzą, a z błota po prawej stronie nasypu ciągnęło stęchlizną. Wokół nie było widać nic oprócz mgły, ale Red wiedział, że po obu stronach rozpościera się pagórkowata kamienista równina, a za równiną, we mgle kryją się góry. I jeszcze wiedział, że kiedy wszędzie słońce i mgła opadnie rosą, powinien zobaczyć gdzieś po lewej szkielet roztrzaskanego śmigłowca, a przed sobą sznur wagoników, i że właśnie wtedy zacznie się prawdziwa robota.

Nie zatrzymując się Red wsunął dłoń między ramiona i plecak, podrzucił plecak wyżej, żeby krawędź butli z helem nie wrzynała mu się w kręgosłup. Ciężki sukinsyn. Jak ja będę się z nim czołgał? Półtora kilometra na brzuchu... Dobra, nie tnij, stalker, wiedziałeś, na co idziesz. Pięćset tysięcy czeka cię na końcu tej drogi, możesz się trochę wysilić. Pięćset tysięcy, niczego sobie kawał grosza, co? Niech zdechnę. Jeśli im oddam taniej niż za pięćset tysięcy. I jeżeli dam ścierownikowi więcej niż trzydzieści kawałków. A gówniarzowi... gówniarzowi nie dam nic. Jeśli stary łajdak chociaż w połowie powiedział prawdę, to gówniarz nic nie dostanie.

Znowu spojrzął Arturowi w plecy i przez jakiś czas patrzył spod zmrużonych powiek, jak tamten lekko skacze przez dwa podkłady, barczysty, wąski w biodrach, a jego czarne jak u siostry włosy falują w rytmie marszu. Sam się wprosił, posępnie pomyślał Red. Sam. Dlaczego mu tak strasznie na tym zależało? Aż dygotał cały i łzy miał w oczach... "niech pan mnie weźmie, mister Shoehart! Różni ludzie mi proponowali, ale ja chcę tylko z panem, tamci są do niczego! Ojciec... Ale przecież on teraz nie może!" Red wysiłkiem woli odepchnął od siebie to wspomnienie. Ale chciał o tym myśleć, to było wstrętne i być może dlatego zaczął myśleć o siostrze Artura, o tym, jak on, Red, z tą Diną i trzeźwy spał, i pijany spał, i jakie to było za każdym razem rozczarowanie. Wprost nie do wiary - dziewczyna jak złoto, z taką by się tylko kochać i kochać, a kiedy przychodzi co do czego - Iluzja, nieżywa kukła, a nie kobieta. Tak jak te guziki na matczynej bluzce - bursztynowe, półprzezroczyste, złotawe, aż się pragnie wziąć je do ust i ssać w oczekiwaniu jakiejś niezwyklej słodczy... I pamięta - brał je do ust i ssał, i po stokroć przeżywał straszne rozczarowanie, i po stokroć zapominał o tym rozczarowaniu - może nawet nie tyle zapominał, ile nie chciał wierzyć własnej pamięci, kiedy je tylko znowu zobaczył.

A może to papachen mi go podestał, pomyślał, nie przypadkiem dźwiga taką armatę w tylnej kieszeni... Nie, raczej wątpliwe, Ścierownik mnie zna. Ścierownik wie, że ze mną nie ma żartów, i wie, jaki jestem w Strefie. Przesadzam. Nie on pierwszy mnie prosił, nie on pierwszy zalewał się łzami, inni nawet kłękali przede mną... A spluwy wszyscy ze sobą targają, kiedy idą pierwszy raz. Pierwszy i ostatni raz. Czy naprawdę ostatni? Oj, ostatni, chłopcze. Oto jak się rzeczy mają, Ścierownik - po raz ostatni. Tak, papachen, gdybyś wiedział o projektach twego syna, protezami byś skórę wygarbował syneczkowi twojemu wymodlonemu w Strefie... Raptem poczuł, że coś pojawiło się przed nimi. I to niedaleko - w odległości trzydziestu - czterdziestu metrów.

- Stój - powiedział do Artura.

Chłopiec posłusznie zamarł w miejscu. Refleks miał dobry: zastygł w mgnieniu oka z podniesioną nogą, a następnie powoli i ostrożnie opuścił ją na ziemię. Red zrównał się z nim i stanął. Koleina prowadziła w dół i całkowicie ginęła we mgle. I właśnie tam, we mgle, coś trwało. To było wielkie i nieruchome ale niegroźne. Red ostrożnie wciągnął nosem powietrze. Tak. Niegroźne.

- Naprzód - powiedział niegłośno. Odczekał, aż Artur zrobi pierwszy krok i ruszył za nim. Kątem oka widział twarz Artura, jego klasyczny profil, gładką skórę policzka i stanowcze, zaciśnięte wargi pod cieniutkim wąsikiem.

Zanurzali się we mgle, najpierw po pas, potem po szyję, i po paru sekundach zamajaczyła przed nimi ukośna bryła wagonika.

- Dość - powiedział Red i zaczął zdejmować plecak. - Siadaj tam, gdzie stoisz. Przerwa na papierosa.

Artur pomógł mu zdjąć plecak, a potem usiedli obok siebie na zardzewiałej szynie. Red otworzył jedną z kieszeni plecaka, wyjął zawiniątko z jedzeniem i termos z kawą, a póki Artur odwijał papier i układał kanapki na plecaku wy dostał zza pazuchy manierkę, otworzył ją i przysmakując oczy wypił kilka łyków.

- Napijesz się? - zaproponował wycierając dłonią szyjkę manierki. - Nabierzesz odwagi... Artur pokręcił głową, dotknięty.

- Nie muszę nabierać odwagi, mister Shoehart. Wolałbym kawę, jeśli pan pozwoli. Bardzo tu wilgotno, prawda?

- Wilgotno - potwierdził Red. Schował manierkę, wybrał sobie kanapkę i zaczął jeść. - Kiedy mgła opadnie, zobaczysz, jakie tu błota dookoła. Kiedyś w tych miejscach komarów było zatrzęsienie...

Umilkł i nalał sobie kawy. Kawa była gorąca, słodka i aromatyczna, i nawet przyjemniej było teraz ją pić niż alkohol. Pachniała domem, Gutą i to nie po prostu Gutą, ale Gutą w szlafroku, prosto ze snu, ze śladem poduszki na policzku, niepotrzebnie się w to wdałem, pomyślał Red. Pięćset tysięcy... A na cholere mi pięćset tysięcy? Knajpę mam zamiar kupić, czy co? Pieniądze są potrzebne, żeby o nich nie myśleć, jak słusznie powiedział Dick. Dom jest, ogródek jest, bez pracy w Harmont nie zostanie... napuścił mnie Ścierownik, menda plugawa, na wodę, napuścił jak dziecko...

- Mister Shoehart - powiedział nagle Artur uciekając spojrzeniem. - Czy pan naprawdę wierzy, że ta kulka spełnia życzenia?

- Zawracanie głowy! - powiedział nieuważnie Red i zamarł ze szklaneczką przy ustach. - A ty skąd wiesz, po co idziemy.

Artur roześmiał się z zażenowaniem, wsadził rozcapierzoną dłoń w kruszą czuprynę i powiedział:

- Domyśliłem się!... Już nie pamiętam, co konkretnie podsunęło mi tę myśl... Ale po pierwsze, poprzednio ojciec bez przerwy nudził o Złotej Kuli, a ostatnio nagle przestał, za to ciągle chodził do pana, a ja przecież wiem - wcale nie jesteście przyjaciółmi, co by tam ojciec nie mówił. Oprócz tego zrobił się ostatnio jakiś taki dziwny... - Artur znowu się roześmiał i pokręcił głową coś sobie przypominając. - A ostatecznie wszystko zrozumiałem, kiedy na tym pustkowiu wypróbowaliście sterowiec... - Klepnął dłonią po plecaku, w którym leżał ciasno zwinięty pokrowiec sterowca. - Uczciwie się przyznaję, że was wtedy wyśledziłem, a kiedy zobaczyłem, jak podnosicie w powietrze worek kamieni, wszystko stało się dla mnie jasne. Według mnie oprócz Złotej Kuli w Strefie nic ciężkiego już nie zostało. - Ugryzł kanapkę i w zamyśleniu powiedział z pełnymi ustami: - Tylko nie rozumiem, jak ją pan przyczepi, przecież na pewno jest idealnie gładka...

Red cały czas patrzył na niego znad szklaneczki i myślał, jak bardzo niepodobni są do siebie ojciec i syn. Inni ludzie. Inna twarz,

inny głos, inna dusza. Ścierwnik ma głos ochrypliwy, lizusowski, jakiś taki padalcowaty. Ale kiedy mówił o niej, to mówił pierwszorzędnie. Nie można go było nie słuchać. "Rudy - mówił wtedy przechylając się przez stół. - Przecież tylko my dwaj zostaliśmy i na nas dwóch dwie nogi, i obie twoje... Kto, jak nie ty? To być może najcenniejsze ze wszystkiego, co jest w Strefie! Komu to się ma dostać? Tym okularnikom z ich maszynami? Przecież to ja ją znalazłem, ja! Ilu naszych po drodze poległo! A ja znalazłem! Trzymałem dla siebie. I teraz też bym nikomu nie oddał, ale ręce mam za krótkie... Tylko ty możesz tam iść. Ilu to ja młokosów uczyłem, całą szkołę dla nich, rozumiesz, założyłem - i nic, nie ten materiał. No dobra, nie wierzysz mi, nie wierzysz - nie trzeba. Forsa dla ciebie. Dasz mi, ile sam zechcesz, wiem, że nie skrzywdzisz... A ja może nogi odzyskam. Odzyskam nogi, czy ty to rozumiesz? Strefa mi nogi zabrała, może Strefa mi je zwróci?"

- Co? - zapytał Red ocknąwszy się.

- Pytałem, czy mogę zapalić, mister Shoehart.

- Tak - powiedział Red. - Pal, pal... Ja też zapalę.

Duszkciem dopił kawę, wyjął papierosa i ugniatając go wpatrzył się w rzędniejącą mgłę. Stuknięty, pomyślał. Wariat, nóg się kanalii zachciało... parszywej gnidzie...

Po tych wszystkich rozmowach zostawał w duszy jakiś osad i nie było zupełnie jasne, jaki mianowicie. I z biegiem czasu nie ulatniał się, lecz przeciwnie - gęstniał i gęstniał. Nie wiadomo, co to było, ale przeszkadzało, jakby czymś się zaraził od Ścierwnika, ale nie plugastwem jakimś, nawet odwrotnie... siłą może? nie, nie siłą. Czym w takim razie? No dobra, powiedział sobie. Zrobmy tak - założmy, że nie dotarłem tutaj. Już się zdecydowałem, spakowałem plecak i wtedy coś się stało... zapudłowali mnie, powiedzmy. Żle byłoby? Z całą pewnością źle. Dlaczego źle? Z pieniędzy nici? Nie, nie chodzi o pieniądze... Że bezcenny skarb dostanie się łobuzom, Chrypom różnym i Suchym? To prawda, w tym coś jest. Jakoś głupio. Ale co mi do tego? Tak czy inaczej, w końcu właśnie im się wszystko dostanie.

- Br-r-r... - Artur wzdrygnął się. - Przenika do kości. Mister Shoehart, może mi pan teraz da czegoś mocniejszego?

Red w milczeniu wyciągnął manierkę i dał Arturowi. A przecież nie od razu się zgodziłem, nagle pomyślał. Ze dwadzieścia razy poryłem Ścierwnika do wszystkich diabłów, a za dwudziestym pierwszym jednak się zgodziłem. Już dłużej nie mogłem. Zupełnie nie mogłem. I ostatnia nasza rozmowa była krótka i rzeczowa. "Cześć, Rudy. Przyniosłem ci mapę. Może rzucisz na nią okiem?" A ja spojrzałem mu w twarz i widzę, że oczy ma jak dwa wezbrane wrzody - żółte z czarną kropką, i wtedy powiedziałem: "Dobra". I to wszystko. Pamiętam, że byłem wtedy pijany, cały tydzień piłem, paskudnie mi było na duszy... A, do diabła, czy to nie wszystko jedno? Poszedłem. Po co ja w tym babrzę jak patykiem w gównie! Strach mnie obleciał czy co?

Wzdrygnął się. Przeciągle, żałośliwe skrzywienie dobiegło z gęstej mgły. Red zerwał się i natychmiast jak podrzucony sprężyną stanął na nogi Artur. Ale już znowu było cicho i tylko spod ich nóg z szelestem spadał z nasypu drobny żwir.

- To chyba grunt osiadł - niepewnie, z trudem wymawiając słowa wyszeptał Artur □ Wagonetki z urobkiem... stoją od tak dawna...

Red patrzył wprost przed siebie i nic nie widział. Przypomniawszy sobie. To było w nocy. Obudził go taki sam dźwięk - przeciągły i żalony, zamierający jak w sennym koszmarze. Tylko że to nie był sen. To zawodziła Mariszka na swoim łóżku pod oknem, a z drugiego końca mieszkania odpowiadał jej zachłyśniętym bulgotem ojciec, równie przeciągle i skrzypiąco. I tak się nawoływali i nawoływali w ciemnościach - minęło jedno stulecie, a potem następne stulecie... Guta też się obudziła, wzięła Reda za rękę, poczuł, jak jej ramię z miejsca stało się mokre, i tak leżeli wieśset lat i słuchali, a kiedy Mariszka zamilkła i usnęła, odczekał chwilę, potem wstał, poszedł do kuchni i wypił pół butelki koniaku. Od tej nocy zaczął pić.

- Ziemia - mówił Artur. - Z upływem czasu, wie pan, ziemia osiada. Na skutek erozji, wilgoci, w ogóle z wielu przyczyn.

Red spojrzał na pobladałą twarz Artura i na powrót usiadł. Papieros gdzieś znikł z jego palców, zapalił nowego. Artur postąpił jeszcze moment, lęklonie kręcąc głową, potem też usiadł i powiedział cicho:

- Opowiadają podobno, że w Strefie ktoś mieszka. Tak słyszałem. Jacyś ludzie, nie przybysze z Kosmosu, a właśnie ludzie. Jakoby Lądowanie zastało ich tutaj i oni się przystosowali... a może na skutek mutacji. Czy pan słyszał o tym, mister Shoehart?

- Tak - powiedział Red. - Ale to nie tutaj, tylko w górach, na północnym zachodzie. Jakies pastuchy.

Teraz Już wiem, czym on mnie zaraził, myślał. Swoim szaleństwem mnie zaraził. Oto dlaczego tu przyszedłem. Oto czego tu szukam... Powoli wypełniło go jakieś dziwne i zupełnie nowe uczucie. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę to uczucie nie Jest nowe, że już od dawna siedziało w nim gdzieś głęboko, ale teraz dopiero zdał sobie z niego sprawę i wszystko znalazło się na właściwym miejscu. I to, co przedtem wydawało się głupotą, majaczeniem oszalałego starca, obróciło się obecnie w jedyną nadzieję. Jedyny sens życia, ponieważ dopiero teraz zrozumiał □ jedno, co mu pozostało na świecie, jedyne, czym żył ostatnie miesiące, to była nadzieja na cud. On, bałwan, dureń, odpychał od siebie tę nadzieję, deptał ją, wyszydzał i topił w wódce, ponieważ właśnie do tego był przyzwyczajony, ponieważ nigdy w życiu, od dziecka, nie liczył na nikogo, tylko na siebie, i ponieważ od dziecka to liczenie na siebie wyrażało się w ilości banknotów, które udawało mu się wyrwać, wyszarpać z otaczającego go obojętnego chaosu. Tak było zawsze i tak trwałoby dalej, gdyby koniec końców nie znalazł się na takim dnie, z którego nie podźwigną go żadne pieniądze, a liczenie na siebie stało się ostatecznym absurdem. A teraz ta nadzieja - już nie nadzieja nawet, a pewność cudu - wypełniła go bez reszty, teraz nie rozumiał, jak mógł żyć do tej pory w tym makabrycznym mroku bez promyka światła... Roześmiał się i trącił Artura w ramię.

- Jak myślisz, stalker - powiedział - jeszcze trochę pożyjemy sobie, co?

Artur spojrzał na Reda zdziwiony i uśmiechnął się niepewnie. A Red zgniótł pergamin po kanapkach, rzucił go pod wagonik, po czym ułożył się na plecaku i podparł łokciem.

- No dobrze - powiedział. - Przypuśćmy, że ta Złota Kula rzeczywiście... Czego byś sobie życzył?

- To znaczy, że pan jednak wierzy? - szybko zapytał Artur.

- To nieważne, wierzę czy nie wierzę. Ty mi odpowiedz na pytanie.

Nieoczekiwanie naprawdę go zainteresowało, o co może prosić Złotą Kulę taki chłopak, jeszcze smarkacz, wczorajszy licealista. I z wesołą ciekawością obserwował, jak Artur chmurzy czoło, szarpie wąsiki, to podnosi na niego oczy, to znowu je opuszcza.

- No, oczywiście, nogi dla ojca... - powiedział wreszcie. - I żeby w domu było wszystko dobrze...

- Łezesz, łezesz - powiedział dobrodusznie Red. - Ty, bracie, zapamiętaj: Złota Kula wypełnia tylko najskrytsze życzenia, tylko takie, które muszą się spełnić, bo inaczej nie ma już po co żyć!

Artur Barbridge zaczerwienił się, znowu podniósł oczy na Reda i zaraz je opuścił, i zupełnie spurpurowiał, aż mu łzy stanęły w oczach. Red przyglądał mu się z uśmiechem.

- Wszystko jasne - powiedział niemal czule. - Dobra, to nie moja rzecz. Zatrzymaj to dla siebie... - I tu przypomniał sobie o

pistolecticie i pomyślał, że póki jest jeszcze czas, należy uwzględnić wszystko, co można uwzględnić. - Co ty tam masz w tylnej kieszeni? - zapytał niedbale.

- Pistolet - burknął Artur i zagryzł wargi.

- Po co ci pistolet?

- Żeby strzelać! - odparł z wyzwaniem.

- Przestań, przestań - powiedział surowo Red i usiadł prosto. - Dawaj to. W Strefie nie ma do kogo strzelać. Oddaj go.

Artur chciał coś powiedzieć, ale zmilczał, sięgnął za siebie, wyciągnął wojskowego kolta i podał go Redowi trzymając za lufę. Red wziął pistolet za ciepłą rękociecz, podrzucił go do góry, złapał i zapytał:

- Masz przy sobie chusteczkę? Daj, to go zawinę... Wziął od Artura chusteczkę do nosa, czyściutką, pachnącą wodą kolonską, zawinał pistolet i położył na podkładzie.

- Niech sobie tu na razie poleży - wyjaśnił. - Da Bóg, będziemy tędy wracać, to zabierzemy. Może naprawdę, kiedy spotkamy patrol, trzeba się będzie ostrzeliwać... Chociaż w takiej sytuacji ostrzeliwać się, bracie...

Artur ponownym ruchem pokręcił głową.

- Nie po to go wziąłem - powiedział niezadowolony. - Tam jest tylko jedna kula. Żeby, jeśli tak jak z ojcem...

- To ta-ak... - przeciągle powiedział Red patrząc mu prosto w twarz. - No, jeśli o to chodzi, możesz być spokojny. Jeśli tak, jak z ojcem, to już do tego miejsca cię doniosę. Obiecuję... Patrz, świta!

Mgła rzedła w oczach. Na nasypie już jej w ogóle nie było, a na dole, w oddali, mleczna mgielka rozpraszła się i topniała, wyrastały z niej okrągłe, szpiczaste szczyty wzgórz i gdzieś tam między wzgórzami było już widać pomarszczoną powierzchnię bagien, pokrytych rzadką wątlą łożyną, a na horyzoncie, za wzgórzami, zapłonęły pomarańczowo łańcuchy gór - niebo nad górami było jasne i błękitne. Artur obejrzał się przez ramię i wydał okrzyk zachwyty. Red obejrzał się również. Na wschodzie góry wydawały się czarne, a nad nimi mieniła się, płonęła szmaragdowa luna - zielona zorza Strefy. Red wstał i rozpinając pasek zapytał:

- Nie masz zamiaru sobie ulżyć? Jak tam sobie chcesz, ale pamiętaj, później nie będzie ani gdzie, ani kiedy...

Poszedł za wagonik, kucnął na nasypie i postępując patrzył, jak szybko gaśnie, przerasta różowością zielona zorza i jak pomarańczowa pajda słońca wypelza zza gór. Od razu od wzgórz popłynęły liliowe cienie - wszystko stało się ostre, wypukłe, każdy szczegół był widoczny jak na dłoni i jakieś dwieście metrów przed sobą zobaczył Red helikopter. Helikopter spadł widocznie w samo centrum "fysicy" i jego kadłub spłaszczyło w blaszany naleśnik, tylko ogon ocalał - lekko wygięty sterzał teraz czarnym hakiem nad równiną między wzgórzami. I śmigło też ocalało - głośno skrzypało kołysząc się na łagodnym wietrze. To musiała być potężna "fysica", nawet solidnego pożaru nie było i na sprasowanym kadłubie wyraźnie widniało czerwono - niebieskie godło rozpoznawcze lotnictwa wojskowego Jego Królewskiej Mości, godło, którego Red nie widział już od tylu lat, że nawet jakby zapomniał, jak ono wygląda.

Potem Red wrócił do plecaka, wyjął mapę i rozłożył ją na skawalanej bryle rudy w wagoniku. Samej kopalni nie było stąd widać, zasłaniała ją wzgórze z czarnym, osmalonym drzewem na szczycie. To wzgórze należało obejść z prawej strony, kotliną między nim a sąsiednim pagórkem, który również był stąd widoczny - nagle wzniesienie pokryte burym kamienistym żwirem.

Wszystko się zgadzało, ale Red nie był zadowolony. Wieloletni instynkt stalkera kategorycznie protestował przeciwko samej myśli - nonsensownej i sprzecznej z naturą - żeby wytyczać szlak między dwoma wzniesieniami. Dobra, pomyślał, później się okaże, na miejscu się zobaczy. Droga do tej kotliny prowadziła przez błoto, równiną, która stąd wydawała się bezpieczna, ale przyjrawszy się uważniej Red dostrzegł między suchymi kulkami jakąś ciemnoszarą plamę. Spojrzał na mapę. Tam był narysowany krzyżyk i napisane koślawymi literami "Cwajnos". Czerwone kropki omijały krzyżyk z prawej strony. Przewisko było jakby znajome, ale kto to był ten Cwajnos, jak on wyglądał. Red nie mógł sobie przypomnieć, nie wiadomo dlaczego pamiętał tylko to: zadymiona sala "Barge", ogromne czerwone łapy ściskające szklanki, grzmot śmiechu, rozwarte złotóżebne paszcze - fantastyczne stado tytanów i gigantów przy wodopoju, Jedno z najżywszych wspomnień dzieciństwa - pierwsze spotkanie z "Barge". Co ja wtedy przyniosłem? Zdaje się, "pustaka". Prosto ze Strefy, mokry, głodny, nieprzytomny, z workiem na ramieniu władowałem się do knajpy i rzuciłem worek na ladę przed Ernestem, wściekle szczerząc zęby przetrzymałem salwę szyderstw, doczekałem się aż Ernest, wtedy jeszcze młody, obowiązkowo w muszce - wyliczy mi te zielone papierki... Nie, wtedy przecież nie było zielonych, były jeszcze te kwadratowe, królewskie, z jakąś półgółką dziwką w płaszczu i wianku na głowie... doczekałem się, schowałem forsy do kieszeni i niespodziewanie dla siebie samego capnąłem z lady ciężki kufel i z całej siły rąbnąłem nim w najbliższą rechoczącą paszczę... Red uśmiechnął się i pomyślał - a może to właśnie był Cwajnos?

- A czy między wzgórzami można, mister Shoehart? - zapytał półgłosem Artur. Stał obok i też patrzył na mapę.

- Zobaczymy na miejscu - odparł Red. Wciąż patrzył na mapę. Na mapie były jeszcze dwa krzyżyki: jeden na zboczu wzgórza z drzewem, drugi na kamienistym osypisku. Pudel i Okularnik. Droga prowadziła dołem między nimi. - Zobaczymy na miejscu - powtórzył i schował mapę do kieszeni.

Spojrzał na Artura i zapytał:

- Jak tam stolec? - I nie czekając na odpowiedź polecił: - Pomóż założyć plecak... Pójdziemy jak poprzednio - powiedział, potrząsając plecakiem i poprawiając rzemienie. - Idziesz przede mną, tak, żebym cię ani na chwilę nie stracił z oczu. Nie oglądaj się, ale nadstawiaj uszu. Mój rozkaz jest prawem.

Pamiętaj, że trzeba będzie długo czołgać się na brzuchu, nie waz się bać błota, na jedno słowo, morda w błoto, bez gadania... I kurtkę zapnij. Jesteś gotów?

- Gotów - powiedział Artur głucho. Zdrowo się denerwował. Rumieniec z twarzy znikł, jakby go nigdy nie było.

- Kierunek... tam - Red ostro machnął dłonią w stronę najbliższego wzgórza, sto kroków od nasypu. - Jasne? Ruszaj.

Artur konwulsyjnie westchnął, przekroczył szynę i bokiem zaczął schodzić z nasypu. Żwir sypał się z szelestem.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Red. - Nie ma się dokąd śpieszyć.

Ostrożnie zaczął schodzić za Arturem, automatycznie równoważąc inercję ciężkiego plecaka mięśniami nóg. Kątem oka jednak śledził Artura. Boi się chłopak, myślał. I ma rację, że się boi. Chyba przeczuwa. Jeżeli ma takiego nosa jak ojciec, to powinien przeczuwać... Gdybyś ty wiedział, Ścierwniku, na co ci przyjdzie. Gdybyś ty wiedział, Ścierwniku, że tym razem cię usłucham. "A tędy. Rudy, sam nie przejdiesz. Chcesz czy nie chcesz, będziesz musiał zabrać kogoś ze sobą. Mogę któregoś ze swoich odstąpić, którego nie żal..." namówiłeś mnie, stary draniu.

Pierwszy raz w życiu przystałem na taką rzecz. No, trudno, pomyślał. Może jeszcze wszystko jakoś się obejdzie, nie jestem jednak Ścierwnikiem, może coś wymyślę...

- Stop! - powiedział do Artura.

Chłopiec zatrzymał się, stał po kostki w rdzawej wodzie. Zanim Red zszedł, Artur zapadł się w trzęsawisko po kolana.

- Widzisz ten kamień? - zapytał Red. - Tam, pod zbroczem? Trzymaj kurs na kamień. Artur ruszył naprzód. Red dał się wyprzedzić o dziesięć kroków i poszedł jego śladem. Cmokało błoto pod nogami. To było martwe trzęsawisko - ani komarów, ani żab, nawet łożyna zwiędła i zgniła. Red automatycznie rozglądał się dookoła, ale na razie wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Wzgórze zbliżało się powoli, zasłoniło nagle jeszcze słońce, a potem całą wschodnią część nieba. Przy kamieniu Red odwrócił głowę i spojrzał na nasyp. Nasyp jasno oświetlało słońce, stało na nim dziesięć wagoników, niektóre wykołajone leżały na boku i w tym miejscu nasyp pokrywały czerwone plamy wysypanej rudy. A dalej, w kierunku kopalni, na północ od wagoników, powietrze nad szynami mieniło się i drgało, od czasu do czasu błyskały w nim i gasiły maleńkie tęcze. Red popatrzył na to drganie i splunął resztką śliny.

- Dalej - powiedział i Artur zwrócił ku niemu twarz pełną napięcia. - Widzisz te szmaty? Nie tam! Bardziej na prawo...

- Tak - powiedział Artur.

- A więc to był niejaki Cwajnos. Dawno temu przestał być czymkolwiek. Nie słuchał starszych i teraz tam leży specjalnie po to, żeby mądrzejszym od niego wskazywać drogę. Weź dwa palce na prawo od tego Cwajnosa... Już? Znalazłeś punkt? Mniej więcej tam, gdzie łożyna jest trochę przeredzona... Tak trzymaj! Marsz!

Teraz szli równolegle do nasypu. Z każdym krokiem wody pod nogami ubywało i wkrótce maszerowali już po suchych sprężystych kępkach. A według mapy tu wszędzie ma być błoto, pomyślał Red. Przeszarżała jest ta mapa. Dawno tu Barbridge'a nie było i dlatego jest przestarzała. To źle. Oczywiście suchą drogą łatwiej iść, ale lepiej już, żeby tu było to błoto... Ale maszeruje, pomyślał, patrząc na Artura. Jak po Alei Centralnej.

Arturowi widocznie wrócił dobry nastrój, bo szedł teraz długim krokiem. Jedną rękę wsadził do kieszeni, a drugą wesoło wymachiwał jak na spacerze. Wówczas Red poszperał w kieszeni, wybrał mutkę, mniej więcej dwudziestogramową, wycelował i trafił Artura prosto w kark. Chłopak jęknął, złapał się za głowę i skurczony runął na suchą trawę. Red zatrzymał się nad nim.

- Oto jak tu bywa, Archie - powiedział pouczająco. - To nie aleja w parku i nie poszedłeś ze mną na poranną przechadzkę.

Artur powoli wstał. Twarz miał białą jak papier.

- Wszystko jasne? - zapytał Red. Artur przełknął ślinę i kiwnął głową.

- No to dobrze. A następnym razem dostaniesz w zęby. Jeżeli będziesz jeszcze żył. Marsz!

A z chłopca mógłby być niezły stalker, pomyślał Red. Nazywaliby go pewnie Archie Cherubin. Był już u nas jeden Cherubin, nazywał się Dickson, a teraz wołają go Suseł. Jedyny stalker, który dostał się w "wyzmaczkę" i żyje. Miał szczęście. Ten głupek do tej pory myśli, że to Barbridge go z "wyzmaczki" wyciągnął. A jakże! Z "wyzmaczki" nikogo się nie wyciągnie... Ze Strefy go wytaszczył, to prawda. Zdobył się Barbridge na taki niesłychany wyczyn! Spróbowałby go nie wytaszczyć! Te jego numery wtedy już ostatecznie wszystkim obrzydły i tym razem chłopcy wprost go ostrzegli - sam lepiej w ogóle nie wracaj. A przecież właśnie wtedy Barbridge'a przewali Ścierwnikiem, przedtem biegał u nas za Perszerona...

Red poczuł nagle na lewym policzku ledwie dostrzegalny prąd powietrza i błyskawicznie, nie zdążywszy nawet o niczym pomyśleć, krzyknął:

- Stój!

Wyciągnął rękę w lewo. Prąd powietrza był tam silniejszy. Gdzieś między nimi a torem kolejowym leżała "łysica", a może nawet szła samym nasypem - nie przypadkiem przecież wywróciły się wagoniki. Artur stał jak wkopany, nawet się nie odwrócił.

- Bardziej w prawo - rozkazał Red. - Marsz! Tak, niezły byłby stalker... Co jest, do cholery, żal mi go czy co? Tego tylko brakowało. A czy mnie ktoś kiedyś żałował? Właściwie to raczej tak. Na przykład Kirił. I Dick Nunnun. Co prawda Dick to nie tyle mnie żałuje, ile go ciągnie do Guty, ale być może i żałuje, przyzwoity człowiek może jedno z drugim pogodzić... Tylko ja nikogo nie mogę żałować. Albo - albo. Tak sprawa stoi... Po raz pierwszy z całkowitą jasnością zrozumiał - albo ten chłopiec, albo Mariszka. Jeżeli tylko cud jest naprawdę możliwy, powiedział jakiś wewnętrzny głos, i Red z okrutnym przerażeniem stłumił w sobie ten głos.

Minęli kupę burych szmat. Z Cwajnosa nic nie zostało, tylko nie opodał, w zeschłej trawie leżał długi zardzewiały kij - wykrywacz min. W tamtych czasach często używano wykrywaczy min, kupowano je po cichu u wojskowych intendentów. Liczyli na te kije jak na samego Pana Boga, a potem kolejno dwóch stalkerów w ciągu paru dni zabiły podziemne wyładowania. I jak nożem uciął... Ale w końcu, który był ten Cwajnos? Ścierwnik go tu przyprowadził, czy sam przyszedł? I dlaczego tak ich wszystkich ciągnęło do tej kopalni? Dlaczego nigdy nic o tym nie słyszałem?... O do diabła, ależ grzeje! I to rano, a co będzie potem?

Artur, który szedł o pięć kroków przed nim, podniósł rękę i otarł pot z czoła. Red spojrzał na słońce. Słońce stało jeszcze bardzo nisko. I nagle zdał sobie sprawę, że sucha trawa pod nogami już nie szeleści jak przedtem, tylko trzeszczy jak mąka kartoflana, że już nie jest twarda i kłująca, ale miękka i nietrwała - rozsypuje się pod butami niczym warstwa sadzy. Zobaczył wyraźnie odciski śladów Artura i rzucił się na ziemię z okrzykiem: "padnij!"

Upadł twarzą w trawę i trawa rozsypała się w pył pod jego policzkiem. Zazgrzytał ze złości zębami - taki niefart! Leżał, starając się nie ruszać, ciągle jeszcze licząc, że może się jakoś obejść, chociaż już wiedział, że się nie obejść, że wpadli. Żar rośl, atakował, opasywał całe ciało jak powijak zmoczony we wrzątku, oczy zalewał pot i Red z opóźnieniem krzyknął do Artura: "nie ruszaj się! Odwagi!" I sam zebrał całą odwagę, na jaką go było stać. I wytrzymałby i skończyłoby się na strachu, trochę by się zgrzali, ale Artur nie wytrzymał. Czy nie usłyszał okrzyku Reda, czy przeraził się ponad wszelką miarę, a może przypiekło go raz mocniej niż Reda - w każdym razie stracił panowanie nad sobą i na oślep, z jakimś gardłowym wrzaskiem popędził tam, gdzie go pędził bezmyślny instynkt, do tyłu, właśnie w stronę, w którą w żadnym wypadku uciekać nie należało. Red ledwie zdążył unieść się, oburącz złapać go za nogę i Artur całym ciężarem runął na ziemię wzbijając chmurę popiołu, zawył nienaturalnie wysokim głosem, kopnął Reda wolną nogą w twarz, zatrząśnięty w konwulsjach, ale Red sam już nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje z bólu, wgramolił się na niego wtulając poparzoną twarz w skórzaną kurtkę i usiłował wdusić, wbić w ziemię dygoczącą głowę, wściekle kopiąc noskami butów po nogach tamtego, po ziemi, po grzbiecie. Jak przez watę słyszał jęki i rżenie wydobywające się spod niego i własny ochryply ryk:

"Leż, gnido, leż, bo zabiję..." a z góry wciąż i wciąż spadała masa rozżarzonego węgla i już płonęło na nim ubranie, trzeszczała wydymając się bąblami i pękając skóra na nogach i bokach, i Red zanurzając czoło w szarym popiele i rozpaczliwie przyciskając piersią głowę tego przeklętego smarkacza, nie wytrzymał i zawył z całej siły... Nie pamiętał, kiedy to się skończyło. Pojął tylko, że znowu może oddychać, że powietrze znowu jest powietrzem, a nie rozpalonym gazem spalającym gardło, i zrozumiał, że trzeba się śpieszyć, że trzeba jak najprędzej uciec z tego diabelskiego rusztu, zanim znowu nie spadnie na nich ogień. Zsunął się z Artura, który leżał zupełnie nieruchomo, zacisnął jego obie nogi pod pachą i pomagając sobie wolną ręką poczołgał się naprzód nie spuszczać oczu z granicy, za którą znowu zaczynała się trawa, martwa, sucha, kłująca, ale prawdziwa zwyczajna trawa - wydawała mu się teraz

zyciodajną oazą. Popiół zgrzytał mu w zębach, w poparzoną twarz co chwila buchało żarem, pot zalewał oczy - pewnie dlatego, że nie miał już ani brwi, ani rzęs. Ciało Artura sunęło za nim, jakby na złość zaczepiając o wszystko kurtką, palił spieczony zadek, a plecak przy każdym ruchu uderzał w poparzony kark. Obolały i zac zadziały, Red pomyślał z przerażeniem, że za mocno się poparzył i że teraz już nie dojdzie do celu. Z tego strachu jeszcze silniej zaczął pracować swobodnym łokciem i kolanami i wypluwając z zaschniętego gardła najstraszliwsze przekleństwa, jakie mu przychodziły do głowy, nagle z jakąś obłąkaną radością przypomniał sobie, że ma jeszcze w zanadru prawie pełną manierkę, najmiłszą, najwierniejszą, ona jedna nie zdradzi, nie sprzeda, aby tylko dopełnić jeszcze trochę, jeszcze kawaleczek, no postaraj się Red, jeszcze trochę Rudy, w Boga, w matkę, pod trzydziestoma pierzynami, na Biegunie Północnym, Ścierwojada w duszę...

Potem długo leżał zanurzony twarz i ręce w zimną rdzawą wodę, z rozkoszą wdychając cuchnący, zgniły chłód. Sto lat mógłby tak leżeć, ale zmusił się do wstania, klęcząc zrzucił plecak, na czworakach dowlókl się do Artura, który ciągle jeszcze nieruchomo leżał trzydzieści kroków od błota, i przewrócił go na plecy. Tak, to był kiedyś ładny chłopiec. Teraz ta urodziwa buzia przypominała szaroczarzną maskę z popiołu i spiekłej krwi, i przez kilka sekund Red z tęnym zainteresowaniem wpatrywał się w podłużne bruzdy na tej masce - ślady grud i kamyków. Potem wstał, ujął Artura pod pachy i przyciągnął go do wody. Artur dyszał ochryple i od czasu do czasu jęczał. Red wrzucił go twarzą w największą kałużę, sam upadł obok, znowu przeżywając rozkosz mokrej lodowatej pieszczoty. Artur poruszył się, zabalgotał, podciągnął pod siebie ręce i uniósł głowę. Oczy miał wytrzeszczone. Nie rozumiał, co się z nim dzieje i chciwie łapał ustami powietrze płując i kaszląc. Potem jego wzrok oprzytomniał i zatrzymał się na Redzie.

- Uf-f-f... - powiedział i potrząsnął głową rozpryskując brudną wodę. - Co to było, mister Shoehart?

- To była śmierć - niewyraźnie powiedział Red i zakasłał. Obmacał twarz. Bolało, nos spuchł, ale brwi i rzęsy, na przekór wszystkiemu, były na miejscu. I skóra na rękach też, tylko trochę poczerwieniała. Można sądzić, że i zadek nie spalił się do kości... Pomacał - nie, z pewnością nie do kości, nawet spodnie są całe. Tak jakby się oblał wrzątkiem.

Artur również ostrożnie dotykał palcami twarzy. Teraz, kiedy straszną maskę zmyła woda, jego twarz też okazała się wbrew oczekiwaniom - nieomal w porządku. Kilka zadrapań, siniak na czole, rozcięta dolna warga, a poza tym można wytrzymać.

- Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem - powiedział Artur i spojrzał za siebie.

Red również się odwrócił. Na poszarzałej, spopielonej trawie zostało sporo śladów i Red był wstrząśnięty widząc, jak krótka, okazuje się, była ta straszna droga bez kresu, niespełna trzydzieści metrów od skraju do skraju wypalonego pasma. Ale z bólu, oślepiiony, czołgał się jakimiś dzikimi zygzakami, jak karaluch po rozpalonej patelni. Bogu dzięki, że przynajmniej czołgał się z grubsza we właściwym kierunku, a przecież mógłby wypełznąć na "tysicę" z lewej albo w ogóle zawrócić... Nie, nie mógłbym, pomyślał z wściekłością. Jakiś młokos mógłby, ale nie ja, i gdyby nie ten dureń, to w ogóle nic by się nie stało - osmaliłbym sobie zadek i po krzyku.

Spojrzał na Artura. Artur mył się parszkając i pojękując, kiedy urażał bolące miejsca. Red wstał i przygryzając wargi, kiedy zeszywniate ubranie dotykało poparzonej skóry, wyszedł na suche miejsce i pochylił się nad plecakiem. Plecak najbardziej ucierpiał. Wierzchnie kieszenie zwyczajnie się spaliły, buteleczki w apteczce popękały z gorąca w cholere, i od pomarszczonej plamy paskudnie zajeżdżało szpitalem. Red odpiął kieszeń i zabrał się do usuwania resztek szkła i plastyku, a wtedy za jego plecami odezwał się Artur.

- Dziękuję panu, mister Shoehart! Uratował mi pan życie.

Red nie odpowiedział. Też pomyśl - dziękować! Nie miałem nic lepszego do roboty, jak cię ratować!

- Sam sobie jestem winien - powiedział Artur. - Przecież słyszałem, że pan mi kazał leżeć, ale okropnie się przestraszyłem, a kiedy mocniej przypiekło - zupełnie straciłem głowę. Ja się strasznie boję bólu, mister Shoehart...

- Wstawaj i nie gadaj tyle - powiedział Red nie odwracając głowy. - To była jeszcze kaszka z mlekiem... Wstawaj, na co czekasz!

Sycząc z bólu zarzucił plecak na poparzone ramiona, zapiął rzemienie. Miał uczucie, że skóra na oparzonych miejscach skurczyła się i pokryła bolesnymi zmarszczkami. Boi się bólu gówniarz!... Ciebie i twój ból!... Obejrzał się. W porządku, z drogi nie zeszedł. Teraz te pagórki z nieboszczykami. Plugawe pagórki - stoją, gnidy, sterczą jak półdupki starej baby i ta kotlinka między nimi... Mimo woli wciągnął nosem powietrze. Ach plugawa kotlinka, najprawdziwsze plugastwo. Ścierwo.

- Widzisz tę kotlinkę między wzgórzami? - zapytał Artura.

- Widzę.

- Prosto na nią. Marsz!

Artur otarł nos grzbieniem dłoni i ruszył naprzód człapiąc po kałużach. Utykał, nie był już taki dziarski i wyprostowany jak poprzednio - pochyliło go, szedł teraz ostrożnie i lekliwie. Który to już będzie? Piąty? Szósty? I teraz powstaje pytanie - po co? Czy to on mój brat, czy swat? Odpowiadam za niego? Słuchaj no, Rudy, a po coś ty go uratował? O mało sam przez niego nie odkorkowałeś... Teraz, na spokojnie, mogę powiedzieć - słusznie zrobiłem, nie mogę się bez niego obejść, to mój zakładnik za Mariszkę, nie człowieka uratowałem, ratowałem swój wykrywacz min. Wytrych. Ale wtedy, w tamtej strasznej chwili, nawet mi na myśl nie przyszło, żeby go zostawić, chociaż o wszystkim zapominałem - i o wytrychu zapominałem, i o Mariszce... I co z tego wynika? Wynika, że w głębi duszy jestem przyzwoitym człowiekiem. To mi Guta ciągle powtarza i nieboszczyk Kirył tak uważał, i Richard bez przerwy o tym truje... Ale znaleźli sobie przyzwoitego człowieka! Przestań - powiedział do samego siebie. Teraz twoja przyzwoitość tylko psu na budę! najpierw trzeba pomyśleć, a dopiero potem brać się za robotę. Żeby mi to było pierwszy i ostatni raz, zrozumiano? Przyzwoity. Muszę go zachować dla "wyżymaczki", pomyślał zimno i jasno. Tu przez wszystko można przejść oprócz "wyżymaczki"

- Stój! - powiedział do Artura.

Kotlinka była tuż przed nimi i Artur już stał, niepewnie patrząc na Reda. Dno kotliny pokrywała tłusto połyskująca na słońcu żółto - zielona maź. Powierzchnia bagna lekko parowała, między pagórkami para gęstniała i na trzydzieści kroków nic już nie było widać, i ten smród. Diabli wiedzą, co tam gniło w tym mięsiwie, ale Redowi wydało się, że sto tysięcy rozbitych cuchnących jaj wylanych na sto tysięcy cuchnących rybich łbów i zdechłych kotów nie może śmierdzieć tak, jak śmierdziała ta maź. "Tam będzie zapaszek. Rudy, to ty nie tego... nie spietraj się".

Artur wydał z siebie gardłowy dźwięk i odstał do tyłu. Wtedy Red otrząsnął się z odrętwienia, pośpiesznie wydobyl z kieszeni paczkę waty przesączonej dezodorantem, zatkał sobie nos tamponami i podał watę Arturowi.

- Dziękuję, mister Shoehart - powiedział słabym głosem Artur. - A czy górą jakoś nie da się przejść?

Red w milczeniu wziął go za włosy i wykręcił głowę, w stronę kupy szmat na kamienistym wysypisku.

- To był Okularnik - powiedział. - A na lewym wzgórzu, stąd go nie widać - leży Pudel. W identycznym stanie. Zrozumiałeś?

Naprzód!

Maż była ciepła i lepka jak ropa. Początkowo szli wyprostowani, zanurzeni po pas, dno pod nogami na szczęście było kamieniste i dosyć równe, ale po niedługim czasie Red usłyszał znajome bzyczenie po obu stronach. Na oświetlonym słońcem pagórku po lewej nic się nie działo, a na zboczach po prawej, w cieniu, zatańczyły blade liliowe płomyki.

- Pochyl się! - zakomenderował przez zęby i sam się pochylił. - Niżej, idioto! - krzyknął.

Artur pochylił się przerażony i w tejże sekundzie potężne wyładowanie rozdarło powietrze. Tuż nad ich głowami, przebiegła we wściekłym tańcu rozszczępiona błyskawica ledwie widoczna na tle nieba. Artur przysiadł i zanurzył się po ramiona. Red czując, że ogłuchł od łoskotu, odwrócił głowę, zobaczył w cieniu na kamienistym zboczach szkarłatną szybko topniejącą plamę i jednocześnie rozbłysła następna błyskawica.

- Naprzód! naprzód! - wrzasnął nie słysząc własnego głosu.

Teraz posuwali się przykucnięci, wystawiając na powierzchnię tylko głowy, przy każdym wyładowaniu Red widział, jak długie włosy Artura stają dęba i czuł, jak tysiące igiełek wbija mu się w twarz. "Naprzód! - powtarzał monotonicznie. - Naprzód!" Już niczego nie słyszał. Jeden raz Artur odwrócił się do niego profilem i Red zobaczył wytrzeszczone przerażone oko zezujące na niego, białe rozdygotane wargi i zasmarowany zielenią spocony policzek. Potem pioruny zaczęły bić tak nisko, że musieli zanurzyć głowy. Zielony śluz zalepił usta, było trudno oddychać. Łapiąc ustami powietrze, Red wyrwał z nosa tampony i wtedy zauważył, że smród zniknął, że powietrze pachnie ozonem, a para dookoła jest coraz gęściejsza, a może tylko pociemniało mu w oczach i już nie widział pagórków ani z lewej, ani z prawej strony - nie było widać nic, oprócz oblepionej mazią głowy Artura i żółtych kłębow gęstej pary.

Przejdę, przejdę, myślał Red. nie pierwszy raz, przecież przez całe życie właśnie tak, po szyję w gównie, a nad głową pioruny, zawsze tak było... i skąd tyle gówna? Tyle gówna... zwariować można, tyle gówna w jednym miejscu, chyba tu spłynęło gówno z całego świata... To wszystko Ścierwnik, pomyślał z furją. To Ścierwnik tędy przeszedł, to po nim zostało... Okularnik leży po prawej. Pudel po lewej, a wszystko po to, żeby Ścierwnik mógł przejść między nimi i zostawić za sobą, całe swoje gówno... Dobrze ci tak, powiedział do siebie. Kto idzie śladem Ścierwnika, ten zawsze łyka gówno. Ty co, nie wiedziałeś o tym? Tak jest na całym świecie. Zbyt wielu jest Ścierwników i dlatego nie ma już czystego miejsca na świecie, wszystko obrsane... Nunnun jest głupi: "Ty, Red, naruszasz równowagę, masz naturę wichrzyciela, tobie, Rudy, będzie źle w każdym systemie i w złym systemie ci źle, i w dobrym też ci źle, przez takich jak ty nigdy nie nastanie Królestwo Boże na Ziemi..." Co ty tam w ogóle rozumiesz, grubasie? Kiedyż to ja widziałem dobry system? Przez całe życie widzę tylko, jak umierają, Kiryły i Okularnicy, a Ścierwniki przepelzają między ich trupami, po ich trupach, jak robaki, i paskudzą, paskudzą, paskudzą... Poślizgnął się na kamieniu, zanurzył się z głową, wypłynął i tuż obok siebie zobaczył wytrzeszczone oczy i ściągniętą grymasem twarz Artura i na moment zmartwiało - wydało mu się, że pomylił kierunek. Ale nie pomylił kierunku, natychmiast wiedział, że trzeba iść tam, gdzie z mazi sterczy kawałek czarnego kamienia, wiedział, chociaż oprócz tego kawałka kamienia nic nie było widać w żółtej mgle.

- Stój! - wrzasnął. - Bardziej na prawo! Na prawo od kamienia!

I znowu nie usłyszał swojego głosu. Wtedy dogonił Artura, złapał go za ramię i pokazał ręką - na prawo od kamienia, i schylił głowę. Zapłacicie mi za to, pomyślał. Przy kamieniu Artur dał nurka i w tejże chwili w trzaskiem w czarną krawędź uderzył piorun, rozprysnęły się w powietrzu rozżarzone okruchy. Zapłacicie mi za to, powtarzał, zanurzając się z głową i ze wszystkich sił pracując rękami i nogami. W uszach echem odezwało się nowe uderzenie gromu. Duszę z was wytrzęsę za to wszystko! Pomyślał mimochodem - a o kogo mi chodzi? nie wiem. Ale ktoś powinien za to zapłacić i ktoś mi za to zapłaci! Poczekajcie, niech ja tylko znajdę tę kulę, niech ją tylko znajdę, ja wam to gówno w gardło wepchnę, nie jestem Ścierwnik, ja z wami pogadam po swojemu...

Kiedy wydostali się na suche miejsce, na rozpalony słońcem kamienny żwir, otumanieni, wyżęci z sił, kiedy tak chwiejąc się podtrzymywali jeden drugiego, żeby nie upaść. Red zobaczył oblaży furgon, który osiadł na osiach. Mętnie przypomniał sobie, że tu obok tego furgonu można usiąść i odpocząć w cieniu. Dotarli do cienia. Artur leżał na plecach i słabymi palcami zaczął rozpinąć kurtkę, a Red oparł się plecakiem o ścianę furgonu, byle jak wytarł dłonie o żwir i sięgnął w zanadrze.

- Ja też poproszę - powiedział Artur. - I ja też. mister Shoehart. Red zdumiał się słysząc, jakim donośnym głosem mówi ten chłopiec, wypił łyk, przyknuł oczy czując, jak płomienny oczyszczający strumień przepływa przez gardło i rozplywa się w piersi, łyknął jeszcze raz i podał manierkę Arturowi. Skończone, pomyślał tępo. Przeszliśmy. Nawet przez to przeszliśmy. Teraz - suma słownie. Myślicie, że zapomniałem? nie, wszystko pamiętam. Myślicie, że wam podziękuję za to, żeście mnie nie utopili, za to, że żyję? Tak wam podziękuję, że już się do końca dnia swoich nie pozbieracie. Kamień na kamieniu z tego nie zostanie. Teraz ja o wszystkim decyduję. Ja, Red Shoehart w pełni świadomości i przy zdrowych zmysłach, będę decydować za wszystkich. A wy, Ścierwniki, gnidy, przybysze, quarterbloody, szpicle, chrypy pod krawatami, w mundurkach, eleganccy, wypielęgowani, z teczkami, z mowami, dobroczyńcy i pracodawcy, z wiecznymi akumulatorami, z wiecznymi silnikami, z "łyściami". z kłamliwymi obietnicami - dosyć wodziliście mnie za nos, starczy, całe moje życie wodziliście mnie za nos, a ja idiota pękałem z dumy - patrzcie, robię, co chcę, a wyście mi tylko przytakiwali, a sami, mędy przekłętę mrugaliście jeden do drugiego, i wodziliście mnie za nos, ganiłiście jak głupiego, przez gówno, przez więzienia, przez knajpy. Starczy! Odpiął pasy plecaka i wziął manierkę z rąk Artura.

- Nigdy bym nie pomyślał - mówił Artur z łagodnym zdumieniem w głosie - nawet wyobrazić sobie nie mogłem... Wiedziałem oczywiście - śmierć, ogień... ale coś takiego? Jakże my będziemy szli z powrotem?

Red nie słuchał. To, co teraz mówił ten człowiek, nie miało żadnego znaczenia. I przedtem nie miało żadnego znaczenia, ale przedtem jeszcze był człowiekiem. A teraz... teraz to po prostu gadający wytrych, niech sobie mówi.

- Żeby się tak umyć... - Artur rozglądał się zatroskany. - Chociaż opłukać twarz.

Red spojrzął na niego z rozstargnieniem i zobaczył zlepione, skołtunione włosy, wysmarowaną obsychającym śluzem twarz, ślady palców na policzkach i całego Artura pokrytego warstwą splekanego błota i nie czuł ani litości, ani rozdrażnienia, nie czuł nic. Gadający wytrych. Odwrócił oczy. Przed nim rozpościerała się, smętna jak porzucony plac budowy, równina, zasypana tłuczonym kamieniem, przypudrowana białym kurzem, zalana palącym słońcem, nieznośnie biała, zła, martwa. Stąd było już widać odległy skraj kopalni - również oślepiąco biały, z tej odległości wydawał się idealnie równy i prostopadły, a bliższy brzeg wytyczyły zwały wielkich roztrzaskanych kamieni, na dół odkrywki schodziło się w tym miejscu, gdzie wśród kamieni widać było czerwoną plamę kabiny koparki. To był jedyny punkt orientacyjny, należało iść prosto na tę plamę i już liczyć tylko na szczęście.

Nagle Artur uniósł się, wsunął rękę pod furgon i wyciągnął stamtąd zardzewiałą puszkę po konserwach.

- Niech pan spojrzy, mister Shoehart - powiedział z ożywieniem. - To na pewno zostawił ojciec... Tam jest jeszcze kilka.

Red nie odpowiedział. Nie w porę, pomyślał obojętnie. Lepiej dla ciebie, żebyś teraz ojca nie wspominał, lepiej żebyś pomilczał. A zresztą, co za różnica... Wstał i syknął z bólu, ubranie przykleiło się do ciała, do poparzonej skóry i teraz coś tam się odrywało, jak

bandaż przyschnięty do rany. Artur też wstał, też zasyczał, stęknął i boleśnie spojrzął na Reda - widać było, że ma ogromną ochotę poskarżyć się, ale nie ma odwagi. Powiedział tylko zdławionym głosem:

- Czy nie mógłbym jeszcze trochę się napić, mister Shoehart?

Red schował manierkę, którą do tej pory trzymał w rękę, wsadził za pazuchę i powiedział:

- Widzisz to czerwone między kamieniami?

- Widzę - powiedział Artur i spazmatycznie wciągnął powietrze.

- Prosto na to czerwone. Ruszaj. Artur przeciągnął się z jękiem, wyprostował ramiona, skrzywił się, jeszcze raz rozejrzał dookoła i powiedział:

- Żeby chociaż trochę się umyć... Wszystko się lepi...

Red czekał w milczeniu. Artur spojrzął na niego bez nadziei na zmiłowanie, kiwnął głową i już miał ruszyć, kiedy znowu stanął.

- Plecak - powiedział. - Pan zapomniał o plecaku, mister Shoehart.

- Marsz! - rozkazał Red.

Nie chciało mu się wyjaśniać, ani kłamać, zresztą po co? I tak pójdzie. Nie ma innego wyjścia. Pójdzie. I Artur poszedł. Powłókł się przygarbiony, ledwie przestawiając nogi, próbując zerwać z twarzy mocno przyschniętą skorupę, poszedł maleńki teraz, chudy i załosny jak mokry bezdomny kociak. Red ruszył za nim i jak tylko wyszedł z cienia, słońce poraziło go, musiał zasłonić oczy dłonią żałując, że nie zabrał ciemnych okularów.

Każdy krok wzbijał obłoczek białego kurzu, kurz osiadł na butach i śmierdział, a właściwie to śmierdziało od Artura, nie można było po prostu iść za nim i Red nie od razu zrozumiał, że najbardziej śmierdzi on sam. Zapach był obrzydliwy, ale jakby znajomy - tak właśnie śmierdziało w mieście, kiedy północny wiatr wdmuchiwał na ulice dym z fabryki. I od ojca tak śmierdziało, kiedy wracał do domu, ogromny, ponury, z czerwonymi wściekłymi oczami. Wtedy Red chował się w najdalszym kącie i stamtąd patrzył ze strachem, jak ojciec zdiera z siebie roboczą kurtkę i rzuca matce, jak ściąga z olbrzymich stóp zdeptane buty, jak wypycha je pod wieszak, a sam w skarpetkach lekko człapie do łazienki pod prysznic i długo się tam chłapie, klepie po mokrym cielsku, trzaska miednicami, coś mamrocze pod nosem, a potem ryczy na cały dom: "Maria! Zasnęłaś tam?" Trzeba było odczekać, aż się umyje i siądzie za stół, na którym stoi już ćwiartka, miska z gęstą zupą, keczup, trzeba było czekać, póki nie obciągnie swojej ćwiartki, nie zje zupy i dopiero wtedy można było wyjrzeć na świat boży, wdrapać się mu na kolana i wypytywać, którego majstra i którego inżyniera ojciec dzisiaj utopił w stężonym kwasie siarkowym...

Wszystko dookoła było rozpalone do białości, mdliło go ze zmęczenia i od suchego, okrutnego upału nieludzko bolała poparzona i splekana skóra. Miał uczucie, że jego ciało próbuje dokrzyczeć się do niego przez gorącą mgłę przenikającą świadomość, błagając o spokój, wodę i chłód. Wspomnienia, starte prawie do szczytu, kłębiły się w puchnącym mózgu, krzyżowały się, wplatały w biały upalny świat płasający przed półprzymkniętymi oczami i wszystkie były gorzkie i cuchnące, i wszystkie wywoływały świerzbującą litość lub nienawiść. Próbował wtrącić się w ten chaos, starał się wywołać z przeszłości jakiś radosny miraż, uczucie czułości, albo rzeźkości, wyciskał z głębin pamięci świeżą, roześmianą twarz Guty, jeszcze dziewczynki, upragnionej i nieosiągalnej, i ta twarz nawet pojawiła się na moment, ale natychmiast deformowała się, zapływała czerwona rdzą, i przemieniała w posepną, zarosniętą szorstką, burą sierścią mordkę Mariszki. Starał się przywołać z pamięci twarz Kiryła, wspaniałego człowieka, jego szybkie zwinne ruchy, jego śmiech, jego głos obiecujący niebyswałe i cudowne czasy i wydarzenia, i Kirył pojawiał się, a potem ostro błyskała w słońcu srebrna pajęczyna i oto już nie ma Kiryła i Redowi patrzą w twarz nieruchome, anielskie oczka Chrypy i jego wielka biała ręka waży na dłoni porcelanowy kontener... Jakież ciemne siły wirujące w jego świadomości błyskawicznie łamały ochronną barierę woli i zatapiały te nieliczne kruszyny dobra, które chroniła jego pamięć, i już wydawało się, że niczego dobrego w ogóle nie było, a tylko te upiorne maski, maski, maski...

I ani przez chwilę nie przestawał być stalkerem. Nie myśląc, nie kojarząc, nie zapamiętując nawet, odnotowywał instynktownie, że tam na lewo, w bezpiecznej odległości, nad kupą starych desek stoi "wesoły upiór" - spokojny, wyładowany, no i pies z nim tańczył; a z prawej powiał słaby wietrzyk i po kilku krokach stała się widoczna gładka jak lustro "fysica", wieloogoniasta niby rozgwiazda - daleko, nie ma się czego obawiać - a w samym środku "fysicy" leży ptak, płaski jak cień, rzadki wypadek, ptaki nad Strefą na ogół nie latają, nie opodal poniewierają się dwa porzucone "pustaki" - pewnie Ścierwnik zostawił wracając, strach okazał się silniejszy od chciwości... Wszystko to widział i wszystko brał pod uwagę i wystarczyło, żeby nieszczęsny Artur chociaż na krok zboczył z drogi, kiedy usta Reda same się otwierały i ostrzegawczy okrzyk sam wylatywał z gardła. Maszyna, myślał. Zrobiliście ze mnie maszynę... A strzaskane kamienie na brzegu kopalni zbliżały się coraz bardziej i już można było odróżnić cudaczny rysunek rdzy na dachu koparki.

Głupi jesteś, Barbridge, myślał Red. Chytry a głupi. Jak ty mi mogłeś zaufać? Przecież znasz mnie od takiego, lepiej powinieneś mnie znać niż ja sam siebie. Zestarzałeś się, oto gdzie pies pogrzebany. Zgłupiałeś na starość. Zresztą, całe życie zadawałeś się z głupcami... Wyobraził sobie mordę Ścierwnika, kiedy się dowiedział, że Artur, jego Archie, synek najukochańszy... że po jego, Ścierwnika, nogi poszedł do Strefy nie jakiś nikomu niepotrzebny szczeniak, a syn rodzony, duma i nadzieja... I wyobraziwszy sobie tę mordę Red zaśmiał się, a kiedy Artur spojrzął z przerażeniem, nadal śmiejąc się, machnął mu ręką:

- Marsz! Marsz! I znowu popęzły przez świadomość

Jak na ekranie maski, maski, maski... należało zmienić wszystko, nie jedno życie, nie dwa życia, nie jeden los i nie dwa losy - każdą śrubkę tego smrodliwego świata należało zmienić...

Artur zatrzymał się przed stromym zejściem do wykopu, zastygł i wyciągając długą szyję patrzył na dół i w dal. Red podszedł do niego i stanął obok. Ale nie spojrzął tam, gdzie patrzył Artur.

Prosto spod nóg w głąb odkrywki prowadziła droga, wiele lat temu rozjeżdżona gąsienicami i kołami ciężarówek. Ściana wykopu po prawej stronie była biała i popękana od słońca, a z lewej na wprost rozwalona. I wśród kamieni i zwalów tłuczni stała przekrzywiona koparka, a jej opuszczona tyłka bezsilnie leżała na skraju drogi, i jak należało oczekiwać, niczego więcej na drodze widać nie było, tylko przy samej tyłce, z załomów zбочa, zwisały czarne skręcone sople podobne do grubych lanich świec, i jeszcze kurz był popstrzony mnóstwem kleksów, jakby ktoś kiedyś chlusnął smołą. Oto wszystko, co z nich zostało, i nawet nie wiadomo, ilu ich tu było. Być może każdy kleks - to jeden człowiek, jedno życzenie Ścierwnika. Ten - to ścierwnik zdrowy i cały wydostał się z piwnicy siódmego bloku. Tamten trochę większy - to Ścierwnik bez przeszkód wyniósł ze Strefy "żywy magnes". A tamten sople - to cudowna, niepodobna ani do ojca, ani do matki Dina Barbridge. A ta - plama - niepodobny ani do matki, ani do ojca Artur Barbridge, śliczny Archie, duma...

- Doszliśmy - nieprzytomnie wychrypiął Artur. - Mister Shoehart, przecież w końcu doszliśmy!

Zaśmiał się szczęśliwym śmiechem, przykucnął i obiema pięściami z całej siły zaczął bębnić po ziemi. Kołtun na jego głowie podskakiwał śmiesznie i bezsensownie, leciały we wszystkie strony kawałeczki zaschniętego błota. I dopiero teraz Red podniósł oczy i spojrzał na kulę. Ostrożnie. Z pewnym lękiem.

Z ukrytym strachem, że będzie jakaś nie taka - że rozczaruje, wywoła zwątpienie, strąci z obłoków, na które udało się wspiąć, zachłystując draństwem...

Nie była złota, była raczej miedziana, czerwonawa, idealnie gładka, matowo połyskująca w słońcu. Leżała pod ścianą wykopu, wygodnie usadowiona między grudami zwietrzałego urobku i nawet stąd było widać, jaka jest masywna i jak ciężko przygniotła swoje legowisko.

Nie było w niej nic z rozczarowania czy zwątpienia, ale też nic, co budzi nadzieję, nie wiadomo dlaczego od razu przychodziło do głowy, że musi być pusta w środku, i bardzo gorąca - rozpalona słońcem. Z pewnością nie świeciła własnym światłem, z pewnością nie była w stanie wzlatywać w powietrze i tańczyć, jak to często czyniła w legendach. Leżała tam, gdzie upadła. Być może wypadła z jakiejś ogromnej kieszeni albo zaturlała się, zgubiła w czasie zabawy nieznanymi gigantów - nikt jej tu nie ustawił, leżała porzucona, porzucona dokładnie tak samo, jak te wszystkie "pustaki", "bransoletki", baterijki i reszta śmiecia pozostała po Lądowaniu.

Ale zarazem coś w niej jednak było. I im dłużej Red na nią patrzył, tym jaśniej wiedział, że patrzeć na nią jest przyjemnie, że ma się ochotę do niej podejść, pogłaskać ją, dotknąć i nagle, nie wiadomo skąd, przypląnęła myśl, że zapewne miło jest usiąść obok niej albo jeszcze lepiej oprzeć się o nią plecami, odrzucić do tyłu głowę, przymknąć oczy, rozmyślać, wspominać, a może po prostu zdrzemnąć się i odpocząć.

Artur poderwał się na nogi, szarpnął zamki na swojej kurtce, zdarł ją z siebie i z rozmachem rzucił pod nogi, wzbijając chmurę ciemnego pyłu. Coś wykrzykiwał, krzywiąc się i machając rękami, potem założył ręce do tyłu i w zawilim tańcu, w podskokach zbiegł na dół. Już nie patrzył na Reda, zapomniał o nim, zapomniał o wszystkim - śpieszył wypowiedzieć swoje życzenia, malutkie, tajemne życzenia rumieniącego się studenta, chłopca, który jeszcze nigdy nie widział żadnych pieniędzy oprócz kieszonkowych, młokosa, który jeszcze nigdy w życiu nie widział nagiej dziewczyny, tyle co na zdjęciach, którego bito bez litości, jeśli wypił chociaż jeden kieliszek, którego wychowywano na sławnego adwokata, a w perspektywie ministra, a w najdalszej, sami rozumiecie - prezydenta... Red, mrużąc od palącego słońca zaczerwienione powieki, w milczeniu śledził Artura. Był zimny i spokojny, wiedział, co zaraz się stanie, wiedział, że nie będzie na to patrzeć, ale na razie nie musiał jeszcze odwracać oczu, więc patrzył i nic szczególnego nie odczuwał, może tylko gdzieś - bardzo, bardzo głęboko - niespokojnie obudził się pewien robak i poruszył kłującym łebkiem.

A chłopak ciągle jeszcze schodził tanecznym krokiem, wybijając nieopisany rytm i biały kurz wybuchał pod jego stopami. Krzyczał coś na cały głos, bardzo dźwięcznie i bardzo radośnie, i bardzo uroczyście jak piosenkę albo jak zaklęcie - i wtedy Red pomyślał, że chyba po raz pierwszy, od czasu jak istnieje ta kopalnia, ktoś zbiegł na dół, jakby śpieszył na święto. I początkowo nie słuchał, co tam wykrzykuje ten gadający wytrych, a potem jakby ktoś w nim nacisnął włącznik i wtedy usłyszał:

- Szczęście dla wszystkich!... Za darmo!... Ile kto zapagnie!... Chodźcie tu wszyscy!... Starczy dla wszystkich!... nikt nie odejdzie pokrzywdzony!... Za darmo!... Szczęście!... Za darmo!...

A potem nagle zamilkł, jakby ogromna ręka z rozmachem wepchnęła mu w usta knebel, i Red zobaczył, jak przezroczyista pustka przyczajona w cieniu koparki schwyciła chłopca, rzuciła w powietrze i powoli, z wysiłkiem skrzyła tak, jak kobiety wyzymają bieliznę po praniu. Red zdążył dostrzec, jak jeden zakurzony półbucik ześlizgnął się z drgającej nogi i poleciał wysoko do góry. Wtedy Red odwrócił się i usiadł. Głowę miał absolutnie pustą, bez jednej myśli - stracił świadomość istnienia. Wokół było cicho i szczególnie cicho było z tyłu za plecami, tam na drodze. Przypomniał sobie o manierce - bez zwykłej radości, po prostu tak jak o lekarstwie, które należy zażyć o właściwej porze. Zdjął zakrętkę i zaczął pić maleńkimi skąpymi łykami i po raz pierwszy w życiu zapagnął, żeby w manierce zamiast alkoholu znalazła się zwyczajna zimna woda...

Upłynął czas jakiś i w głowie zaczęły się pojawiać mniej więcej sensowne myśli. Oto wszystko, myślał apatycznie. Droga wolna. Już teraz można by iść, ale oczywiście lepiej poczekać jeszcze trochę. "Wyzymaczki" mają swoje dziwactwa. Zresztą i tak trzeba pomyśleć, niezwykle zajęcie - myślenie, i to jest właśnie największe nieszczęście. Co to znaczy "myśleć"? Myśleć, to znaczy wykręcić się, skombinować, zaszachrować, owinać dookoła palca, ale tu właśnie to wszystko jest nieprzydatne...

No dobra. Mariszka, ojciec... Zapłacić im za wszystko, zdeptać na śmierć kanalie, niech żrą gówno, jak ja żarłem... nie, to nie to, to nie to. Rudy... To znaczy oczywiście to, ale co to wszystko znaczy? Czego mi trzeba? To przecież przekleństwa a nie myśli. Zmartwił od jakiegoś strasznego przeczucia i od razu zostawiając na boku rozstrzygnięcia i rozwiązania, które jeszcze miał przed sobą, rozkazał sobie bez litości, a więc słuchaj, rudy łajdaku, nie odejdziesz stąd, póki nie wymyślisz czegoś, co ma sens i wagę, zdechniesz tu obok tej błyskotki, usmazysz się, zgniiesz ścierwo, ale nie odejdziesz...

Boże, gdzież są moje słowa i moje myśli? Z rozmachem uderzył się na wpół otwartą, pięścią w twarz. Przecież przez całe życie ani jedna myśl nie zaświtała mi w głowie! Poczekał, przecież kiedyś Kirył mówił coś takiego... Kirył! Gorączkowo szukał we wspomnieniach, wypływały jakieś słowa, znajome i na wpół nieznanne, ale to wszystko było nie to, dlatego że nie słowa zostały po śmierci Kiryła - zostały jakieś niewyraźne obrazy, bardzo szlachetne, ale przecież zupełnie nieprawdopodobne...

Podłość, podłość... I nawet tu mnie dopadli, bez języka zostawili, dranie. Oprych... Jak byłem oprychem, oprychem zdechnę... Tak być nie powinno! Słyszysz? Żeby w przyszłości coś takiego było raz na zawsze zabronione! Człowiek rodzi się po to, żeby myśleć (oto jest Kirył, nareszcie!). Tylko że ja w to nie wierzę, a po co człowiek się rodzi - nie mam pojęcia. Urodził się - no i jest. Każdy się przepycha, jak potrafi. Niech wszystkim nam dobrze się wiedzie, a oni żeby pozdychali. A kto to my? A kto oni? nic nie rozumiem. Mnie będzie dobrze - Barbridge'owi źle, Barbridge'owi dobrze - Okularnikowi źle, Chrypie dobrze - wszystkim źle i samemu Chrypie też źle, tylko on dureń wyobraża sobie, że w porę uda mu się wywinąć... Boże, jaka to straszna kasza! Ja całe życie wojowałem z kapitanem Quarterbloodem, a on całe życie wojuje z Chrypą, i ode mnie, jełopa, chciał tylko jednego - żebym przestał być stalkerem. Ale jak ja mogłem przestać, kiedy muszę utrzymać rodzinę? Iść do pracy? A ja nie chcę na was pracować, mdli mnie od waszej pracy, możecie to zrozumieć? Jeśli człowiek pracuje, zawsze pracuje na kogoś, a wtedy nie jest człowiekiem tylko niewolnikiem, a ja wszędzie i zawsze chciałem sam, chciałem być sam, żeby mleć wszystkich gdzieś, razem z ich smutkiem i beznadziejnym żalem...

Dopił koniak i z całej siły rąbnął pustą, manierką o ziemię. Manierka podskoczyła, błysnęła na słońcu i gdzieś się poturlała - od razu o niej zapomniał. Teraz siedział, zasłaniając rękami oczy i próbował już nie zrozumieć, nie wymyślić, ale chociażby zobaczyć, jak to powinno wyglądać, ale znowu widział tylko maski, maski, maski... banknoty, butelki, kupy szmat, które kiedyś były ludźmi, kolumny liczb... Wiedział, że to wszystko należy zniszczyć, ale domyślał się, że nawet jeżeli to wszystko będzie zniszczone, to nie zostanie nic - tylko naga i pusta ziemia. W bezsilnej rozpacz zapagnął znowu oprzeć się o coś plecami i odrzucić do tyłu głowę. Wstał, machinalnie otrząpął spodnie i zaczął schodzić do wykopu.

Słońce paliło, przed oczami latały czerwone plamy, drgało powietrze na dnie wykopu i przez to drganie wydawało się, że kula tańczy w miejscu jak boja na falach. Przeszedł obok koparki podnosząc wysoko nogi i zabobonnie uważając, żeby nie nadebrać na czarne kleksy, potem wzięnąc w piachu powlókł się na ukos przez cały wykop do tańczącej i mrugającej kuli. Był zły potem, dusił się z gorąca, a jednocześnie wstrząsały nim zimne dreszcze, jak po przepiciu, w zębach skrzypiał kredowy pył. I już więcej nie próbował myśleć. Tylko z rozpaczą powtarzał jak modlitwę: "Jestem zwierzęciem, widzisz przecież, że jestem zwierzęciem. Nie znam słów, nie nauczono mnie mówić, nie umiem myśleć, te kanalie nie dały mi uczyć się myśleć. Ale jeżeli naprawdę jesteś taka... wszechmocna... wszechmogąca... wszechrozumiejąca... zdecyduj! Wejrzyj w moją duszę - ja wiem, w niej jest wszystko, czego ci trzeba. Musi być! Przecież nigdy i nikomu nie sprzedałem duszy! Jest moja, człowiecza! Sama wydobądź ze mnie to, czego chcę - przecież to niemożliwe, żebym chciał zła! Niech wszystko będzie przeklęte, przecież nic nie umiem wymyślić oprócz tych jego słów: - SZCZĘŚCIE DLA WSZYSTKICH ZA DARMO! I NIECH NIKT NIĘ ODEJDZIE SKRZYWDZONY!